


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



RYSZARD SADAJ

TELEFON DO STALINA

Copyright by Ryszard Sadaj

WYDAWNICTWO TOWER PRESS

GDAŃSK 2002

TELEFON DO STALINA

Wszystko było dokładnie zaplanowane, obmyślane w szczegółach na wielu zebraniach i ostatecznie zatwierdzone przez najwyższe władze w Warszawie, zatwierdzone jednakże z zastrzeżeniem, żeby jeszcze raz dokładnie sprawdzić, czy na wybranym terenie nie odrodziła się jakaś nacjonalistyczna banda Ukraińców. W końcu chodziło o życie młodych ludzi i to nie było jakich, bo przodowników pracy socjalistycznej, dla których organizowano pierwszy obóz wypoczynkowy w Bieszczadach, pierwszy po wojnie, jaką tam stoczono z bandami UPA. Tu nie mogło być żadnej nawalanki, niedociągnięć i tym podobnych rzeczy, ten obóz miał być wzorem dla następnych obozów. Przodownicy pracy socjalistycznej mieli niejako otworzyć Bieszczady, do których jeszcze tak niedawno rościli sobie pretensje Ukraińcy, dla wszystkich Polaków; ci przodownicy pracy mieli pokazać, że każdy Polak może już bez strachu przed Banderą czy Szpontakiem przemierzać z plecakiem bieszczadzkie połoniny lub zasiedlać gospodarstwa po wywiezionych stąd Ukraińcach. Ustalono datę rozpoczęcia obozu: pierwszy sierpień.

Na koniec ostatniego zebrania, poświęconego sprawom obozowym, sekretarz Kienek powiedział, że ten obóz to historyczne wydarzenie i kto wie, czy dzięki temu, my tutaj obecni, nie znajdziemy się w encyklopediach jako pionierzy socjalistycznych Bieszczad. Na te słowa Kienka wszyscy obecni, cywile z Komitetu partii, milicjanci i wojskowi z oddziałów Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, którzy mieli zadbać o zabezpieczenie obozu, zaczęli bić brawa. Ale ledwie zaczęli klaskać, wstał mój ojciec i powiedział rozzłoszczonym głosem, żeby się przestali wygłupiać z tym gadaniem o umieszczeniu nas w encyklopediach i w ogóle ze stwarzaniem nowych nazw dla Bieszczad – góry to góry, ani socjalistyczne ani kapitalistyczne. Brawa ustały i zrobiło się cicho, ale tak dziwnie cicho, że aż pomyślałem sobie, że jest głośniejsze niż przed chwilą, i siedząc na końcu sali, zastanawiałem się, czy nie powinienem wyjść, nie czekając, aż ktoś przypomni sobie o mojej obecności, ktoś albo ojciec,

i nie powie, żebym poszedł gdzieś się przejść lub napić lemoniady w bufecie. Tak mnie czasami delikatnie wypraszali, gdy dochodziło do jakichś spięć podczas zebrań, albo omawiali jakieś tajne rzeczy. Lecz bywało, że całkiem zapominali o mnie i tylko później, zdając sobie sprawę z mojej obecności, kazali mi nikomu nic nie powtarzać z tego co usłyszałem podczas zebrania, „bo omawialiśmy tajne sprawy, rozumiesz chłopcze, tajne sprawy”. Śmiać mi się wtedy chciało, gdyż to tajne, to było takie tajne, o czym już się wiele razy przekonałem, że wieczorem całe miasto, a w każdym razie ci, których to interesowało, wiedzieli o czym mówiono na zebraniu w Komitecie, chociaż ja nikomu nie pisałem ani słowa, najwyżej matce.

W ogóle to w tym Komitecie wszystko było tajne, a z drugiej strony niby wszystko na użytek ludzi, dla ich dobra, tak, że pracownicy Komitetu sami często nie wiedzieli co ma być tajne, a co nie i na dodatek jeszcze co zakazane, co nie, jak na przykład z tym słuchaniem radia z zagranicy, ale w polskim języku. Wszyscy słuchali i wszyscy udawali, że nie słuchają, poza moją matką, która twierdziła, że skoro coś mówią w radio zrobionym w polskiej fabryce, nasze nazywało się „Stolica”, to chyba nie można zakazać słuchania polskiego radia, chociaż tak naprawdę to nikt tego nie zakazywał, a jednocześnie wiadomo było, że nie wolno słuchać zagranicznych stacji, w których mówili po polsku.

No więc wtedy, gdy po odezwaniu się mojego ojca nastąpiła cisza w sali obrad, a ja zastanawiałem się czy nie wyjść, Kienek spojrzał na ojca i zrobił się czerwony na twarzy jak Lolo z naszej kamienicy, gdy chciał się z kimś bić, i tak robiąc się czerwony coraz bardziej powiedział, że jeszcze on tutaj rządzi i on będzie decydował, co nadaje się do umieszczenia w encyklopediach, a co nie. Na te słowa ojciec parsknął śmiechem i ja już wtedy postanowiłem nie wychodzić z sali, żeby przyjść ojcu na pomoc, gdyby sekretarz Kienek rzucił się na niego, ale zaraz po ojcu roześmiał się komendant milicji i paru wojskowych z Kabewu, za nimi kilku cywili z Komitetu i po chwili śmiali się już wszyscy, z wyjątkiem Kienka, już nie czerwonego, lecz purpurowego na twarzy. Purpurowego jak szaty kardynała, które w kościele świętego Józefa, na przedmieściu, znaleźli milicjanci, ci milicjanci, co chodzą po cywilnemu i tylko mają takie specjalne legitymacje, i te szaty przynieśli do Komitetu, twierdząc, że jeśli jest kardynalskie ubranie, to w mieście musi ukrywać się kardynał, najpewniej przerzucony z Zachodu, od wrogów kapitalistycznych, balonem, tak samo jak balonem były wysyłane do Polski stonki, wyhodowane umyślnie po to, żeby zżerały nasze socjalistyczne ziemniaki i ludzie chodzili głodni i z głodu złorzeczyli na władzę.

Ja widziałem takie balony w Rogach u dziadka, chłopci znajdowali je na polach i przynosili pokazać dziadkowi, który w czasie wojny był dowódcą oddziału partyzanckiego w Białym

Lesie, a teraz dyrektorem Pegieeru w Rogach. To były małe balony i nie było w nich żadnych stoniek, tylko różnokolorowe ulotki. Nie wierzyłem, aby taki balon mógł unieść człowieka, a w dodatku kardynała z jego ciężkimi szatami, krzyżem na piersiach, pastorałem, kardynała, który na pewno sam nie był lekki – jakoś na żadnym rysunku w książkach nie widziałem chudego kardynała, wszyscy mieli ogromne brzuchy.

Sekretarz Kienek zaraz uwierzył temu, co twierdzili milicjanci. No tak, powiedział, ulotki, stonki, teraz kardynały, żeby biednym ludziom mącić w głowach tą średniowieczną religią. Jednak, inaczej niż to było ze stonkami i ulotkami, wiadomość o kardynałach przysyłanych z Zachodu miała być utrzymana w jak największej tajemnicy, no i jak zwykle w takich wypadkach nazajutrz całe miasto mówiło tylko o kardynale, który gdzieś się w okolicy ukrywał, a ojciec złościł się, mówiąc do matki, że czegoś głupszego to już nikt oprócz Kienka nie wymyśliłby. Ruch się zrobił w mieście jak nigdy, nie licząc dnia Pierwszego Maja. Starsze kobiety, takie, które większość dnia spędzały w kościołach, zatrzymywały na ulicach tęgich, godnie wyglądających mężczyzn, z okrągłą łysinką na czubku głowy, jaką mieli księża i szeptem zapytywały czy wielebna ekscelencja jest kardynałem, bo jeżeli jest to one ukryją, dadzą jeść i zaproszą ludzi na wspólną modlitwę. Inni z kolei, ale to już byli młodzi mężczyźni ze Związku Młodzieży Polskiej, co chodzili w ładnych czerwonych krawatach, też zatrzymywali starszych panów z łysinką na czubku głowy i ciągnęli ich na najbliższy posterunek milicji, żeby udowodnili, że nie są przysłanymi balonem kardynałami. Wreszcie komendant cywilnej milicji, mając już dość tego całego zamieszania z nieprawdziwymi kardynałami, gdyż na prawdziwego ani raz nie natrafiono, zrobił to, co jego podwładni powinni byli zrobić od razu, to znaczy uwierzył, że kardynalskie szaty należą do już aresztowanego proboszcza kościoła świętego Józefa, gdzie znaleziono purpurę, i uwierzył ponadto, że kazał on sobie uszyć kardynalskie szaty, bo pewnej nocy miał widzenie, iż zostanie kardynałem i chciał być zawczasu przygotowany do objęcia tego stanowiska.

Kienek z początku nie bardzo wierzył w taki wynik śledztwa, ale komendant cywilnej milicji, podczas ścisłego zebrania w Komitecie, przeczytał głośno akta przesłuchań księdza proboszcza, wikarego z tego samego kościoła i krawca, który uszył kardynalskie szaty i każdy z przesłuchanych mówił o widzeniu księdza proboszcza, że zostanie kardynałem. A poza tym ojciec powiedział, że gdyby nawet kapitaliści rzeczywiście przysyłali nam w balonach kardynałów, to w interesie naszego państwa byłoby nie uwierzyć w ów fakt i gorąco temu zaprzeczać we wszystkich gazetach, gdyż nasi obywatele mogliby pomyśleć, że źle bronimy polskich granic, skoro byle kardynał może się przez nie przedostać. Dopiero ten argument przekonał Kienka, no tak, rzekł, obrona granic to rzecz najważniejsza i kazał wstrzymać akcję

poszukiwania kardynałów.

Mogłem być świadkiem tych i innych wydarzeń w Komitecie, gdyż podczas wakacji matka prawie cały czas przebywała w Rogach pod Sandomierzem u coraz częściej umierającego dziadka, a ojciec już nie pozwalał mi tam jeździć z matką, bo uważał, iż dziadek wywierał na mnie zły wpływ. Ojcu rozchodziło się głównie o to, że dziadek pozwalał chłopom mówić do siebie „panie dziedzicu”, a zdaniem ojca w Polsce socjalistycznej nie ma i już nigdy nie będzie dziedziców, tak samo jak i burżujów, a że nie mógł znaleźć odpowiedniej służącej do pilnowania mnie w domu, musiał mnie zabierać z sobą do pracy w Komitecie. Tam szybko przyzwyczajono się do mnie, jak do palmy stojącej w korytarzu na parterze i nie zauważano mnie, podobnie jak tej palmy.

Co do służących, to po daniu ogłoszenia w „Nowinach” przychodziły do naszego mieszkania różne kobiety, ale po kilku dniach ojciec każdą z nich wyrzucał. Pierwszą już na drugi dzień przyłapał na kąpieli się ze mną w wannie i tak się na nią rozeźlił, że nagą i mokrą wyrzucił za drzwi, a ubranie cisnął przez okno na ulicę. Druga, starsza kobieta, zaraz po śniadaniu pozwalała mi wychodzić na podwórze i bawić się ze wszystkimi chłopakami, nawet z Lolem i z bezrękim z Baldachówki, do których matka nie dozwalała mi się choćby zbliżyć, ojciec bezrękiego miał dwa wielkie konie i rozwoził po mieście piwo i jak jechał ulicą, to bez przerwy kłął na konie, a bezręki mówił prawie to samo co jego ojciec, ja się tych słów szybko nauczyłem od bezrękiego i jednego wieczoru, chcąc się przed ojcem pochwalić, iż znam te same słowa co dorośli, powiedziałem kilka zdań, które specjalnie wykułem na ten wieczór, a ojciec zamiast jak zwykle w takich wypadkach poklepać mnie po ramieniu, dobrze, synu, dobrze, widzę, że ci przybywa szarych komórek, gwałtownie wstał od stołu, łyżką rzucił o ścianę i niemal tymi samymi słowami, co ja przed chwilą mówiłem, okrzyknął służącą, kazał się jej spakować i natychmiast wynosić. Na widok następnej służącej, matka, która na kilka dni przyjechała z Rogów, powiedziała ojcu, żeby na jej miejsce znalazł inną, gdyż ta jest za młoda i za ładna, żeby razem z ojcem mieszkała, ludzie będą gadać... Ostatnia służąca, z bardzo dobrymi referencjami z poprzedniego domu, ani młoda ani stara, taka właściwie bez określonego wieku, bardzo była zdziwiona, dowiadując się, że nie chodzę, ani na religię ani na msze do kościoła i przy każdym obiedzie, który przez to przeciągał się do godziny, czytała mi książkę o Jezusie Chrystusie, takim człowieku, a właściwie synu Boga, który, dobierając sobie dwunastu kompanów, chodził po miastach i wioskach i uczył ludzi jak być dobrym; co prawda dziwna była ta jego nauka, bo na przykład mówił, że jak ktoś da ci w gębę, to mu nie oddawaj, tylko nadstawiaj gębę z drugiej strony. Gdyby to Lolo usłyszał... Poza tym ten Chrystus, aby przekonać ludzi, że jest prawdziwym synem Boga, czynił różne

cuda, a największy z nich, gdy uzdrowił zmarłego Łazarza. Tylko w końcu, okazało się, coś musiało być nie tak z tymi cudami i z tym Ojcem, bo dał się pojmać żołnierzom rzymskim, którzy go ukrzyżowali. Innych uzdrawiał, a sam sobie nie potrafił pomóc, dziwne. Lecz może dalej rozwikłana była ta dziwność, tylko że raz ojciec przyszedł do domu w czasie obiadu i słysząc, co moja opiekunka czyta, powiedział ze złością, że nie najmował zakonnicę i podziękował jej za pracę, czyli opiekę nade mną i więcej już nie szukał żadnej służącej.

I tak całe dni, nudząc się najczęściej, spędzałem w Komitecie. Chodziłem po gabinetach i pokojach, kuchni, wartowni, gdzie jeden wartownik pozwalał mi się bawić pistoletem, prawdziwym, wyjmując tylko wcześniej magazynek z nabojami. Zнали mnie wszyscy urzędnicy i ja ich wszystkich poznałem, wiedziałem, który jest bardziej ważny, który mniej, to najłatwiej było rozpoznać po pokojach w jakich pracowali – jeżeli siedzieli po kilku w jednym, to niezbyt wiele znaczyli i na zebraniach w sali narad zajmowali krzesła daleko z tyłu, albo w ogóle nie byli zapraszani. Ale tak naprawdę, kto jest najbardziej ważny w Komitecie, to nie wiedziałem.

Największy gabinet miał Kienek, towarzysz Kienek, towarzysz pierwszy sekretarz Kienek, tam wszyscy mówili sobie „towarzyszu”, nawet niekiedy do mnie, przez przyzwyczajenie, mówili w ten sposób. Na biurku Kienka stały trzy telefony, jeden taki zwyczajny do miasta i z miasta, drugi do szefowej kuchni w piwnicy, gdyż każdego dnia do Komitetu przyjeżdżali różni goście i w zależności od tego, jak ważni to byli goście, zawsze najważniejsi byli ci z Warszawy, Kienek sam decydował co zrobić na obiad i jaką wódkę podać. Trzeci telefon był najmniejszy, choć najważniejszy ze wszystkich trzech, gdyż można się było z niego dodzwonić wprost do samego Bieruta, którego zdjęcia wisiały w każdym pokoju Komitetu i przez ten sam telefon Bierut mógł dzwonić do Kienka. Sekretarka Kienka, gdy jego nie było w gabinecie, nie mogła ani na moment wyjść z sekretariatu, nawet gdyby musiała sikać do wazonu z kwiatem, żeby nie przegapić dźwięku tego najmniejszego i najważniejszego zarazem telefonu.

Widziało mi się, że Kienek, na którego biurku stoi najważniejszy telefon w Komitecie, musi być też najważniejszą osobą w Komitecie, a tym samym w całym mieście, bo już wcześniej zorientowałem się, że stąd, gdzie pracuje ojciec, wychodzą rozkazy na całe miasto – co robić, jak robić, ile robić, no, wszystko – aż wydawało mi się, że gdyby nagle zabrakło Komitetu, to w mieście nastalby taki bałagan jak raz w naszej szkole, gdy o jednej i tej samej godzinie zostali wezwani na zebranie wszyscy nauczyciele. Dlatego nie zdziwiło mnie, że bandytę, który rzucił bombę pod Komitet, skazano na karę śmierci, bomba wybiła tylko drzwi wejściowe i poraniła wartownika, ale i tak, choć Komitet ocalał, w mieście nastalo takie

poruszenie, że trzeba było zwozić milicjantów z innych miast, żeby patrolowali ulice i nie dopuścili do żadnych zbiegowisk, zwłaszcza w pobliżu Komitetu.

Lecz mimo tego, że Kienek miał największy gabinet i w nim telefon do Bieruta, wcale nie było dla mnie takie pewne, iż jest on osobą najważniejszą w Komitecie. Odnosiłem wrażenie, że bał się mojego ojca, który był jego zastępcą, i bał się także komendanta milicji w mundurze, a chyba najbardziej komendanta milicjantów, którzy chodzili po cywilnemu i dla rozpoznania ich mieli specjalne legitymacje, i pewnie też bał się zastępcy komendanta milicji w cywilnych ubraniach, takiego pokurcza z garbem na prawym ramieniu, który swoimi małymi oczkami jakby świdrował ludzi na wylot i nieustannie rozglądał się dokoła, jak gdyby naraz chciał widzieć wszystko i wszystkich. Nie lubiłem garbusa, gdy odbywało się jakieś ważniejsze zebranie i ja tam byłem, on nigdy nie zapominał o mojej obecności, mówiąc, że to raczej zebranie nie dla dzieci i wówczas ojciec kazał mi iść na lemoniadę do bufetu. Z tym Kienkiem to było coś podobnie jak z Jezusem Chrystusem, niby najważniejszy w Komitecie, a bał się innych, którzy jemu podlegali. Chrystus co prawda nikogo się nie bał, ale dał się zabić.

I na tym ostatnim zebraniu na temat obozu w Bieszczadach dla przodowników pracy socjalistycznej, gdy z Kienka zaczęli się wszyscy śmiać, stało się dla mnie już oczywiste, że Kienek jest w jakiś sposób uzależniony od mojego ojca i tamtych pozostałych ludzi. Nie rozumiałem tego. Przecież Kienek miał telefon do samego Bieruta, który był najważniejszy w Polsce, wystarczyłoby jakby się tylko poskarżył... I w tym momencie przyszło mi do głowy, że może ojciec i tamci mają gdzieś ukryty jeszcze ważniejszy telefon, do Stalina, którego zdjęcia, większe od zdjęć Bieruta, wisiały w gabinetach, a największe z nich znajdowało się w sali narad, obok popiersia Lenina. Stalina nazywano ojcem narodów i był zdecydowanie ważniejszy od Bieruta, tak, że pomiędzy skargą do Bieruta a skargą do Stalina, to była taka różnica...

Stalin wyglądał poważnie i dostojnie, a jednocześnie miał na twarzy dobrotliwy uśmiech, matka mówiła, że to uśmiech Giocondy, lecz nie mogłem tego porównać, gdyż nikt z naszych znajomych tak się nie nazywał. Bierut w porównaniu ze Stalinem, to jak urzędnik z jakiegoś mało ważnego biura. Stalin wydawał mi się mądrym i dobrym człowiekiem, a jeszcze powiadano, że od niego zależy przyszłość świata i w ogóle wszystko, w każdym razie wszystko co w Polsce, no i jeżeli ojciec i tamci mieli gdzieś ukryty telefon do Stalina, to nic dziwnego, że Kienek czuł taki respekt przed niektórymi swoimi podwładnymi, że nawet nie chciał się Bierutowi poskarżyć na swoich urzędników. Gdy o tym myślałem, naszło mnie pytanie, czy jest jeszcze ktoś ważniejszy od Stalina i wówczas pomyślałem, żeby

poszukać telefonu do Stalina i jego samego o to zapytać. I tak nie miałem co robić w Komitecie, pisanie na maszynie i bawienie się pistoletem już dawno ranie znudziły, co innego gdybym przynajmniej mógł postrzelać z pistoletu, ale nawet w ludzi nie wolno mi było celować, odkąd raz skierowałem lufę pistoletu we wchodzącego do Komitetu garbusa. Ten, gdy w niego wycelowałem, w ułamku sekundy wyjął swój pistolet z kieszeni i przez chwilę celowaliśmy do siebie, aż strażnik krzyknął do garbusa, że w moim pistolecie nie ma naboju.

Zacząłem szukać telefonu do Stalina od gabinetu ojca. Doszedłem do wniosku, że skoro telefon do Bieruta był mniejszy od innych telefonów w Komitecie, to telefon, którym można dodzwonić się do Stalina, musi być jeszcze mniejszy, pewnie dlatego, żeby go łatwiej można było ukryć, a może panowała taka zasada, że im telefon do kogoś ważniejszego, tym mniejszy i może z kolei na biurku Stalina znajduje się telefon całkiem malutki do kogoś jeszcze ważniejszego od niego samego? Zastanawiając się nad tym przypomniałem sobie, co mówiła moja opiekunka z dobrymi referencjami, że najważniejszy na świecie jest Pan Bóg i naraz wszystko ułożyło mi się w logiczną całość, no bo przecież telefon do Boga, tego najważniejszego na świecie, jest taki mały, że niewidoczny, wystarczy tylko, tak przynajmniej mówiła opiekunka, w myśli mówić do Boga i on wszystko usłyszy. Jeżeli oczywiście prawdą jest, co opiekunka mówiła o Bogu, gdyż ojciec twierdził, że Boga nie ma, że wymyślili go ludzie, bardzo, bardzo dawno temu, żeby jakoś sobie wytłumaczyć skąd wziął się świat i oni sami, bo jeszcze wtedy nie mieli tego rozumu co my dzisiaj. Opiekunka nie była głupia, przeczytała chyba z tysiąc książek, i ojciec też nie był głupi, tylko kto z nich miał rację? Stwierdziłem, że prawdę może znać Stalin, który na pewno jest mądrzejszy od ojca i opiekunki i nawet nauczyciela fizyki, uczącego nas, że życie, cały wszechświat, skrywa tyle tajemnic, że nawet ostatni człowiek, jeżeli kiedykolwiek dojdzie do tego, iż będzie ostatni człowiek, nigdy nie pozna ich do końca. Ale to był tylko nauczyciel fizyki, mądry, to fakt, jednak...

I jak z początku zamierzałem szukać telefonu do Stalina, żeby się mniej nudzić w Komitecie, tak teraz zamierzałem odnaleźć telefon, aby poznać wielką tajemnicę, może nawet największą tajemnicę świata? Chciałem zapytać Stalina, kto jest naprawdę najważniejszy na świecie, kto stoi ponad nim samym, gdyż trudno mi było wyobrazić sobie, żeby na Stalinie, choć zwanym ojcem narodów, kończyła się wszelka władza. Nad nim musiał być jeszcze jakiś mądrzejszy człowiek, wyobraziłem go sobie jako starca, który posiadał tajemnicę długiego życia, a kto wie czy nie nieśmiertelności, choć nauczyciel fizyki wykluczył nieśmiertelność człowieka, ale uważał, że za ileś tam lat, dzięki odpowiedniemu odżywianiu się i postępowi medycyny, człowiek będzie mógł żyć kilkaset lat. Jednak, gdy bardziej

wmyśliłem się w to wszystko, wykluczyłem i długowiecznego starca jako tego ostatniego w hierarchii świata.

Świat, jak się przekonałem w Komitecie, jest tak urządzony, że w pracy i nie tylko w pracy, zawsze ktoś jest nad kimś, każdy kimś rządzi i jest przez kogoś rządzony i Stalin też musi podlegać tym samym prawom świata. Tu, gdzie mieszkałem, to było tak: wpierw Bierut, później Kienek, później mój ojciec, następnie komendanci milicji i kolejno: sekretarz od spraw bezpieczeństwa, sekretarz od spraw propagandy, przemysłu, rolnictwa, kultury i od każdej innej dziedziny, ostatni w ważności był chyba sekretarz od sklepów, ale za to był najbogatszy ze wszystkich sekretarzy, dalej następowali kierownicy różnych wydziałów, starsi i młodszy referenci, maszynistki, kierowcy, kucharki, sprzątaczkę i babka klozetowa, pani Jadzia, z którą lubiłem rozmawiać, bo przynajmniej ona jedna znajdowała dla mnie czas, tylko że ojciec nie pozwalał mi długo przebywać w ustępie, gdyż mówił, że śmierdzi ode mnie szczynami. I tak pani Jadzia, chociaż zdawało się, że już nikim nie może rządzić, to jednak i ona była kimś na swoim stanowisku pracy, jak się jej ktoś nie spodobał, bo zostawiał na talerzyku za mało pieniędzy, nie dawała mu papieru toaletowego, kłamiąc, że nie dowieźli, albo, jak ktoś za długo siedział w kabinie, pukała do drzwi i mówiła, że tutaj nie dają pensji za siedzenie w ustępie, też jak ktoś zapomniał spuścić wodę po sobie, to krzyczała za takim, że na drugim piętrze było słycać.

Jeszcze nim zacząłem szukać tego telefonu w gabinecie ojca, poszedłem do sali narad, gdzie stała mównica, popiersie Lenina i z tyłu, wysoko, wisiał ogromny portret Stalina. Przyciągnąłem mównicę, wyszedłem na nią i z bliska przyjrzałem się Stalinowi. W każdym podręczniku szkolnym było jego zdjęcie, ale małe, tutaj widziałem go o wiele wyraźniej i od razu, rzucało się w oczy, że to człowiek przewyższający swym rozumem i Bieruta, i Kienka, i mojego ojca, i wszystkich milicjantów. Ten jego półuśmiech, nie wiem dlaczego jak u Giocondy, dozwalał zbliżyć się do Stalina bez strachu i zapytać o osobę ważniejszą od niego. Nie miałem wątpliwości, że jeżeli tylko znajdę w Komitecie telefon do Stalina, on powie mi całą prawdę.

Przetrasnąłem wszystkie zakamarki biurka i szaf w gabinecie ojca, zajrzałem za obrazy w poszukiwaniu skrytki, pukałem w klepki podłogi, ale każda wydawała taki sam głos, odkręciłem gniazdko z prądem, nigdzie żadnego śladu, że telefon mógłby znajdować się w gabinecie ojca. Nie byłem tym jednak zaskoczony, gabinet ojca był nazbyt niebezpiecznym miejscem dla ukrycia telefonu do Stalina, przeszukałem go bardziej dla zasady, żeby niczego nie pominąć. Wrogowie ojca i jego przyjaciele, jeśliby szukali telefonu do Stalina, też pewnie zaczęliby od gabinetu ojca. Ten telefon musiał znajdować się w trudno dostępnym

pomieszczeniu, do którego wstęp miało niewielu ludzi, i zastanawiając się gdzie jest takie miejsce, doszedłem do wniosku, że to mogą być podziemia Komitetu, gdzie znajdowały się schrony przeciwbombowe.

Co jakiś czas ogłaszane były próbne alarmy przeciwlotnicze w Komitecie i nikt nie miał pewności, czy tym razem to też jest ćwiczebny alarm, czy rzeczywiście zaraz rozpocznie się nalot nieprzyjacielskich samolotów. Niektórzy zbiegali po schodach na złamanie karku, potracając i ponaglając innych do pośpiechu, wiele osób jednak schodziło powoli, jak na obiad do stołówki i na tych bardzo się złościł sekretarz od spraw bezpieczeństwa. Na odgłos syreny – taka tuba jak w gramofonie znajdowała się pod sufitem każdego piętra – wszyscy bez wyjątku musieli schodzić do schronów, gdzie znajdowało się kilka większych i mniejszych pomieszczeń, telefony, radiostacje, magazyny z żywnością, bronią i rzeczami niezbędnymi podczas wojny. Ze schronów prowadziły korytarze, długości kilkudziesięciu metrów, do innych budynków albo na place, to na wypadek gdyby Komitet przywaliło gruzami. Wiadomości o istnieniu schronów przeciwbombowych w Komitecie nie wolno było przekazywać na zewnątrz, to znaczy ludziom nie pracującym w Komitecie i chyba z tego zakazu w mieście zrodziły się plotki, że pod Komitetem jest kilka pięter schronów, coś w rodzaju małego, tylko chwilowo nieczynnego miasteczka.

Schrony były rzeczywiście najbardziej niedostępnym miejscem w Komitecie, dlatego coraz mocniej upewniałem się, że tam musi znajdować się telefon do Stalina. Do schronu, taki był regulamin, nie wolno było nikomu wchodzić w pojedynkę, ani nawet Kienkowi, ani komendantom milicji. Gdy ojca zapytałem, dlaczego jednej osobie nie wolno wejść do schronów, odrzekł, że podyktowane jest to względami bezpieczeństwa, żeby ktoś, na przykład, nie narysował planu schronów z jego wyjściowymi korytarzami, które dla wrogów naszego ustroju mogłyby stać się wejściowymi i ja wtedy pomyślałem, że ów zakaz wchodzenia w pojedynkę ma raczej związek ze znajdującym się tam telefonem do Stalina. Gdybym się tego wcześniej domyślił, to podczas któregoś z alarmów, gdy na wartowni nikogo nie było, ukryłbym się w niej i wziął zapasowe klucze do schronów, odbiłbym je w plastelinie i później dorobiłbym takie same przy pomocy narzędzi z mojego „małego majsterkowicza”, które dostałem od Dziadka Mroza. Teraz ten pomysł był już nieaktualny, gdyż w czasie ostatniego alarmu do opustoszałego gmachu Komitetu wdarli się złodzieje-dywerysanci i ukradli, oprócz pieniędzy z pozostawionych w pokojach torebek, wiele ważnych dokumentów, formularzy i pieczętek i od tego czasu wartownikom zabroniono opuszczać swych stanowisk podczas alarmów.

Bez przerwy myślałem o telefonie do Stalina, spać po nocach nie mogłem, wyobrażając

sobie rozmowę z nim, aż ojciec, chociaż zajęty tyloma sprawami, zapytał mnie z niepokojem czy nie jestem chory. Przygotowywałem w myśli pytania do Stalina, starając się je ułożyć jak najkrócej, żeby nie zabierać mu dużo czasu. Idąc z ojcem ulicą i patrząc na ludzi o zgorzkniałych, zamyślonych twarzach, odniosłem wrażenie, że i ich nurtują te same pytania co mnie: kto rządzi światem, jaki jest ten, który rządzi światem, dobry, zły, mądry, mający nieograniczoną władzę czy dopiero musi ją zdobywać? Dziwiłem się, dlaczego do tego czasu nikt o te sprawy nie zapytał Stalina i jego odpowiedzi nie wydrukowano w gazetach, ludzie wtedy mieliby jasność, wiedzieliby jak się rzeczy mają i może wówczas nie byłoby widać na ulicach tyle smutnych, zamyślonych twarzy? Ale przypomniałem sobie, co raz mówił fizyk, że najtrudniej jest wymyślić coś prostego, że niekiedy buduje się skomplikowaną maszynę, gdy tymczasem maszynę służącą temu samemu można zbudować z kilkunastu części i to o wiele lepszą, bo im mniej części, tym rzadziej się psująca i pewnie dlatego nikt dotąd nie wpadł na to, aby zadać Stalinowi te najprostsze i jednocześnie najważniejsze pytania.

Trzy dni czatowałem, nim wreszcie, gdy wartownik poszedł do ustępu i mnie samego zostawił na wartowni, zabrałem z szafki klucze do schronu i na ich miejscu powiesiłem inne, całkiem podobne na pierwszy rzut oka. Później czekałem kolejne dwa dni, na comiesięczną odprawę sekretarzy Komitetu, podczas której Kienek przedkładał nowe, jak się wyrażał, kierunki działania w polityce państwa, a komendanci milicji, tej mundurowej i cywilnej, zdawali sprawozdania ze stanu bezpieczeństwa w województwie i nie wiem dlaczego, ale z tym bezpieczeństwem było coraz gorzej, coraz bardziej zaostrzała się niezbyt zrozumiała dla mnie walka klasowa i ponadto walka ideologiczna i walka na falach eteru, coraz więcej było akcji sabotażowych, coraz więcej szpiegów i coraz więcej zwykłych bandytów i buntowników, czego dowodem były gęsto zapełnione więzienia, tak, że musiano budować nowe lub kolejne klasztory zamieniać na więzienia. Gdy po takich odprawach wracałem z ojcem do domu, to dziwiłem się, że przechodnie nie trzymają w rękach pistoletów ani noży i nie rzucają się na ojca i że nasz dzielnicowy siedzi sobie spokojnie na ławce i z kabury wyjmuje drugie śniadanie. Kiedy mówiłem ojcu, że mnie się wydaje, że w mieście wcale nie jest tak, jak to przedstawiają komendanci milicji, odpowiadał mi, że jestem jeszcze za mały, aby to wszystko zrozumieć, bo ta prawdziwa walka toczy się głównie o dusze ludzkie, no i tego rzeczywiście nie rozumiałem.

Czekałem na comiesięczną odprawę sekretarzy, gdyż wtedy miałem pewność, że nie będzie próbnego alarmu przeciwlotniczego. I gdy sekretarze poszli do sali narad, ja, mając już przygotowane klucze, ukradkiem, aby mnie nie dostrzegł wartownik, otworzyłem ciężkie, stalowe drzwi schronu i wszedłem do środka. Namacałem na ścianie kontakt i przekreśliłem

go, od razu wszędzie zaświeciło się światło. Pierwsze pomieszczenie było duże i puste, tylko niskie ławki stały pod ścianami, a na ścianie wisiały maski przeciwgazowe. W pokoju z telefonem i nadajnikiem radiowym biegło po ścianach pełno kabli i mój wzrok przykuł jeden z nich, różniący się od pozostałych tym, że był koloru czerwonego, a tamte czarne. Czerwony wychodził ze ściany pod sufitem i wraz z wiązką czarnych kabli znikał w betonowej podłodze. Pomyślałem, a właściwie to już byłem pewien, że ten czerwony kabel doprowadzi mnie do telefonu do Stalina. Tylko że w tym, ani w innych pomieszczeniach nie mogłem znaleźć telefonu z czerwonym kablem i wówczas przypomniały mi się miastowe plotki o kilkupiętrowym schronie pod Komitetem i zacząłem wypatrywać w podłodze jakiegoś włazu, takiego jak do piwnicy we dworze u dziadka, czy do kanału na ulicy. Odkryłem go w magazynie z gaśnicami przeciwpożarowymi. Zszedłem po żelaznej drabince, tam też już świeciło się światło i zaraz wypatrzyłem na żelaznym biurku „mój” telefon z czerwonym kablem. Nie miał tarczy z numerami, jak normalne telefony, tylko jeden czarny guzik – domyśliłem się, że wystarczy podnieść słuchawkę, nacisnąć guzik i usłyszę głos Stalina. Postąłem bez ruchu kilka minut, żeby uspokoić oddech, po czym podniosłem słuchawkę i wcisnąłem guzik. Zahuczało w słuchawce i po chwili usłyszałem: Urząd Bezpieczeństwa, słucham. Byłem zaskoczony, że telefonu nie odebrał osobiście Stalin, jak się tego spodziewałem, ale zaraz uzmysłowiłem sobie, że Kienek, nawet mój ojciec, mają sekretarki do odbierania telefonów i one dopiero, dowiedziawszy się kto dzwoni, łączą albo i nie z gabinetem Kienka czy mojego ojca, a taki Stalin, wiadomo, musiał mieć cały Urząd Bezpieczeństwa do łączenia go, lub nie, z rozmówcami. Ten ktoś przy telefonie zdenerwował się i jeszcze raz powtórzył: słucham, Urząd Bezpieczeństwa. Chcę rozmawiać z panem Stalinem, powiedziałem. Z kim? – w głosie pytającego mężczyzny wyczułem ostrość i jednocześnie rozbawienie. – Z towarzyszem Stalinem chcecie rozmawiać? – upewnił się. Tak, potwierdziłem zdecydowanie. A kto mówi? – Zubrowski, odrzekłem, Roman Zubrowski, mam ważną sprawę do pana Stalina. Dobrze, zaczekajcie, powiedział mężczyzna twardym głosem i zaraz dodał, że bym nie odkładał słuchawki, bo chwilę potrwa, nim poszuka towarzysza Stalina. Gdzieś po minucie odezwał się inny głos w słuchawce, surowy głos, poważny, taki właśnie, jaki wyobrażałem sobie, że powinien mieć Stalin: słucham was. Z wrażenia, z kim rozmawiam, gdyż w tej samej chwili przypomniały mi się pochody pierwszomajowe, podczas których ludzie nieśli tysiące portretów Stalina, poplątało mi się to wszystko, o co chciałem zapytać i zacząłem niezdarnie, jękając się z przejęcia, mówić, że u nas najważniejszy, niby najważniejszy jest Kienek, a od Kienka ważniejszy jest pan Bierut w Warszawie, a od pana Bieruta jesteście ważniejsi wy, panie Stalin i ja chciałbym się

dowiedzieć, kto jest jeszcze ważniejszy od pana? Skończyłem. Cicho zrobiło się w słuchawce i gdy już myślałem, że Stalin mi nie odpowie, bo to jest za ważna tajemnica, żeby ktoś taki jak ja mógł o niej wiedzieć, usłyszałem: nade mną jest tylko Pan Bóg, a wy, skurwielu, zaraz się o tym przekonacie! Usłyszałem trzask odkładanej słuchawki. Stałem kilka minut jak ogłupiały. I ten Bóg i ten skurwiel i to, że zaraz się przekonam... No nie, całkiem inaczej wyobrażałem sobie rozmowę ze Stalinem, nie pasował mi tu ani Bóg, którego przecież miało nie być i z rozkazu Komitetu zamykano szkoły dla księży i samych księży, żeby więcej nie szerzyli ciemnoty wśród ludu, a najbardziej nie pasował mi „skurwiel” w ustach Stalina, ojca narodów, niezwyciężonego wodza o świetlanym umyśle, gdyby to powiedział bezręki... I pomyślałem, że Stalin tylko przez jakąś nadzwyczajną pomyłkę został mianowany ojcem narodów, tak samo jak już wcześniej odnosiłem wrażenie, że też Kienek przez pomyłkę został pierwszym. Czyli najważniejszym sekretarzem w Komitecie i stwierdziłem, że na świecie musi panować niesamowity bałagan i że naprawdę nie ma żadnego Boga, bo gdyby był Bóg, to przecież mądrzej urządziłby ten świat, a przynajmniej nie mianowałby sekretarzami takich ludzi jak Kienek lub Stalin?

Wychodziłem ze schronu taki skołowany i zawiedziony Stalinem, że nie od razu ujrzałem grupę mężczyzn, którzy stali za drzwiami z pistoletami maszynowymi wymierzonymi we mnie. Dopiero po chwili oprzytomniałem i wśród mężczyzn z pistoletami zobaczyłem garbusa, zastępcę komendanta milicji w cywilnych ubraniach, i w tym samym momencie uzmysłowiłem sobie, że to z nim, jako niby ze Stalinem, rozmawiałem przez telefon. Ale mnie oszukali... Garbus, widziałem po jego minie, był zaskoczony, że to ja wyszedłem ze schronu, zapewne spodziewał się ujrzeć kogo innego. Kazał swoim ludziom odejść, a mnie zaprowadził do gabinetu Kienka, gdzie zaraz przyszedł mój ojciec i dwaj komendanci milicji.

Wszyscy, a najbardziej mój ojciec, byli zaskoczeni, że to ja jestem tym, który chciał rozmawiać ze Stalinem, ale samo to, że chciałem z nim rozmawiać, na milicjantach nie zrobiło większego wrażenia. Oni przede wszystkim pragnęli się dowiedzieć, w jaki sposób dostałem się do schronu, a zwłaszcza do tego dolnego pomieszczenia z telefonem z czerwonym kablem. Przyznałem się do kradzieży kluczy z wartowni i jak natrafiłem na włącz do dolnego schronu i tyle, nawet na mnie nie nakrzyczeli, oprócz ojca, który mnie zaraz zabrał do domu i wysłał telegram do matki, żeby natychmiast przyjechała.

Tymczasem w Komitecie nastąpiło jakby trzęsienie ziemi. Kienek przestał być pierwszym sekretarzem, sekretarz od spraw bezpieczeństwa przestał być sekretarzem od spraw bezpieczeństwa, wartownik został aresztowany za niedopilnowanie kluczy, a mój ojciec dostał naganą za to, że przyprowadził mnie do Komitetu.

Po kilku dniach, gdy już wróciła matka z Rogów, do naszego mieszkania przyszedł komendant cywilnej milicji i powiedział ze śmiechem, że w sumie to, co ja zrobiłem, wyszło tylko na dobre, gdyż obnażyłem słabości w obronie budynku Komitetu Wojewódzkiego, no bo niechby tak zamiast mnie ktoś inny dostał się do schronu i podłożył tam bombę, to już by nas nie było na tym świecie, a przy okazji, dodał komendant, parę nieodpowiedzialnych osób zostało zdjętych ze stanowisk.

Niedługo po tym wypadku ze mną, ślusarze zamocowali dwie żelazne sztaby na drzwiach do schronu, zamykane na potężne kłódki i garbus ze swoim komendantem i nowym sekretarzem do spraw bezpieczeństwa zarządzili, że dwa z czterech kluczy do schronu mają znajdować się na wartowni, w solidnie zabezpieczonej skrzynce, a dwa pozostałe klucze w gabinecie nowego pierwszego sekretarza, w pancernym sejfie. Później te zarządzenia odwołano i było jak przedtem, gdyż przy następnym ćwiczebnym alarmie przeciwlotniczym pracownicy Komitetu pół godziny stali pod drzwiami schronu, nim przyniesiono klucze i otwarto drzwi do schronu, a regulamin ustanawiał, że ewakuacja do schronu nie może trwać dłużej niż trzy minuty.

Pierwszego sierpnia, kilka dni po tej nieudanej ewakuacji, wyjechałem z ojcem w Bieszczady na pierwszy obóz wypoczynkowy dla przodowników pracy socjalistycznej. Wyjechałem, ale z postanowieniem, że po powrocie mimo wszystko odnajdę telefon do Stalina i, oprócz tamtych pytań, powiem mu jeszcze jak zostałem oszukany przez garbusa, który miał czelność podać się za samego Stalina.

OBÓZ

Od pierwszego dnia obozu wypoczynkowego dla przodowników pracy socjalistycznej w Bieszczadach, w ogóle pierwszego takiego obozu w Bieszczadach, niedaleko wsi Sadowa, Jeździłem gazikiem z ojcem do sklepu w Sadowej po chleb dla obozu. Wszystko inne potrzebne do jedzenia było przywiezione wcześniej ciężarówką – góra konserw z grochem i mięsem wołowym. Podczas jazdy do Sadowej, gdy wypadał słoneczny dzień, widziałem jak żmije wygrzewały się na piaszczystej drodze od obozu do pierwszych domów wsi, z daleka wyglądały jak patyki albo, jeśli były skrecone wokół siebie, przypominały kopczyki świeżej ziemi, małe kretowiska. Ojciec, prowadząc gazik, jechał nieubłaganie prosto, nie omijał nawet łba żmii leżącej na skraju drogi. Nieruchoma przed nami droga zaraz za naszym przejazdem ożywała. Przejechane kołami żmije unosiły łby, podskakiwały, zwijały się i splątywały z sobą. Patrzyłem na przemian to przed siebie, w kierunku jazdy auta, to, klękając na siedzeniu, za siebie, fascynowała i jednocześnie przerażała ta nagła przemiana drogi z martwej w żywą, a ojciec nie zwracał na to najmniejszej uwagi, najwyżej kłął, jeśli jakaś żmija wylatywała spod koła w powietrze i spadała na szybę. W sklepie, bez czekania w kolejce, przy wrogiej i milczącej obecności Ukraińców, ładowaliśmy do dwóch koszy chleb i po zapłaceniu zanosiliśmy kosze na tylne siedzenie gazika, gdzie przykryty brezentem leżał kabekaes. W powrotnej drodze wszystko odbywało się podobnie, tak samo fascynująco i przerażająco. Żmije, znowu zastygłe w bezruchu pod promieniami słońca, jakby tylko czekały na przejazd naszego gazika, który tchnąłby w nie życie. Gdy zatrzymywaliśmy się pod namiotem kwatermistrzowskim, opony i błotniki oklejone były bryją ciemnobrunatnego mięsa. Jeden z przodowników pracy socjalistycznej, który akurat miał dyżur w kuchni, musiał patykiem zeszkrobywać strzępy tego mięsa.

Tego, że w miejscu wybranym na obóz dla przodowników pracy socjalistycznej, na płaskiej polanie wśród sosen, nad Łękawką szerokości dwóch metrów, w miejscu wybranym

spośród wielu innych przez pracowników Komitetu Wojewódzkiego, pracowników Urzędu Bezpieczeństwa i oficerów z Kabewu, którzy w razie potrzeby – a rozchodziło się o obronę przed ewentualną napaścią Ukraińców, chociaż pracownicy Ube zapewniali, iż na tym terenie pozostali jedynie Ukraińcy lojalni wobec nowej władzy ludowej – mieli przyjść z pomocą przodownikom i w tym celu przeprowadzono linię telefoniczną pomiędzy obozem a najbliższym garnizonem Kabewu; tego jednak, że w tym pięknym i odludnym miejscu będzie się kłębiło od żmij, nikt nie przewidział. Komendant obozu, Swiszczyński, miał nawet pretensje do wojskowych, że na mapach nie oznaczyli większych skupisk żmij. No ale obozu nie dało się już przenieść gdzie indziej, chociaż rozpatrywano tę sprawę, kiedy pierwszego dnia po przyjeździe, jeden z przodowników został ukąszony przez żmiję i trzeba go było wieść aż do Krosna, gdyż żaden z bliższych szpitali i ośrodków zdrowia nie miał surowicy. Przygotowanie obozu w innym miejscu i przenosiny potrwałyby z tydzień, a tu już wszystko było gotowe, namioty rozbite, kuchnię tylko podpalić, latryny wykopane przez żołnierzy i, co ważne, w pobliżu, sto metrów od obozu, po drugiej stronie drogi, stała leśniczówka, w której zamieszkała kadra obozu z rodzinami, z małymi dziećmi. Moja matka miała przyjechać później, gdyż musiała być u dziadka przez czas jego choroby. Leśniczego na czas trwania obozu przekwaterowano do Sadowej, do jednego z gospodarstw po wysiedlonych Ukraińcach. Tu już musimy pozostać – ostatecznie zdecydował Swiszczyński, dodając – i mało tego, że pozostaniemy, ale wytrzebimy ten skrawek Bieszczad ze żmij, w końcu mamy w obozie najlepszych przodowników pracy socjalistycznej, radzili sobie dobrze w fabrykach, poradzą sobie i ze żmijami. Podczas obiadu komendant zapowiedział, że od następnego dnia każdy uczestnik obozu będzie się meldował na wieczornym apelu z pięcioma zabitymi żmijami. Tym, którzy nie wykonają normy, groziły dodatkowe dyżury w kuchni i dodatkowe warty dokoła obozu i przy leśniczówce dla kadry, a najbardziej leniwym powiadomienie ich zakładu pracy o nagannym sprawowaniu się na obozie. Jednocześnie komenda obozu, w której skład wchodził Swiszczyński, mój ojciec jako kwatermistrz, Karło jako instruktor polityczno-wychowawczy, instruktor wojskowy pan Kubuś i doktor Stokłosa, postarała się zrobić wszystko, aby przodowników w jak najbardziej skuteczny sposób zabezpieczyć przed żmijami. Wszyscy dobrze pamiętali, co po odwiezieniu ukąszonego uczestnika obozu powiedział Karło: towarzysze, gdyby tak śmierć od żmii to będzie polityczna sprawa, oni tu przyjechali odpocząć po ciężkiej pracy, a nie, żeby umierać. Ojciec pojechał do najbliższego garnizonu wojskowego i przywiózł stamtąd dla wszystkich, także i dla kadry, buty-waciaki i do każdej pary waciaków porządne, flanelowe onuce. My, dzieci kadry i kucharza, było nas sześcioro, czterech chłopaków i dwie dziewczyny, dostaliśmy buty gumowe. Każdy uczestnik

obozu musiał chodzić w tych butach pod groźbą wyrzucenia z obozu. Wolno je było zdejmować tylko do spania. Wysokie do kolan buty i gumaki rzeczywiście chroniły przed żmijami, jeśli się na nie przypadkowo nadepnęło, a takie wypadki nie należały do rzadkości, tylko że po kilku słonecznych dniach o temperaturze powyżej dwudziestu stopni, w namiotach trudno było wytrzymać od smrodu przeпоconych skarpet i onuc i samych butów, a na noc nie dało się zostawiać otwartych wejść do namiotów, żeby nie weszły żmije, jeszcze trzeba było darnią uszczelniać boczne ściany przy samej ziemi, co i tak nie gwarantowało, że żmije nie przedostaną się do wnętrza. Jurgielewicz, frezer z Mielca i dowódca jednego z namiotów, rano włożył nogę do buta i krzyknął sparaliżowany ze strachu, przez kilkadziesiąt sekund siedział nieruchomy z jedną nogą w bucie, aż wreszcie wykrztusił, że już chyba po nim. Gdy inni zorientowali się i trzymając w pogotowiu kije, zdjęli waciak z nogi Jurgielewicza, na ziemię wypadła z buta martwa żmija, a Jurgielewicz nie miał na nodze żadnej rany po ukąszeniu. Żmija, wchodząc do waciaka, udusiła się od smrodu, inaczej tego nie dało się wytłumaczyć i tak Jurgielewicz już z samego rana miał upolowaną jedną żmiję.

Każdy taki dowódca jak Jurgielewicz miał pod sobą dwudziestu czterech przodowników mieszkających w jednym namiocie, a namiotów sypialnych było sześć, plus namiot kwatermistrzowski z zapasami jedzenia i namiot-stołówka, ten ostatni z długimi ławami i stołami, bez bocznych ścian. W stołówce stały też dwie wojskowe kuchnie polowe. Pierwsze dni obozu wypoczynkowego dla przodowników pracy socjalistycznej były całkowicie przeznaczone na łapanie żmij, co najmniej pięć sztuk i na zabezpieczenie obozu przed tymi gadami. Były pomysły, żeby zbudować mur wokół obozu, albo umieścić gęste zasieki z drutu kolczastego, żeby wypożyczyć z ogrodu zoologicznego jakieś zwierzęta odżywiające się żmijami i przypalikować je przy namiotach, żeby wykopać rowy i wypełnić je niegaszonym wapnem, albo, co wymyślił jeden ze starszych przodowników, już po wojsku, żeby na obrzeżach obozu porozkładać bardzo czułe miny bliskiego rażenia. Swiszczyński i mój ojciec, słysząc te wszystkie propozycje, doszli do wniosku, że to już jest histeria i obawiali się, żeby przodownicy nie zaczęli uciekać z obozu do domów. Aby temu zapobiec ojciec przywiózł z Sadowej leśniczego i leśniczy powiedział przodownikom, że nie mają się czego bać, żmije są płochliwymi stworzeniami i, jak tu żyje, jeszcze nie widział, aby żmija sama od siebie zaatakowała człowieka, że waciaki są wystarczającym zabezpieczeniem przed nimi, a poza tym, za parę dni, żmije wiedzione instynktem bezpieczeństwa będą omijać teren obozu. Na koniec leśniczy pokazał jak najlepiej łapać żmije: długim patykiem rozwidlonym na końcu tak, jak u procy na kamienie. Jednak leśniczy nie przekonał przodowników co do tego, że nie mają powodu bać się żmii, gdyż po jego odjeździe uprosili komendanta, żeby po każdym

wieczornym apelu rozlewać z kanistrów benzynę dokoła obozu i podpalać ją. Pierwszego wieczoru, gdy wokół namiotów rozgorzała złoto-niebieska ścieżka ognia, wszyscy poczuli się pewniej i jakoś tej nocy z żadnego namiotu nie wybiegł okrzyk przerażenia z powodu prawdziwej czy urojonej obecności gadów w namiotach. Histeria została opanowana. Uczestnicy obozu też prędko nauczyli się łapać i zabijać żmije. Z początku wystarczyło wejść kilka metrów w las, żeby w widelkach patyka unieruchomić głowę żmii i odciąć ją siekierą od tułowia czy po prostu zatłuc kijem. Później, jak przepowiedział leśniczy, żmije oddaliły się od obozu i trzeba było ich szukać coraz dalej, na polanach i leśnych drózkach, gdzie ich było tyle, że wystarczyłoby dla stu takich obozów. Przodownikom pochodzącym z miasta, a ich było więcej, najtrudniej było się przyzwyczaić do brania żmij do rąk, gdyż, nawet bez głowy, drgały i zwijały się jakby były żywe. Urodzeni i wychowani na wsi bez strachu i odrazy zarzucali sobie martwe żmije na szyje, żeby mieć wolne ręce do polowania na następne. Na wieczornym apelu wszyscy po kolei podchodzili do specjalnie wykopanego dołu i w obecności Swiszczyńskiego lub pana Kubusia, wrzucali tam żmije. Pochwały i zwolnienia od wart i dyżurów otrzymywali ci, którzy ubili żmij ponad przepisowe pięć sztuk.

Po tygodniu, kiedy kadra uznała sprawę żmij za załatwioną i Swiszczyński wysłał meldunek do „Nowin”, że przodownicy pracy socjalistycznej z obozu wypoczynkowego w Sadowej zobowiązali się oczyścić Bieszczady ze żmij, aby te góry i lasy stały się bezpieczne dla turystów i że już ubili tyle i tyle sztuk tych jadowitych gadów, po tygodniu, kiedy pan Kubuś chciał już przystąpić do regularnej nauki strzelania z kabkaesu, po tygodniu, kiedy Karło zamierzał już wygłosić cykl pogadanek o różnicy pomiędzy ustrojem kapitalistycznym a socjalistycznym i wykazać wyższość drugiego z nich i jednocześnie zamierzał zorganizować turniej piłki siatkowej pomiędzy namiotami, po tym tygodniu, większość przodowników zaczęła utykać, tak iż musieli podpierać się kijami do zabijania żmij i skarżyli się na bąble i otarcia, jakie im się wytworzyły na stopach. Doktor Stokłosa, z którego córką, Lucyną, bawiłem się w lekarza, zbadał pierwszych dziesięciu najbardziej kwękających przodowników i orzekł, że sprawa jest bardzo poważna. Stokłosa do tego czasu tylko siedział na werandzie i sam lub z moim ojcem, czy panem Kubusiom, pił wódkę, waciaków nigdy nie ubierał i nam, dzieciom, kazał zdejmować gumki i chodzić boso wokół leśniczówki, a nawet brodzić po strumieniu. Więc po zbadaniu doktor Stokłosa powiedział komendantowi, że u dziesięciu przodowników wykrył grzybicę a u jednego gangrenę palca i trzeba go natychmiast operować, na szczęście, dodał, to mały palec i może go uciąć na miejscu. Instruktor polityczno-wychowawczy, przysłuchując się co mówi Stokłosa, złożył ręce jak do modlitwy i powiedział, że to śmierdzi konsekwencjami politycznymi, bo co będzie, gdy okaże się, że

przodownicy przyjechali na obóz zdrowi, a wyjadą z niego kalekami. Doktor zdenerwował się i orzekł, że nie wie jak śmierdzą konsekwencje polityczne, ale wie jak śmierdzą nogi tych przodowników, których zbadał i niech je Karło sam powącha. Z kolei Karło odparł wyniośle, że widocznie doktor jeszcze nie posmakował wszystkich zapachów na tym świecie, a poza tym, to on niczego nie będzie wąchał, bo sprawy zdrowia do niego nie należą. Klócili się jeszcze jakiś czas. Później komendant i doktor Stokłosa postanowili zarządzić przerwę na trzy dni w akcji oczyszczania Bieszczad ze żmij i równocześnie nakazać przodownikom, aby jak najczęściej, kiedy tylko nie wychodzą do lasu, zdejmowali waciaki i moczyli nogi w strumieniu, a przed nałożeniem waciaków posypywali talkiem onuce lub skarpety. Talk nazajutrz z apteki w Krośnie, dwa worki, cały zapas apteki, przywiózł ojciec. Przodownikowi, który miał gangrenę, Stokłosa uciął nożem najmniejszy palec u nogi. Zoperowany został pocieszony miesięcznym zwolnieniem lekarskim od pracy, liczoną od dnia powrotu z obozu do domu i obietnicą, że ta operacja może go przemienić w innego człowieka, gdyż jak wykazały badania naukowe, ludzie o czterech palcach u nóg odznaczają się wybitnymi zdolnościami w różnych dziedzinach, podobno, powiedział Stokłosa, Sokrates i Aleksander Wielki mieli tylko po cztery palce u nóg. Przodownik z ciętym palcem nie znał ani jednego ani drugiego nazwiska, a i samym obcięciem palca zbyt się nie przejął. Stwierdził, że będzie miał mniej do mycia i dwa dni po operacji poprosił Stokłosę o ucięty palec, bo chciał go pokazać narzeczonej. Niestety, doktor Stokłosa już wyrzucił palec do latryny.

W tym czasie ja miałem najwięcej luzu ze wszystkich dzieci. W południe jeździłem tylko z ojcem po chleb do Sadowej, a z wcześniejszymi i późniejszymi godzinami mogłem robić co chciałem, tylko że z początku nie było za bardzo co robić. Inne dzieci przyjechały z ojcami i matkami, a moja matka miała dopiero dojechać, jeżeli zdrowie dziadka, u którego była, poprawi się, albo dziadek umrze. Dwóch grubasów, synów kucharza, było w tym samym wieku co i ja, ale po kilku dniach grania z nimi w okręty i państwa-miasta, i to wyłącznie w leśniczówce, gdyż ich matki, ze względu na żmije i Ukraińców, nie pozwalały im samym wychodzić, strasznie znudziły mi się te gry. Mnie ojciec, oprócz tego, że nie pozwalał wchodzić do lasu bez gumiaków na nogach, niczego nie wzbraniał. Z początku od chodzenia w gumiakach też porobiły mi się bąble na stopach, ale od momentu, gdy przechodziłem przez strumień i woda nalała mi się do butów i w jednej chwili przestałem odczuwać ból, zawsze przed wyjściem z leśniczówki nalewałem do gumiaków po garnuszku zimnej wody i po kilku dniach bąble znikły, a poza tym, podpatrując doktora Stokłosę i jego córkę, starałem się jak najczęściej chodzić na bosaka. Trzeci chłopak, syn instruktora Karły, najstarszy z nas wszystkich, całymi dniami nie wychodził ze swego pokoju i czytał książki, a gdy czasami

pojawił się na werandzie i grał z nami w państwa-miasta, to zawsze wygrywał. Mówiłem mu, żeby zrobił wojsko, on zostałby kapitanem, a my jego żołnierzami, może wtedy pan Kubuś nauczyłby nas strzelać z karabinu, lecz młody Karło odrzekł, że już wyrósł z tego rodzaju zabaw, a poza tym jest pacyfistą i uważa, że wojsko w ogóle powinno przestać istnieć i to we wszystkich państwach naraz, wtedy nigdy nie będzie wojen i takim osrałkom jak ja nawet nie przyjdzie do głowy bawić się w wojsko. O tym, że jest pacyfistą, Karło poprosił, abym nikomu nie mówił, bo gdyby się ojciec jego dowiedział, sprząłby mu dupę na miękko, ale ja ze złości, że nazwał mnie osrałkiem, choć do wszystkich młodszych od siebie tak mówił, powiedziałem to chłopakom w leśniczówce. Grubasów nic nie obeszło kim jest młody Karło i, tak jak i ja, wcale nie wiedzieli kto to, czy co to jest pacyfista, więc powiedziałem też Lucynie, starszej ode mnie lecz młodszej od syna instruktora polityczno-wychowawczego. Akurat wtedy pierwszy raz bawiliśmy się w badanie mężczyzn, którzy szli do wojska. Lucyna kiedyś była z ojcem przy komisji poborowej i widziała jak się robi takie badania. Gdy mi zaproponowała tę zabawę, zgodziłem się bez namysłu. Już wtedy tak się nudziłem w leśniczówce, a do obozu nie było po co chodzić, przodownicy tylko na przemian zanurzali chore stopy w strumieniu i wystawiali je do słońca, że zgodziłbym się na zabawę nawet w sekcję zwłok. Lucyna była doktorem, siedziała przy stole ze słuchawkami do badania, które zabrała z torby ojca, a ja byłem tym, który miał być zbadany czy nadaje się do służby w wojsku czy nie. Bawiliśmy się w moim pokoju, ojciec w tym czasie wydawał kucharzowi konserwy na obiad, wprawdzie Lucyna kazała mi stanąć na baczność i zapytała o moje nazwisko i imię. Gdy je powiedziałem, wydała następny rozkaz: rozbierać się. Zdjąłem koszulę i znowu stanąłem na baczność. Rozbierać się dalej, spodnie. Zdjąłem spodnie i na powrót baczność. A majtki? To oni tam na golasa, zdziwiłem się. Nie gadać, zdjęć majtki i podejść do stołu. Zdjąłem i trochę przestraszony ostrym głosem Lucyny podszedłem do niej. Zbadła mnie słuchawką z przodu i z tyłu, palcem popukała w plecy, po czym kucnęła i ścisnęła mnie za jądra tak mocno, aż krzyknąłem z bólu. Ty myślałaś, roześmiała się Lucyna, że badania do wojska to taka prosta rzecz? Tam w komisji siedzi pełno doktorów i każdy za to ciągnie? Po co? Tato powiedział, że każdy chłop musi mieć tutaj, jeszcze raz ścisnęła mnie za jądra, dwie kulki, jak nie ma, to żaden chłop i nie nadaje się do wojska, a nawet może przemienić się w dziewczynę. Przestraszyłem się takiej możliwości i sam pomacałem swoje jądra, stwierdzając z zadowoleniem, że mam tam dwie przesuwające się pod palcami kulki: no, ja mam. W porządku, orzekła Lucyna, jutro zgłosicie się do generała i zostaniecie przyjęci do wojska. Kilka razy wychodziłem i wchodziłem do pokoju, rozbierałem się i ubierałem, tylko za każdym razem podając inne, jak sobie tego życzyła Lucyna, zmyślone nazwisko i za każdym

razem bałem się ściśnięcia jąder przez Lucynę, a jednocześnie czekałem na to ściśnięcie z coraz większą niecierpliwością i, mimo bólu, zaczynało mi to sprawiać przyjemność, aż wreszcie mój mały pomarszczony siurek zrobił się grubszy niż normalnie i w ogóle większy. Lucyna zauważając tę zmianę pogłaskała siurka i powiedziała, że jak na swój wiek jestem dobrze rozwinięty, że mam większego niż chłopaki starsze ode mnie i że jeszcze będziemy się bawić w różne ciekawe zabawy. Wówczas zapytałem, czy widziała jakiego ma syn instruktora polityczno-wychowawczego. Lucyna prychnęła ze złością, że on to chyba nic nie ma, raz prosiłam, żeby mnie podrapał w tyłek, bo mnie akurat coś ugryzło, a ten głupek odrzekł, abym się poszła obetrzeć o drzewo, wyobrażasz sobie, jak krowa? I w tym właśnie momencie zdradziłem, że to pewnie dlatego, że Karło jest pacyfistą. Lucyna też nie wiedziała co znaczy pacyfista, ale po namyśle odrzekła, że pacyfista brzmi podobnie jak syfilista, a syfilista to taka choroba, z którą nie biorą do wojska, dopiero jak się z niej wyleczy, i z tego by wynikało, myślała głośno Lucyna, że pacyfista to nieuleczalna odmiana syfilisty, czyli coś bardzo groźnego, ale ona jeszcze dokładnie popyta o to ojca, tato nie ma przede mną żadnych tajemnic w sprawach chorób, gdyż chce abym została lekarzem i uważa, że im wcześniej zacznę się znać na chorobach, tym lepiej dla mnie, niedawno, chociaż mama nie chciała, pozwolił mi się przyglądać jak ucina palec jednemu z obozu. I zaraz Lucyna zaproponowała zabawę w operację, lecz mnie się to nie spodobało, wołałem w badanie do wojska.

Nazajutrz, nim wyjechałem z ojcem do sklepu, przyszła Lucyna i powiedziała, że pacyfista jednak nie ma nic wspólnego z syfilistą, a dokładniej z syfilisem, bo syfilista czy syfilis to choroba organizmu, coś takiego jak grypa tylko o wiele groźniejsza, a pacyfista to choroba umysłowa, taki mniej groźny zajob i jeszcze jej ojciec powiedział, że co prawda pacyfista nie jest zaraźliwy, ale lepiej z takim człowiekiem nie zawierać znajomości; a gdy Stokłosa się dowiedział, że to chodzi konkretnie o syna instruktora polityczno-wychowawczego, zdziwił się i zaraz też ucieszył, mówiąc do żony: no to mam tego skurczysyna w garści, pacyfistę w domu wychował. Lucyna więcej na ten temat nic się od ojca nie dowiedziała, gdyż matka powiedziała, że już koniec, że lepiej aby sobie nie zawracała głowy ani pacyfistami arii syfilitykami, bo to jeszcze nie na jej wiek. Matka, przyznała Lucyna, zamykała przed nią grube książki ojca z rysunkami i fotografiami chorych ludzi, także przerywała jej rozmowy z ojcem o różnych chorobach, gdyż wołałaby, żeby córka została artystką, ale w żadnym wypadku aktorką, tylko malarką albo pisarką, najlepiej malarką, tak jak dawniej pragnęła nią być Stokłosowa, pragnęła i chyba jeszcze dalej pragnie, gdyż nawet tutaj, do leśniczówki, przywiozła pędzle, farby i kartony, lecz stwierdziła, że do malowania las jest taki nudny, iż szkoda farb.

Od tej pierwszej zabawy w badanie zaprzyjaźniłem się z Lucyną i już nie nudziłem się. Każdego ranka byłem ciekawy, jakie badania tego dnia wymyśli i kto będzie doktorem, ona czy ja, bo i ja postanowiłem kształcić się na lekarza i kiedyś pójść do takiej doktorskiej szkoły. Doktor Stokłosa i jego żona i także mój ojciec, doszli do wniosku, iż to bardzo dobrze, że ich dzieci przypadły sobie do gustu, oboje są inteligentni, mówili, i po tym jak długo z sobą przebywają widać, że nie zanudzają się wzajemnie. Pozwalali nam samym chodzić do strumienia i na poziomki do lasu, a żebyśmy się czuli bezpiecznie, czy raczej wyglądali groźnie dla obcych, to znaczy tutaj mieszkających Ukraińców, ojciec podarował mi wiatrówkę i kilka paczek śrutów. Lucyna, choć dziewczucha, polubiła strzelanie z wiatrówki i, do czego trudno mi się było przyznać, strzelała celniej ode mnie, ale za to ja, co ona jednak nawet głośno przyznawała, stawałem się z dnia na dzień coraz lepszym lekarzem, a zwłaszcza w dziedzinie chorób kobiecych. Też niezłe radziłem sobie z porodami. Lucyna pochwaliła mnie, że jeszcze nikt tak dobrze jak ja nie zbadał, czy ma w środku dziecko czy nie, inni, mówiła ze śmiechem, to ledwie koniuszek palca wetkną, jakby myśleli iż dziecko jest zaraz z brzegu. Dla mnie było oczywiste, że gdyby dziecko znajdowało się zaraz z brzegu, wypadłoby po zdjęciu majtek.

Którejś nocy rozległy się w obozie strzały, wpierw dwa, jeden po drugim, chwila przerwy, znowu dwa i zaraz strzelanina na całego. Ojciec po pierwszych strzałach przeniósł mnie z łóżka pod ścianę i spod materaca wyjął kabekaes. Naładował go i, uważnie obserwując co jest na zewnątrz leśniczówki, otworzył okno. W całym domu słychać było przytłumiony rumor, pomyślałem, że w tej chwili wszyscy mężczyźni w leśniczówce robią to samo co ojciec. Strzały słychać było z każdej strony. Otaczają nas Ukraińcy, powiedział ojciec i kazał mi się przemknąć na czworakach do pana Kubusia i zapytać go, czy już zawiadomił przez telefon garnizon Kabewu. Na korytarzu uderzyłem głową o czyjeś nogi, ten ktoś wywrócił się i jednocześnie złapał mnie rękami za szyję i zaczął dusić. Tracąc przytomność usłyszałem nad swoją głową okrzyk pana Kubusia: złapałem Ukraińca! Gdy odzyskałem świadomość, leżałem znowu na podłodze w naszym pokoju i w świetle księżyca widziałem pochylone do mnie twarze ojca, pana Kubusia i Swiszczyńskiego. W porządku, dochodzi do siebie, nic mu nie będzie, usłyszałem głos ojca i zaraz po nim odezwał się pan Kubaś, żebym nie gniewał się na niego, bo myślał, że to jakiś Ukraińiec wdarł się do leśniczówki. Niech tu leży i nie rusza się, ostro przerwał komendant, po czym przedstawił plan obrony: Kabewu powiadomione, ale przyjadą najprędzej w ciągu pół godziny, do tego czasu ojciec ma kierować obroną leśniczówki, a Swiszczyński i pan Kubaś przebiją się z kabekaesami do obozu, gdzie, sądząc po zwiększającej się ilości strzałów, walka zaostrzała się. Po chwili komendant i pan Kubaś,

ubezpieczani z okna przez ojca, wyszli przez werandę do strumienia, wzdłuż którego, idąc po obu jego stronach, mieli dojść do obozu. Żeby tylko doszli, szepnął ojciec. Nagle rozległ się strzał z bardzo bliska, tylko z drugiej strony leśniczówki, od drogi. Ojciec zawołał przodownika, który tej nocy pełnił wartę przy leśniczówce i zaraz przy pierwszych strzałach wszedł do środka, i kazał mu zająć miejsce przy naszym oknie i strzelać do każdej zbliżającej się postaci, chyba że to będą żołnierze, ale oni przyjadą autami, więc wcześniej ich usłyszysz, a sam poszedł do pokoju kucharza, którego okno wychodziło na drogę. Za chwilę usłyszałem stamtąd dwa strzały. Rany boskie, wyrzekł przestraszony przodownik, podpała i koniec z nami. Wziąłem swoją wiatrówkę, naładowałem i stanąłem z drugiej strony okna, przodownik poczuł się pewniej w moim towarzystwie. Tymczasem z głębi domu słyszałem, że ojciec każe kobietom napełniać wodą wszystkie wiadra i miednice – i on wziął pod uwagę możliwość podpalenia leśniczówki – hydrofor pracował nieustannie, co będzie, zastanawiałem się, gdy Ukraińcy odetną prąd i zdziwiłem się, że dotąd tego nie zrobili, nie odcięli ani prądu, ani kabla telefonicznego do Kabewu, drut z prądem i kabel bieły po tych samych słupach przy drodze. Z leśniczówki od strony drogi ojciec i Stokłosa wystrzelili kilka razy, nikt im nie odpowiedział. W obozie strzelanina cichła, z rzadka rozlegał się pojedynczy strzał. O świcie, gdy zaczynała podnosić się z ziemi mgła, ucichło całkowicie, nastąpiła jakaś nienaturalna cisza, aż pomyślałem, że teraz dopiero jest niebezpiecznie i ledwie to pomyślałem, zauważyłem postać nad strumieniem, ktoś szedł w kierunku leśniczówki. Pokazałem przodownikowi, ale on już też widział i mierzył z karabinu, miałem mu powiedzieć, żeby jeszcze chwilę zaczekał, bo nie wiadomo kto to jest, gdy wystrzelił. Jednocześnie z odgłosem strzału rozległ się kobiecy, długi, pełen przerażenia okrzyk i znowu nastąpiła cisza, po tym okrzyku jeszcze bardziej głębsza niż uprzednio i bardziej niebezpieczna. Zaraz przybiegł ojciec i zapytał co się dzieje. Przodownik, krzywiąc twarz jakby w płaczu, wskazywał w kierunku strumienia i mówił, że chyba kogoś zastrzelił. W tej samej chwili usłyszeliśmy warkot auta. Są wreszcie, ojciec odetchnął pełną piersią, jakby nabrał, wydawało mi się, wyjątkowo gęstego powietrza, które z trudem przechodziło przez gardło. Pierwsze auto skręciło pod leśniczówkę, spod plandeki, jeszcze w biegu, wyskakiwali jeden po drugim żołnierze i z karabinami gotowymi do strzału otaczali leśniczówkę. Dwa następne auta pojechały pełnym gazem do obozu. Porucznik, któremu ojciec otworzył drzwi leśniczówki, zapytał czy są zabici lub ranni. Z naszej strony nie, przynajmniej tutaj, odrzekł ojciec, ale prawdopodobnie tam, przy strumieniu, pokazał kierunek, leży jeden z nich, tylko trzeba uważać, bo może być lekko ranny... Wiem co robić, przerwał porucznik i przywołując trzech żołnierzy poszedł z nimi w stronę Łękawki. Gdy znaleźli się blisko drzew padli na ziemię i zaczęli się czołgać. Za chwilę

przez otwarte okno, z którego patrzyłem na odchodzących żołnierzy, dobiegł strzał i głos porucznika: poddać się! jesteście otoczeni! Na ten głos kapral, który dowodził żołnierzami pod leśniczówką, rozkazał kilku z nich pobiec na pomoc porucznikowi. Po niedługiej chwili na podwórze leśniczówki wyszła, kulejąc i w podartej, umazanej błotem sukience, dwudziestoletnia dziewczyna, płakała, za nią szli żołnierze z karabinami w rękach. Porucznik kazał, do przesłuchania, zamknąć dziewczynę w piwnicy, a sam, jak się wyraził, poszedł z żołnierzami przeczesać teren. Wrócili, gdy słońce było już wysoko na niebie. Nie natrafili na ani jednego Ukraińca. Przyszli też żołnierze z dwu aut, które pojechały do obozu i oni nie spotkali nikogo obcego. Była tylko ta jedna dziewczyna zamknięta w piwnicy, wejścia strzegł przodownik, na którego twarzy wyraźnie widziałem, iż jest zadowolony, że nie trafił z okna. Porucznik w towarzystwie sierżanta i dwóch kaprali i w obecności kadry obozu, zaczął przesłuchiwać dziewczynę w pokoju komendanta Swiszczyńskiego, okna tego pokoju wychodziły na werandę, więc ja i Lucyna natychmiast skorzystaliśmy z okazji, żeby podsłuchać przesłuchanie. Zapytana skąd jest, odpowiedziała z płaczem, że z Sadowej i zaraz dodała, że wszystko sama powie, pod warunkiem, że panowie oficerowie niczego nie zdradzą jej ojcu, bo gdyby się ojciec dowiedział, że ona zadaje się z Lachami, to by ją tak stłukł, iż byłoby lepiej, aby została od razu zastrzelona, raz pies, ciągnęła dziewczyna, pochlipując, dał się na podwórzu pogłaskać Lachowi, to ojciec później poszedł z psem do lasu i powiesił go na drzewie... Do diabła z twoim psem, ostro przerwał porucznik, powiedz kto był jeszcze z tobą i po co tutaj przyszliście? Ile was było? Ja wszystko powiem, przysięgam, dziewczyna nie przestawała płakać, ale ojcu, że tu byłam, nie można ani słowa, on tego psa bardzo lubił i go powiesił... Dobra, nie powiemy mu, zgodził się porucznik, ale takim fałszywym tonem, że aż Lucyna nie wytrzymała i szepnęła, a to świnia. Okazało się, że Ukrainka, zbierając w lesie poziomki, natknęła się na jednego z przodowników pracy socjalistycznej, on się zapytał po co jej tyle poziomek, a ona odpowiedziała, że zbiera, aby sprzedać w punkcie skupu, on na to, że jakby zaczęła przychodzić do nich do obozu, to jednej nocy zarobiłaby więcej, niż za tydzień czy nawet miesiąc zbierania poziomek. – A ja, panie oficerze, chcę wyjechać z Sadowej, bo tu sama głupota mieszka, a chłopcy to tylko chleją wodę i pomyślałam, żeby pojechać do Warszawy, jedna od nas już tam pojechała i napisała mi w liście, że w Warszawie to jest prawdziwe życie, że buduje się tam szerokie drogi jak w Paryżu, choć nie wiem skąd ona to wie, bo nigdy w Paryżu nie była, chyba żeby z tej Warszawy pojechała tam na wycieczkę, jeszcze pisała, że dużo ładnych chłopaków i każdy zaleca się, ale przyzwyczajcie, nie jak nasze chłopcy, co od razu rękę pomiędzy nogi wkładają, że może mi pracę znaleźć w fabryce i jak będę dobrze pracować i na dodatek zapiszę się do komunistów, to mogę nawet dostać

mieszkanie na własność w takim dużym bloku, tylko zastrzegła w liście, że jeśli przyjadę ubrana jak tłumok ze wsi, to ona się do mnie nie przyzna, bo nie chce, żeby jej narzeczony pomyślał, że ona też taki tłumok, skoro ma takie koleżanki, że koniecznie przed wyjazdem muszę sobie sprawić porządną suknię, płaszcz i buty, no i ja dlatego zaczęłam zbierać poziomki i sprzedawać w punkcie skupu, żeby kupić w mieście te rzeczy, ale co trochę uskładałam pieniędzy, to mi ojciec zabierał i szedł do knajpy, a gdy nie chciałam dać, to mnie bił, więc jak mi ten Lach powiedział, że u nich mogę tak dużo zarobić, to sobie obliczyłam, że jeszcze tego roku mogłabym pojechać do Warszawy i zgodziłam się przychodzić co noc do obozu, a on wtedy powiedział, że jemu, za to, że mi znalazł taki dobry zarobek, muszę zawsze dawać pierwszemu i za darmo, no to co miałam robić, zgodziłam się po sprawiedliwości, ale on był jeszcze taki ponagliwy, że chciał od razu przy tych poziomkach, no to ja widzę, że człowiek robi dla mnie dobrze, że mój wyjazd do Warszawy od niego zależy, więc się położyłam i zadarłam spódnicę do góry, tylko on był chuchro, albo taki baby głodny, ledwie się położył na mnie, nawet porządnie nie włożył do środka i zaraz mu wszystko wyciekło, całą spódnicę mi powalał... Z pół godziny opowiadała Ukrainka i wszyscy słuchali w milczeniu, jak zauroczeni, albo dlatego, że im się bardzo podobało co opowiadała. Nikt jej nie przerywał, dopóki nie doszła w swej opowieści do momentu kłótni pomiędzy Ryśkiem, to znaczy tym chłopakiem, którego poznała podczas zbierania poziomek, a innym, którego imienia nie pamiętała. Poszło o to, że tamten chłopak powiedział, że Rysiek nie może za każdym razem być pierwszy, bo nie dość, że za darmo, to Jeszcze pierwszy, że to jest niesprawiedliwe i każdego dnia kto inny powinien być pierwszy, ale Rysiek nie zgodził się, mówiąc, że on tutaj przyprowadził Ukrainkę i jemu należy się pierwszeństwo. Obaj stali na warcie, gdyż dziewczyna w pierwszej kolejności obchodziła wartowników i dopiero później szła do namiotów, obaj mieli kabakaesy i nagle tamten drugi ze złości strzelił do Ryśka, lecz nie trafił, więc Rysiek strzelił do niego i też nie trafił, a z tego, co działo się dalej, dziewczyna prawie nic nie pamiętała, bo nagle ze wszystkich stron usłyszała strzelanie i uciekła do lasu. Z początku myślała, że wojna się zaczęła, albo jeszcze gorzej, że to ojciec i bracia dowiedzieli się, gdzie ona chodzi od tygodnia i przyszli ją zabić. Opamiętała się dopiero o świcie, w strumieniu niedaleko leśniczówki i wtedy usłyszała świst kuli obok głowy, po włosach jej przeszła, krzyknęła z przerażenia i upadła, a potem ujrzała porucznika i żołnierzy. Gdy dziewczyna umilkła, w pokoju komendanta zrobiło się cicho, jakby nikogo tam nie było. Dopiero doktor Stokłosa, po dłuższej chwili, odezwał się: jeżeli była zarażona, to mamy samych syfilityków w obozie. Spojrzeliśmy na siebie z Lucyną, przypominając sobie co ona niedawno mówiła o związkach pomiędzy pacyfizmem a syfilizmem i z jeszcze większą

ciekawością nadstawiliśmy uszu. I co pan na to? – zapytał Stokłosa. Co ja? co ja? – oburzał się instruktor Karło – czy ja im dupy dawałem? Ale to sprawy wychowawcze, rzekł doktor, wchodzi w zakres pańskich obowiązków i tu jeszcze polityki można się doszukać, Polacy zarażeni przez Ukrainkę? A idźże pan, w głosie Karły można było wyczuć strach, trzeba znaleźć tych dwóch, którzy rozpoczęli strzelaninę i odesłać karnie z obozu, a po drodze do domu przebadać ich w szpitalu, czy są zarażeni. Komendant kazał panu Kubusiowi zwołać wszystkich przodowników na apel, podczas którego Ukrainka miała wskazać Ryśka i tego drugiego przodownika. Tymczasem porucznik Kabewu, kończąc pisać protokół, był ciekaw czy dziewczyna zarobiła na miejskie ubranie. Tak, odpowiedziała z uradowaną twarzą, nawet trochę więcej, bo ja im każdej następnej nocy kazałam płacić więcej, jakby baby w życiu nie widzieli tak im się chciało. Po chwili komendant z kadrą i Ukrainka poszli do obozu, gdzie ona, przechodząc przed szeregiem stojących na baczność przodowników, bez wahania pokazała na Ryśka Marcinkowskiego i Dyzia Migalę: to oni. Komendant dla zasady zapytał ich, czy to prawda, że strzelali się o tę Ukrainkę. Obaj przyznali się i wówczas pan Kubuś zapytał, jak to możliwe, że z tak bliskiej odległości ani jeden z nich nie trafił drugiego? Migalę i Marcinkowski też tego nie rozumieli. Ale pan Kubuś wiedział i tego samego dnia, wieczorem, na werandzie, przyznał mojemu ojcu rację, iż ten upierał się, żeby wartownikom wydawać tylko ślepe naboje, inaczej byłoby kilka trupów. Święta Maryjo... – wyrwało się instruktorowi polityczno-wychowawczemu. Też tego samego wieczora, tylko o wiele później, w czasie narady kadry, doktor Stokłosa powiedział, że od początku było błędem zgrupować na cały miesiąc stu pięćdziesięciu młodych, zdrowych mężczyzn, nie dając im możliwości wyżycia się seksualnego. To co? – rzekł Karło z gniewem – mieliśmy im tu ładacznice dowozić? Pan to od razu wszystko traktuje wprost, roześmiał się złośliwie doktor, a poza tym teraz nie mówi się ładacznica tylko ka, a jeszcze poza tym to ja wcale nie miałem na myśli burdelu, jak pan to sobie wyobrażał, a jeszcze poza tym, to mówiąc o wyżyciu się seksualnym miałem na uwadze stronę psychiczną tego zagadnienia. Stokłosa, nic z tego nie rozumiem, wtrącił komendant. Po prostu uważam, powiedział doktor, że sama obecność kobiet na obozie rozładowałaby agresję seksualną przodowników, a jeśli przy okazji zawiązało się kilka miłości, to chyba nic strasznego. Karło od razu sprzeciwił się propozycji doktora, więc Świszczyński zarządził głosowanie: kto jest za tym, żeby dowieźć do obozu przodownice pracy socjalistycznej? Jednym głosem więcej wniosek doktora został zatwierdzony. Nazajutrz rano ojciec odwiózł na stację kolejową dwóch wydalonych z obozu przodowników i instruktora Karły, który jednocześnie miał dopilnować przebadania w szpitalu Migalę i Marcinkowskiego i obgadać w Komitecie sprawę doboru i dowozu do Sadowej przodownic

pracy socjalistycznej.

Trzy dni później przyjechało pięćdziesiąt dziewcząt. Zostały one w fabrykach i biurach, w nagrodę za dobrą pracę i polityczno-społeczne zaangażowanie, z dnia na dzień wytypowane na wyjazd na obóz wypoczynkowy w Bieszczadach. Karło, przyjeżdżając wraz z przodownicami, przywiózł też wyniki badań wenerologicznych Marcinkowskiego i Migały – ujemne. Doktorowi Stokłosie trudno było uwierzyć, że wśród tylu młodych mężczyzn nie znalazł się ani jeden zarażony, ale czuł się uspokojony, w razie jakichś kłopotów miał dokument ze szpitala, że, jeśli rozchodzi się o zdrowie, wszystko było w porządku.

Z chwilą przybycia przodownic obóz całkowicie się odmienił. Dziewczęta ruchliwością, śmiechami, swymi ciałami okrytymi tylko kostiumami do opalania, ożywiły polanę, na której stały namioty, zrobiły ją bardziej kolorową, wesołą. I przodownicy, jak przepowiadał doktor, zachowywali się inaczej niż wcześniej, nie było w nich nerwowej gwałtowności, często przeradzającej się w bójki, pili mniej wódki i częściej prali sobie skarpety i koszule w strumieniu, a niektórzy myli się każdego dnia. Sam Karło stwierdził, że zdecydowanie poprawiła się dyscyplina w obozie, a nawet, co wydawało się dziwne, jakby żmij ubyło, tak, że komendant zniósł obowiązek ubierania waciaków. Przodownicy zbudowali drugą latrynę dla przodownic, wyrównali ziemię pod drugie, boisko do siatkówki i często dwa boiska naraz były zajęte przez grających. Na pogadankach politycznych nie spali, a odwrotnie, chcąc się popisać przed dziewczętami, przodownicy zadawali Karle coraz bardziej wnikliwe pytania z dziedziny marksizmu-leninizmu i w ogóle z całej polityki, aż czasami instruktor polityczno-wychowawczy nie wiedział co odpowiedzieć. Kwestię jednego pytania, na które obiecał dać odpowiedź podczas następnej pogadanki, rozważał z moim ojcem. Któryś z przodowników zapytał go, czy Stalin umrze? I Karło nie wiedział co ma powiedzieć. Biorąc na zdrowy rozum, głośno rozważał instruktor, to wiadomo, że musi umrzeć, ale jak to głośno wyartykułować? Ojciec też nie wiedział, jedna odpowiedź głupia, orzekł, druga trochę niebezpieczna. I w końcu Karło powiedział przodownikom i przodownicom, że nie ma wytycznych co do śmierci Stalina.

Z dnia na dzień wszystko w obozie układało się coraz lepiej, przodownicy i przodownice zaczęli się rządzić sami, kadra miała teraz dużo czasu i prawie całymi dniami grali w karty i pili wódkę na werandzie leśniczówki, nawet ojciec przestać jeździć po chleb do Sadowej, gdyż zastąpił go w tym jeden z przodowników, który był zawodowym kierowcą. Ale po tygodniu od przybycia przodownic cały ów porządek został zakłócony nieoczekiwanym przyjazdem do obozu redaktora Lewanda z „Trybuny”. Jego nowa, widać było, iż prosto z fabryki „warszawa”, którą sam kierował, jego dwa aparaty fotograficzne z lampą błyskową,

jego złote pióro w kieszonce marynarki i duży notes w czarnej skórce, a pewnie przede wszystkim to, że był z Warszawy i pracował w „Trybunie”, zrobiły na całej kadrze obozu, nie wyłączając mojego ojca, jakieś dziwne, obezwładniające wrażenie. Wydawało się, że mógłby im kazać robić przysiady, albo czołgać się i oni wykonaliby to natychmiast. Nadskakiwali mu ze wszystkich stron, częstowali wódką, ale nie tą zwykłą, kupowaną w sklepie w Sadowej, lecz zagraniczną, w kwadratowej butelce, którą, jak wyznał z przymilnym uśmiechem doktor Stokłosa, trzymał na specjalną okazję, wprawdzie później, po opróżnieniu kwadratowej butelki, redaktor pił zwykłą wódkę i to sporo, gdyż wieczorem zabrakło wódki i przodownik-kierowca musiał jechać po nią do wsi. Specjalnie z okazji przyjazdu redaktora Lewanda ojciec powiedział kucharzowi, żeby ugotował co innego, niż to było przewidziane na ten dzień, mimo że kucharz miał już w kotłach prawie gotowy obiad, ale zupę i sos musiał wybrać wiadrami i wylać przy pomocy przodowników do strumienia. Z tego powodu obiad był później anizeli zazwyczaj. W tym czasie, czekając na obiad, redaktor robił wywiad ze Swiszczyńskim, zapisując rozmowę złotym piórem do notesu w skórzanej oprawie i okazało się w tej rozmowie, że Lewand jest przede wszystkim zainteresowany wynikami polowań na żmije, o czym wcześniej przeczytał w miejscowych „Nowinach”. Lewand powiedział, że żmije są sprawą dużej wagi i ogólnopolską, niemal tak jak wilki, a może jeszcze poważniejszą, bo wilka łatwiej można dostrzec i jest czas uciec, wyjść na drzewo czy schronić się gdzie indziej, a żmiję, i trudno zobaczyć, i trudno przed nią schować się, takie coś może nawet bezszelestnie wejść do łóżka lub napaść na człowieka z drzewa. Swiszczyński dziwił się temu, co mówi Lewand, zwłaszcza słysząc o tym napadaniu z drzewa, ale chyba nie chciał być mądrzejszy od redaktora z Warszawy, ponieważ potwierdził, że tak, żmije to wielki problem w Bieszczadach, że są ich tu miliony, że dla bezpieczeństwa wszyscy uczestnicy obozu muszą chodzić w wysokich butach, że już był wypadek ukąszenia i tylko dzięki przytomności umysłu kadry i lekarza i szybkiemu odtransportowaniu chorego do szpitala w Krośnie, nie doszło do śmierci młodego człowieka... Swiszczyński mówił to wszystko na werandzie, w obecności nas wszystkich, a po chwili tylko w obecności doktora Stokłosa i dzieci, gdyż pan Kubaś, Karło i ojciec, kiedy tylko usłyszeli co opowiada komendant, natychmiast nałożyli waciaki i tak, żeby redaktor tego nie widział, pobiegli, do obozu. Ja i Lucyna ze zdziwieniem słuchaliśmy Swiszczyńskiego. Od przyjazdu przodownic niemal wszyscy zapomnieli o żmijach i ja także, odkąd przestałem jeździć do sklepu, zresztą w ogóle żmije wyniosły się dalej od obozu i leśniczówki, a tutaj komendant mówi, że przodownicy i przodownice każdego dnia ocierają się o śmierć walcząc ze żmijami. Gdy redaktor zapytał o ilość dotychczas zabitych żmij, Swiszczyński bez wahania odpowiedział,

że trzydzieści tysięcy i sto jeden. Wówczas ja, zaskoczony nie tymi tysiącami, gdyż już rozumiałem, że jeśli ktoś specjalnie z Warszawy przyjeżdża tutaj nowym autem, aby się dowiedzieć ile zabito żmij, to nie może to być mała suma, ale zaskoczony tą końcówką: sto jeden, wtrąciłem, że wcale nie trzydzieści tysięcy sto jeden, tylko sto dwa. Komendant i Stokłosa spojrzeli na mnie z trzepotliwym niepokojem, a nawet mieli strach na twarzach. Stokłosa zaraz kazał córce i mnie pójść do pokoju i nie przeszkadzać w rozmowie, lecz redaktor, zaciekawiony, zapytał czy ten mały prowadzi statystykę zabitych żmij. Skądże, szybko zaprzeczył Swiszczyński i jeszcze chciał coś powiedzieć, ale ja mu przerwałem, że sto dwa dlatego, bo godzinę temu utłukłem następną żmiję. W jednej chwili na twarz Swiszczyńskiego i doktora wrócił dawny, spokojny i czujny zarazem wyraz twarzy. Za to zdumiona była Lucyna. Godzinę temu ona rodziła, a ja wyjmowałem z niej dziecko i było to bardzo ciężkie rodzenie, Lucyna jęczała i krzywiła z bólu twarz, a ja ciągnąłem niemowlę za głowę, aż wreszcie urodziło się zdrowe, chłopak, dziesięć kilo i godzinę temu w żaden sposób nie mogłem ubić żmii. Lecz i Lucyna zaraz zrozumiała o co chodzi, gdyż szybko mnie poprawiła, że nie sto dwa, a sto trzy, właśnie przed chwilą, przy strumieniu, jedną utłukła kamieniem. Redaktor z lękiem spojrzął pod nogi i powiedział, że to fascynujące, iż nawet małe dzieci biorą w tym udział i zrobił mnie i Lucynie zdjęcie, po czym powiedział, że koniecznie chciałby mieć fotografię z polowania na żmije. To niebezpieczne, rzekł Stokłosa, dodając, że on jako lekarz nie może się na to zgodzić, tym bardziej, iż nie ma na miejscu surowicy. Redaktor machnął lekceważąco dłonią, odpowiadając, że on, z kolei jako reporter, jest przyzwyczajony do niebezpieczeństwa, a poza tym, przygotowując się do tego reportażu, wziął z sobą specjalne, zabezpieczające ubranie. Lewand, uważnie patrząc na ziemię, poszedł do auta i przyniósł gumowe, długie do piersi i zapinane na szelki spodnie, były one wraz z butami i kask motocyklowy. Takie same spodnie widziałem raz w Rogach u jednego myśliwego z miasta, którego dziadek zaprosił na polowanie na kaczki. Kiedy redaktor ubierał gumowe spodnie, Stokłosa zaprowadził mnie i Lucynę na piętro leśniczówki i zagroził, że jeśli jeszcze raz wtrącimy się jakimś słówkiem do rozmowy z tym gościem z Warszawy, to da nam po tak bolesnym zastrzyku, że przez pięć dni nie będziemy mogli na tyłkach usiąść. Dwie godziny później, bo po wywiadzie doktor przyniósł na werandę wódkę w kwadratowej butelce, znaleźliśmy się w obozie. Wszyscy przodownicy i przodownice mieli na nogach waciaki, a w rękach trzymali kije rozwidlone na końcach. Pan Kubuś wysłał do lasu, na polanę, gdzie było wielkie żmijowisko, kilkunastu najsprytniejszych przodowników i ci już zdążyli przynieść stamtąd kilkadziesiąt zabitych żmij. Redaktor zrobił zdjęcie żmijom, dziwując się przy tym, że takie to małe a z łatwością może wysłać człowieka w zaświaty. Już

nie upierał się, że chce pójść na polowanie. Po zrobieniu jeszcze kilkunastu fotografii w obozie i po zjedzeniu obiadu w namiocie-stołówce, kadra i redaktor wrócili do leśniczówki i zaczęli dalej pić wódkę. Ja i Lucyna mogliśmy spokojnie bawić się w doktora.

Po odjeździe redaktora Lewanda Swiszczyński doszedł do wniosku, że musi na powrót wprowadzić obowiązek zabijania po pięć żmij dziennie przez każdego uczestnika obozu i to właśnie ze względu na przodowników, no bo niech któryś po przeczytaniu reportażu w „Trybunie” napisze do gazety, że to wszystko bujda, że tylko przez tydzień polowali na żmije, a przed redaktorem odegrano przygotowane naprędce przedstawienie, a poza tym w obozie na pewno jest ktoś taki, kto służbowo ma mieć oczy i uszy otwarte na wszystko i wystarczy, że taki doniesie... Kadra przyznała rację komendantowi, tylko zaproponowano, żeby dziewczętom zniżyć normę do trzech żmij dziennie. Na najbliższym apelu komendant ogłosił, że od jutra każdy przodownik musi ubić w ciągu dnia pięć żmij, a przodownice po trzy. Przodownicy nie przejęli się zbytnio tym nowym i starym jednocześnie rozporządzeniem, ale dziewczęta, które dopiero w dniu wizyty redaktora z Warszawy dowiedziały się i zobaczyły na własne oczy, że w lesie jest pełno żmij i przestały wychodzić poza teren obozu, zbuntowały się przeciwko nowemu rozporządzeniu komendanta. Nazajutrz tylko Janka Barczewska miała regulaminowe trzy żmije, które jej upolował Wacek Ziobro, dwie inne dziewczyny po dwie i trzy po jednej. Swiszczyński nie wiedział co zrobić z tymi przodownicami, które nie ubiły choćby jednej żmii, tym bardziej, iż wiele z nich głośno mówiło, że wolą tydzień wcześniej pojechać do domu, aniżeli zabijać żmije. Do tego komendant nie mógł dopuścić, ale nie mógł też pozwolić na łamanie dyscypliny w obozie. Dla zasady postawił wszystkie przodownice, za wyjątkiem tych sześciu, które miały żmije podczas apelu, na godzinę na baczność pod masztem, a następnie, za podszeptem pana Kubusia, mianował Jurkiewicza z Baldachówki w Rzeszowie, który był najczęściej karany w obozie za łamanie dyscypliny, odpowiedzialnym za wykonanie przez wszystkich przodowników normy w zabijaniu żmij. W razie czego, myślał komendant, odpowiedzialność rozłoży się na więcej osób. Już na trzeci dzień, odkąd Jurkiewicz odbierał żmije, okazało się, tak przynajmniej wynikało z pisemnych raportów Jurkiewicza, że przodownice tak się zaprawiły w polowaniu na żmije, że niektóre tapwały więcej od chłopaków, a żadna mniej niż trzy.

Przedostatniego dnia przed wyjazdem, gdy już wszyscy zaczęli pakować się, Lucyna powiedziała, że na pożegnanie musimy zabawić się w coś super ekstra luks, i zaproponowała: w męża i żonę. Pod względem lekarskim dobrze przeszkolony przez Lucynę, mniej więcej wiedziałem na czym taka zabawa polega i trochę bałem się. Ale pomyślałem: byłem niezłym

ginekologiem, to i mężem potrafię być. Jednak, przekonałem się po chwili zabawy, pomiędzy ginekologiem czy lekarzem wojskowym a mężem jest wielka różnica. Być mężem to sprawa bardzo skomplikowana. Zaraz na początku zabawy Lucyna uderzyła mnie w twarz, twierdząc, że na nocnym dyżurze zamknąłem się w dyżurce z pielęgniarką, tą rudą dziwką i abym nawet nie próbował mówić, że nie, bo przed chwilą dzwonił jeden z pacjentów i wszystko jej powiedział. Nie spodobało mi się to, że mnie uderzyła i to tak mocno, aż piekł policzek, więc powiedziałem, że jest głupia. Lucyna bez namysłu uderzyła mnie w drugi policzek, jeszcze mocniej, mówiąc przy tym złośliwie, że skoro ona taka głupia, to dlaczego nie wracam do tej mądrej rudej. To już mi się całkiem przestało podobać i postanowiłem wyjść z pokoju, ale Lucyna zasłoniła sobą drzwi, mówiąc, że nigdzie nie pójdę i że z tą rudą ona sama porozmawia, przekona się na własne oczy czy jest taka inteligentna. Więc, nie mogąc wyjść, położyłem się na łóżku ojca, prosząc Lucynę, żeby mi dała spokój, bo ta zabawa nie podoba mi się. Lecz Lucyna dalej swoje, że z tą rudą to mi się podobało, a z nią nie, że dobrze, sam jeszcze będę skomlał u jej stóp i rozebrała się do naga i położyła na moim łóżku. I tak leżeliśmy, ja na łóżku ojca, ona na moim i nie wiedziałem co mam teraz robić, gdyż inaczej wyobrażałem sobie zabawę w męża i żonę. Mógłbyś chociaż zaprzeczyć moim słowom, odezwała się po chwili Lucyna i udowodnić, jak mąż żonie, że ostatniej nocy nie miałeś z żadną kobietą do czynienia. I jeszcze kilka minut wyzywała mnie, nim na kolanach kazała mi przyjść do siebie i przysięgać, że nie będę brał więcej nocnych dyżurów razem z tą rudą pielęgniarką. Przysięgłem parokrotnie i dalej już było to, co sobie wcześniej wyobrażałem o zabawie w męża i żonę, choć, okazało się, że nie wszystko sobie wyobrażałem, a już w ogóle tego, że nagle stanie się ze mną coś niepojęcie dziwnego i wspaniałego jednocześnie, czego jeszcze nigdy nie przeżywałem, jakbym gdzieś poszybował w powietrze, gdzie jednak nie ma nawet powietrza i niczego i nikogo, tylko ta wielka ogarniająca moje ciało wspaniałość. Gdy poczułem, że to przemija, że z ogromnych wysokości, gdzie nie ma powietrza, z powrotem ląduję na ziemi, otworzyłem oczy. W tej samej chwili ujrzałem twarz Lucyny i matkę z torbą podrózną w ręku, a po chwili zobaczyłem w pokoju też ojca, doktora Stokłosę i jego żonę. Dzieci, dzieci... – matka złapała się za głowę, ale zaraz oprzytomniała i zaczęła krzyczeć na ojca, że tak mnie pilnuje, że mogła była spodziewać się, że od początku miała złe przeczucia, a jak już przeczytała w gazecie, że łapię żmije... Spoglądałem na matkę ze zdziwieniem i kiedy na chwilę przestała mówić, powiedziałem: mamó, ja chyba przez chwilę byłem w niebie. Wówczas znieruchomiała z otwartymi ustami, jej twarz złagodniała i nagle odwróciła się i wyszła z pokoju. Za nią wyszedł ojciec i Stokłosowie.

Żałowałem, że dopiero pod koniec obozu Lucyna wymyśliła zabawę w męża i żonę.

OSTATNI DZIEDZIC

Posłaniec przyniósł telegram od dziadka: UMIERAM PRZYJEŹDŹAĆ. To był piąty czy szósty telegram w ciągu ostatnich pięciu lat od dziadka i zawsze składał się z tych samych dwóch słów, nawet bez podpisu, tak jakby dziadek myślał, że jeśli już ktoś na świecie umiera, to może to być tylko on, ale, chociaż bez podpisu, matka od razu wiedziała; ojciec, znaczy się jej ojciec, a mój dziadek, umiera.

Lubiłem jak dziadek umierał, jechaliśmy wtedy autem, kilka godzin, do Rogów, w których umierał dziadek. Auto i służbowy kierowca były z Komitetu partii, gdzie ojciec pracował. Matce podróż strasznie się dłużyła, co chwilę pytała kierowcy jak daleko jeszcze, a ja mógłbym jechać bez końca, nie wysiadając cały dzień z auta. Zaraz jak tylko ruszaliśmy prosiłem ojca, żeby mi pozwolił usiąść obok kierowcy, prosiłem i prosiłem, aż ojciec, podenerwowany moim biadoleniem zgadzał się, abym usiadł na przednim siedzeniu. Tam siedząc mogłem trąbić na gęsi na drodze, kierowca mi pozwalał, mówił, iż jego syn robi to samo, na gęsi, kury, krowy i na ludzi, którzy z kuflami piwa, nie mieszcząc się na placykach przed budkami z piwem, wychodzili na drogę.

Sama jazda i trąbienie to już była wielka przyjemność, a później, kiedy dojechaliśmy do Rogów za Sandomierzem, tyle było zamieszania wokół umierania dziadka, że na długie godziny zapominano o mnie i mogłem ile chciałem siedzieć w aucie, ruszać biegami, włączać światła, wycieraczki, a gdy mi się to znudziło mogłem chodzić po całej wsi.

Dziadek był dyrektorem Pegieeru w Rogach, ale „panie dyrektorze” mówili do niego tylko urzędnicy, którzy siedzieli w biurze po drugiej, niż mieszkanie dziadka, stronie dworu, tej ciemniejszej, gdzie na ścianach rósł mech, zielony jak najczyściejsza farba zielona i pod palcami bardziej miękki niż poduszki babki, a delikatny i przyjemny w dotknięciu jak piersi Jadźki, córki kowala z Pegieeru, ale o tym ostatnim miałem się dopiero później przekonać. „Panie dyrektorze” mówili do dziadka jeszcze ludzie z miasta, z Sandomierza lub Kielc, którzy z różnymi inspekcjami przyjeżdżali do Pegieeru, a chłopci z Rogów zawsze zwracali się

do dziadka „panie dziedzicu”, co mojego ojca doprowadzało do tak wielkiej złości, że tam i z powrotem zdejmował okulary – zawsze tak robił kiedy się złościł – i mówił przy tym ściszym głosem i wolniej aniżeli zwykle, tak, że gdy okulary zdejmował w Komitecie ludzie wiedzieli, że coś złego się kroi. Przy chłopach pozwalał sobie na zdejmowanie okularów, ale przy dziadku nigdy tego nie zrobił i nie mówił ściszym głosem. Raz tylko powiedział dziadkowi, żeby nie pozwolił chłopom zwracać się do siebie „dziedzicu”, bo to już nie te czasy, a poza tym dzisiaj trochę niebezpiecznie jest uchodzić za dziedzica. Niebezpiecznie? – dziadek wybuchnął śmiechem i zaraz dodał, że parę lat temu, to niebezpiecznie było uchodzić za Polaka, ale dzisiaj, za dziedzica? Po chwili powiedział, już poważniej, że przecież nie jest żadnym dziedzicem, a co chłopci mówią to ich sprawa, nie będzie tłumaczył każdemu z osobna kim jest a kim nie jest, a zresztą, zakończył ze złością, gdyby mówili do mnie „panie prezydencie”, czy to znaczyłoby, że jestem prezydentem?

Ja i matka na każde „panie dziedzicu” mówione przez chłopów patrzyliśmy na ojca, matka ze śmiechem, jakby ją to strasznie bawiło, a ja, bo nie wiedziałem, czy w końcu są jeszcze dziedzice w Polsce, czy ich już nie ma i czy dziadek jest prawdziwym dziedzicem czy nie, a jeżeli jest, to czy rzeczywiście, jak pisał ojciec w swoich partyjnych referatach, tuczy się na chłopskiej krwi?

Z początku, gdy przyjeżdżaliśmy na lato do Rogów, ojciec tłumaczył chłopom, że dziadek to żaden dziedzic tylko dyrektor Państwowego Gospodarstwa Rolnego, dyrektor po prostu, albo obywatel Zubrowski, czy zwyczajnie Zubrowski, że czasy dziedziców już się skończyły i nigdy więcej nie nadejdą. Chłopi ze zdziwieniem odpowiadali, że jak „pan dziedzic” nie jest dziedzicem, skoro mieszka we dworze i ma ogromne gospodarstwo pod sobą, najwięcej ziemi w całej okolicy, najwięcej krów, świń, wszystkiego? Ojciec na to ze złością zdejmował okulary i mówił prawie szeptem, że ta cała ziemia, te wszystkie świny i krowy są państwowe, że dawniej, przed wojną, należały do dziedzica, a teraz są własnością państwa, czyli nas wszystkich, was, chłopów i mieszkańców miasta, wszystkich po prostu. Chłopi śmiali się z mojego ojca jak z kogo głupiego. Nie wierzyli, że dziadek jakoby tylko w interesie państwa zarządza Pegieerem, że prywatnie nie należy do niego ani jedno źdźbło trawy. Śmiali się, wiedząc, że tylko prawdziwy dziedzic może bez pytania się kogokolwiek kazać ubić dla siebie swinię lub cielaka, czy na przednówku rozdać chłopom po kilka worków pszenicy, a dziadek niejedną, raz to robił.

Każdego roku w lipcu, w którąś z kolei rocznicę wygranej bitwy partyzanckiej z Niemcami w Białym Lesie przez oddział dowodzony przez dziadka, do Rogów przyjeżdżało wielu mężczyzn, ze wsi i miastowych: tacy jak mój ojciec, w marynarkach, krawatach i niektórzy

też autami przyjeżdżali, a jeden z nich był nawet generałem i wtedy dziadek kazał dla nich, zabijać cielaka, prosięta, kury i kaczki, z gorzelni przy Pegieerze traktorzysta przywoził kilka słoików spirytusu i ci miastowi nazywali z kolei dziadka „panem majorem”, albo „Łuckiem”, albo, kiedy już byli pijani i z butelkami rozchodzili się po ogrodzie, „ty stary bandyto”.

Wówczas, słysząc to wszystko, stwierdziłem, że dziadek może być każdym, nawet kimś ważniejszym od mojego ojca i groźniejszym od mojego ojca, choć nie ma pod sobą takiej armii urzędników co ojciec w Komitecie, ani wartownika przy drzwiach, któremu wszyscy wchodzący do Komitetu musieli pokazywać przepustki, ani tak ogromnego biurka z dwoma telefonami.

Ojciec i dziadek nie mogli się z sobą dogadać. Gdy ojciec mówił dziadkowi, że jak chce mieć strzelbę, żeby polować na kaczki, to musi napisać podanie do milicji o pozwolenie na broń, inaczej zabiorą mu strzelbę, dziadek z oburzeniem odpowiadał: ja się mam starać o pozwolenie na posiadanie broni? ja? Toż dopiero co dostałem medal za to, że Niemcom odbierałem broń i walczyłem z nimi, wyście czerwoni chyba całkiem powariowali, strzelbę mi zabiorą? To wtedy przyniosę z Białego Lasu karabin maszynowy i będę siekł do kaczek jak dawniej do samolotów, a w razie potrzeby to i działo odkopię, tylko wówczas nie wiem na kogo lufę skieruję.

Po jednym dłuższym pobycie w Rogach ojciec już więcej tam nie przyjeżdżał na urlop, tylko przywoził nas na wakacje i później przyjeżdżał po nas. Matce tłumaczył, że dziadek nie rozumie, iż czasy partyzantki już się skończyły, że teraz nastał czas sprawiedliwości i praworządności, na co matka z powątpiewaniem kiwała głową i pytała, czy w imię tej sprawiedliwości trzeba do więzień wsadzać ludzi za to, że komuś nie podobają się czerwone krawaty?

Ja wiedziałem jedno: ojciec mógłby wybaczyć dziadkowi strzelbę i nawet działo i nawet gadanie, że trzeba tych z czerwonymi gwiazdkami na czapkach wykurzyć z Polski, ale nie „pana dziedzica”. W swoich referatach, które ojciec pisał w domu na głos i potem jeszcze raz głośno czytał, jakby się uczył na pamięć, matka wówczas w drugim pokoju głośno włączała radio i słuchała muzyki, prawie zawsze powtarzał, że teraz, w Polsce socjalistycznej, nie ma i nigdy już nie będzie dziedziców i burżujów. I im częściej ojciec to powtarzał tym mniej go lubiłem, a coraz bardziej dziadka.

Co do burżujów nie miałem własnego zdania, nie wiedziałem kim są i nie poznałem ani jednego z nich, ale takich dziedziców jak dziadek chciałem, żeby było jak najwięcej. Dziadek pozwalał mi jeździć bryczką, łowić ryby w stawie Pegieeru, nie złościł się, gdy z chłopakami ze wsi dosiadałem świń jak koni, kiedy polował na kaczki zawsze mi dawał kilka razy

strzelić.

W szkole, gdy nauczycielka zapytała, kim kto chciałby zostać jako dorosły człowiek, ja powiedziałem, że dziedzicem. Po tej odpowiedzi wpisała mi uwagę do dzienniczka, a kiedy to ojciec przeczytał nakrzyczał na matkę, że dziadek mnie deprawuje, że sący zły jad w mój zdrowy umysł i że najlepiej będzie, jeśli w ogóle zrezygnujemy z wyjazdów do Rogów. Matka odrzekła, że jeszcze nie zostało ustanowione prawo zakazujące wnukowi odwiedzać dziadka, a że do ojca mają pretensje w Komitecie o „pana dziedzica” w rodzinie... to jego sprawa.

Gdy posłaniec przyniósł piąty czy szósty telegram od dziadka o jego umieraniu, matka bez słowa zaczęła wyjmować z szafy czarne ubrania, które specjalnie na pogrzeb kupiła ileś lat temu, po nadejściu pierwszego telegramu. Z niechęcią patrzyłem na czarne ubranko z dwoma rzędami błyszczących guzików, a już z obrzydzeniem na lakierowane buty, sztywne jak gdyby zrobione były z drewna, też czarne, w których w ogóle biegać się nie dało. Te buty i ubranie to była jedyna niemiła rzecz związana z umieraniem dziadka. Kiedy w tym ubraniu i butach chodziłem po wsi i patrzyłem na chłopaków biegających boso i w obszarpanych krótkich spodniach, i gdy widziałem jak oni patrzyli na mnie, to czułem się jak przebieraniec; ale zarazem ważny przebieraniec, co mi trochę poprawiało nastrój, gdyż zdawałem sobie sprawę, że wszyscy w Rogach wiedzą kim jestem, to znaczy czyim wnukiem, i dlatego przyjechałem do Rogów. Kiedy dziadek umierał, nie mogłem się inaczej pokazać, gdybym w te dni, podczas których umierał dziadek, nagle boso i w samych gaciach wyszedł na wieś, dopiero chłopcy byłiby oburzeni, dopiero wtedy w ich oczach byłbym prawdziwym przebierańcem. Wyglądałoby to tak, jak gdyby w zwykły dzień jakieś chłopskie dziecko ubrało garniturek z dwoma rzędami guzików i lakierowane buty. Lecz mimo tego i tak nie mogłem się wyzbyć uczucia, że jestem przebieraniec i jedyne, co mogłem zrobić, to zachowywać się tak, jak gdybym sobie nie zdawał sprawy, że jestem inaczej ubrany niż wiejskie chłopaki. A to mi łatwo przychodziło, już w godzinę po przyjeździe z chłopakami z Rogów rzucałem kamieniami do żab, zapominając, że we dworze dziadek umiera, a raczej, że stara się umrzeć, gdyż tak naprawdę to w śmierć dziadka nigdy nie wierzyłem, a przynajmniej nie w taką zwykłą śmierć, w otoczeniu rodziny. Co innego gdyby rozszarpała go mina lub pechowo spadł pod kopyta konia, taki człowiek jak dziadek nie mógł umrzeć jak zwykły śmiertelnik.

Matka, gdy wróciłem do dworu ze wsi, po śladach na ubraniu i butach z łatwością rozpoznawała gdzie byłem i co robiłem. Nie spodziewałem się, że czarny materiał może się brudzić tak samo jak biały, a nawet jeszcze bardziej. Różnokolorowe plamy od traw, kory

drzew, białej glinki z Wądołów Białego Lasu i śmietany, którą mnie chłopci bezustannie częstowali, jakby to był największy przysmak, były widoczne na czarnym ubraniu lepiej, niż na kartce papieru.

Normalnie, w lecie, kiedy dziadek nie umierał, chodziłem po wsi też w krótkich spodniach, nigdy jednak na bosaka, matka mi tego surowo wzbraniała, i moje spodnie tym się tylko różniły od spodni miejscowych chłopaków, że miały kieszenie, obowiązkowo z przodu, żebym miał gdzie trzymać chusteczkę do nosa, gdyż matka uważała, iż dziecku trzeba od małego wpajać zasady dobrego wychowania, a do tych zasad, jej zdaniem, należało zawsze mieć przy sobie chusteczkę, ponadto miałem też spodnie z kieszeniami z przodu i z tyłu jednocześnie, te z tyłu często zapinane na guziki, choć nie wiem po co, bo nigdy w tylnych kieszeniach nic nie nosiłem. Chłopakom i dziewczynom z Rogów strasznie się te spodnie z kieszeniami podobały, wkładali ręce do moich kieszeni, nie wiem, może sobie wyobrażając, że trzymają ręce w kieszeniach swoich spodni? Ale najbardziej moje kieszenie spodobały się Jadźce, córce kowala. Chodziła z ręką w mojej kieszeni, jak przylepiona do mnie i za którymś razem mocno wcisnęła dłoń, przebiła podszewkę kieszeni i palce zacisnęła na moim przyrodzeniu. Wtedy zrozumiałem co się jej w moich kieszeniach najbardziej podobało, lecz i mnie się to spodobało i udawałem, że to nic, że to zwyczajne, iż trzyma dłoń na moim przyrodzeniu, dopiero kiedy Jadźka zaczęła przesuwac skórke na czubek przyrodzenia i z powrotem, a ja w jej ręce stawałem się coraz większy, wyczułem, iż za chwilę coś się ze mną stanie i przestraszyłem się tego, co miało się stać, choć z drugiej strony chciałem, aby to się stało. Gwałtownie wyjąłem rękę Jadźki z kieszeni i pobiegłem za chłopakami do stawu, po którym oni już pływali w świńskich korytach. Po chwili doszła Jadźka i powiedziała, że następnym razem zrobi mi to do końca, żebym nie uciekał. Co mi zrobisz? – zapytałem zdziwiony. To ty jeszcze nigdy nie waliłeś konia? – zaśmiała się Jadźka, też zdziwiona.

Więc gdy przyszedł ten piąty czy szósty telegram od dziadka, w którym były tylko dwa słowa UMIERAM PRZYJEŹDŹĄĆ, ojciec pisał referat na kolejne zebranie w tym swoim Komitecie i widziałem jak się obruszył na widok żółtej kartki papieru z czarnymi literami; co, znowu umiera, rzekł ze złością. Matka, po wyjęciu czarnych ubrań z szafy, zapytała ojca, dlaczego jeszcze nie dzwoni do Komitetu po auto, a ojciec nieoczekiwanie odpowiedział, że nie jedzie do Rogów, że nie jedzie ani on, ani ja, bo dość już tego wariactwa, zaś jeśli matka wierzy, że tym razem dziadek naprawdę umrze, niech jedzie sama, ale pociągami, gdyż on nie będzie brał po raz szósty auta na pogrzeb jednego i tego samego teścia, którego nie stać na tę zwykłą przyzwoitość, żeby umrzeć raz a porządnie, a nie bez przerwy zawracać ludziom głowę swoim umieraniem. Matka stała zaskoczona. A jeśli rzeczywiście umrze? – zapytała.

Wtedy wyślesz do nas telegram i natychmiast przyjedziemy, odrzekł ojciec. Ale ja też chcę jechać, wtrąciłem, myśląc z przestachem, że beze mnie dziadek może naprawdę umrzeć.

Dziadek mnie lubił najbardziej z całej rodziny, wszyscy to wiedzieli i ja też i dlatego pomyślałem, że gdy dziadek zobaczy, że mnie nie ma w Rogach, umrze choćby z gniewu na mnie, że go w takiej chwili zawiodłem. Dziadek mnie lubił, tak to wyjaśniła matka, gdyż jako jedyny w rodzinie wcale się go nie bałem, ani jego grania na skrzypcach, ani umierania, w które, że skończy się śmiercią, nigdy nie wierzyłem. I coś mi podpowiadało, że dziadek wie, iż ja nie wierzę w jego śmierć i jakby ta moja wiara w jego nieśmiertelność pochlebiała mu.

Coraz bardziej byłem przekonany, że zawiodę dziadka, nie przyjeżdżając do Rogów po telegramie wysłanym przez niego. Matka, może się tego samego domyślając, namawiała ojca, aby mi pozwolił pojechać z nią pociągiem. Ojciec był nieustępliwy: nie, tam za dużo szaleństwa jak na takie dziecko jak ja, i wówczas ja nieopatrznie powiedziałem, że lubię jak dziadek umiera. Ojciec spojrzał na matkę: no widzisz? I matka też jakoś dziwnie na mnie spojrzała i już więcej nie namawiała ojca, żebym z nią pojechał do Rogów.

Dziadka się nie bałem, to fakt, choć było w nim coś takiego, że bał się go nawet mój ojciec, którego z kolei bali się inni. Raz słyszałem jak ojciec powiedział do matki, że to wojna zrobiła z dziadka szalonego człowieka. Jedynie, czego u dziadka nie znosiłem, ale jednak nie bałem się jak matka i babka, to było jego granie na skrzypcach w tych chwilach, gdy podejmował decyzję o zabiciu się. Innym melodiom, najczęściej były to pieśni partyzanckie, przysłuchiwałem się z przyjemnością. Pieśni partyzanckie wygrywał zawsze w lipcu, gdy przyjeżdżali ludzie z jego dawnego oddziału partyzanckiego. To było wesołe granie i wszyscy wtedy śpiewali, pili i strzelali z dubeltówki na wiwat.

Tylko tych kilka melodii... Na pierwsze ich dźwięki babka od razu posyłała po weterynarza, żeby był blisko, gotowy do ratowania dziadka i jednocześnie wysyłała dwukólkę po lekarza do sąsiedniej wsi, gdzie był ośrodek zdrowia i telefon i kazała od razu dzwonić po pogotowie ratunkowe do Sandomierza.

Za pierwszym razem, gdy dziadek stwierdził, że nie warto żyć w tej nowej Polsce, wbił sobie nóż w piersi, ale nie trafił w serce, stracił tylko przytomność i karetką zawieziono go do szpitala w Sandomierzu. Po trzech dniach, wściekły na siebie, na swoją nieudolność, że już nawet we własne serce nie potrafi trafić, uciekł ze szpitala i jak tylko znalazł się w Rogach, zdjął strzelbę ze ściany, zawołał mnie i poszliśmy na kaczki. Ustrzelił ich ponad trzydzieści i rozdał chłopom, którzy przyszli za zmartwychwstałym panem dziedzicem.

Za trzecim razem, kiedy pojawiliśmy się w Rogach na wezwanie UMIERAM PRZYJEŹDŹĄĆ, babka już wcześniej pochowała noże, a ten ostatni, którym kroila nam

chleb na kolację, kazała mi samemu schować za nogę kredensu w kuchni. Babka schowała też wszystkie naboje do strzelby i kule do pistoletu, który dziadek miał ukryty pod deską podłogi. Gdy dziadek przestał grać te swoje śmiertelne melodie, ja, babka, matka i ojciec, siedząc na werandzie, słuchaliśmy jak dziadek klnie i rozbija się po wszystkich pokojach w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby się zabić. Po dłuższej chwili myśleliśmy, że ta noc minie spokojnie, skończy się tylko na przekleństwach dziadka i wypominaniach, że mu nawet umrzeć nie dadzą, i co najwyżej rozwali dwa krzesła, albo pójdzie do stajni, weźmie konia i na całą noc przepadnie w Białym Lesie, a rano wróci uspokojony, ani słowem nie wspominając o poprzednim wieczorze. Tak się już zdarzało i gdy już bez napięcia dopijaliśmy zimne herbaty, jednak znowu rozległa się ta melodia. Babka natychmiast spojrzała na mnie, na co prędko odrzekłem, że nie zdradziłem dziadkowi gdzie schowałem nóż, a ojciec wtrącił, że jak coś takiego mogło babce przyjść do głowy. Weterynarz z torbą z narzędziami lekarskimi przyszedł do nas na werandę. Tymczasem dziadek grał tę jedną melodię, grał i grał, o wiele dłużej niż poprzednim razem, gdy chciał zabić się nożem. Babka i matka nie mogły tego słuchać, pobiegły daleko do ogrodu i jeszcze tam zasłaniały sobie uszy rękami. A ja spojrzałem na ojca i zapytałem, dlaczego nie wejdzie do pokoju dziadka i nie przeszkodzi mu w tym, co on chce zrobić. Jeżeli ktoś chce naprawdę popełnić samobójstwo, odrzekł ojciec, to nikt mu w tym nie przeszkodzi, wcześniej czy później... Wówczas zrozumiałem, że ojciec chciałby, żeby dziadek zabił się, żeby zabił się „pan dziedzic”, ostatni dziedzic w Polsce, wtedy ojciec z czystym sumieniem mógłby pisać w swoich referatach, że w Polsce nie ma i już nigdy nie będzie dziedziców. Jeszcze mi się przypomniało, jak ojciec, kłócąc się kiedyś z matką, powiedział, że przez tego „dziedzica” w rodzinie nie może awansować, czyli stać się najważniejszą osobą w Komitecie, w jednej chwili znenawidziłem ojca i chciałem mu to powiedzieć ale nagle umilkły skrzypce i wszyscy, pierwszy weterynarz, pobiegliśmy do pokoju dziadka. Dziadek leżał na łóżku z kilkoma widelcami wbitymi w piersi, spod każdego widelca sączyła się strużka krwi. Oczy miał otwarte i z gniewem patrzył na ojca, jakby pytając: a po co on tutaj? Po chwili, z trudnością łapiąc oddech, dziadek powiedział do ojca, że gdyby ojciec był mądry, to by mu pod łóżko nóż rzeźnicki podłożył. Ojciec wyszedł z pokoju. Weterynarz dał dziadkowi pół szklanki spirytusu do wypicia, następnie powyjmował widelce z piersi, rany zalał spirytusem i zaraz zabandażował całe piersi dziadka.

Kilka dni później poszedłem z dziadkiem strzelać do kaczek. Trudno mu było utrzymać strzelbę w rękach, tak, że tym razem ja ustrzeliłem więcej kaczek niż dziadek i wszystkie one dostały się mnie. Niosłem kaczki w trokach przerzucone przez ramię, uginając się pod ich

ciężarem.

W następnym umieraniu przeszkodzili dziadkowi chłopci, którzy przynieśli do dworu znaleziony w polu balon z pojemnikiem pełnym ulotek. W ulotkach pisało, że tak zwane polskie ziemie zachodnie wcześniej czy później z powrotem będą należeć do Niemiec, a Polacy niech sobie odbiorą ziemię, którą im Ruscy zabrali. Chłopci rozłożyli balon w największym pokoju, a dziadek po przeczytaniu kilku ulotek wziął strzelbę do ręki i powiedział, że niech ci faszyci tylko tu przyjdą, to on z powrotem zwoła swoich ludzi i powystrzela tych Szwabów jak kaczki.

Balon zrobiony był z niebieskiego, delikatnego i niemnącego się, ale mocnego materiału. W następne dni chłopci znaleźli dwa jeszcze takie balony. Z początku dziadek zamierzał z nich zrobić worki na zboże, lecz później zmienił zdanie i kazał sołtysowi pociąć balony na równe kawałki i rozdać babom we wsi, żeby sobie uszyły z tych kawałków koszule, czy co tam będą chciały. Materiału z balonów wystarczyło dla wszystkich kobiet i najbliższej niedzieli ksiądz proboszcz, wyszedłszy na ambonę, ze zdumieniem ujrzał, że wszystkie baby ubrane są na niebiesko, że wszystkie mają chusty i spódnice z takiego samego, niebieskiego materiału. Proboszczowi zamąciło się w oczach i przez chwilę myślał, że już się znalazł w niebie, które kojarzyło mu się z niebieskim kolorem. Po mszy ksiądz powiedział dziadkowi, że nie daj Boże, aby teraz z drugiej strony zaczęli wysyłać do nas czerwone balony.

Chłopki niedługo cieszyły się koszulami i chustami z ładniejszego i porządniejszego materiału niż miały kobiety w mieście. W parę dni po nabożeństwie, podczas którego baby wystrojone były na niebiesko, do Rogów przyjechała ciężarówka z milicjantami i kilkoma cywilami, którzy chodząc od chałupy do chałupy odbierali niebieskie spódnice i chusty, wyjaśniając, że kapitaliści, wysyłając balony, na pewno nasączyli je trującym jadem, gdyż oni chcą wyniszczyć nasz kraj, dlatego też w podobnych balonach przysyłają stonki, żeby zżerały nasze ziemniaki. Chłopki z żalem oddawały spódnice, tylko żona kowala, matka Jadźki, ukryła spódnice przed milicjantami i powiedziała, że nie odda. Milicjanci przeszukali zabudowania kowala, przerzucili siano w stodole i nawet przeszukali dno studni i gdy nie znaleźli, zabrali matkę Jadźki do Sandomierza, gdzie sąd skazał ją na dwa lata więzienia za współpracę z wrogami ludu. Dziadek, dowiadując się o tym wyroku, zaraz pojechał do Warszawy, do jednego ze swoich partyzantów, który teraz był generałem i żonę kowala wypuszczono z więzienia po miesiącu. Niebieskiej spódnicy jednak nie oddała i później każdej niedzieli chodziła w niej do kościoła. Wtedy inne kobiety z Rogów żałowały, że nie zrobiły tak samo jak żona kowala i nie ukryły gdzieś spódnic i chust, przecież, mówiły sobie, nie wsadziliby ich wszystkich do więzienia, bo kto pracowałby w Pegieerze?

Po piątym czy szóstym telegramie matka musiała sama pojechać do Rogów. Ja się bez przerwy napraszałem, że też chcę jechać i matka zabrałaby mnie, ale ojciec uparł się, że mnie nie puści i już, bo dziadek to wariat i ja też mogę dostać tam pomieszania zmysłów. Matka na te słowa zaczęła krzyczeć, że ojciec nigdy nie lubił dziadka, gdyż dziadek nie chciał się zapisać do partii, a tylko śmiał się z takich jak Ojciec, małych dyktatorów w Komitetach, dyktatorów i na domiar tego oszustów, którzy chcą wmówić ludziom, że teraz fabryki należą do robotników, a jak świat światem jeszcze żadna fabryka nie była własnością robotników, bo gdyby tak się stało, to w pół roku byłoby po fabryce, bo robotnicy wynieśliby ją w kawałkach do domów.

Żegnając się z matką na dworcu byłem bliski płaczu, że uciekło mi pływanie z wiejskimi chłopakami po stawie, podpalanie na pastwiskach krzaków jałowców, strzelanie do kaczek, no i że nie spotkam się z Jadźką, która ostatnim razem pozwalała mi dotykać swoich piersi, brzucha, wszystkiego, i ona mnie też dotykała.

Nazajutrz po odjeździe matki przyszedł telegram POGRZEB W CZWARTEK. Dopiął swego, powiedział ojciec ze skrywaną radością, którą ja jednak dobrze widziałem na jego twarzy. Gdy to powiedział, wziąłem świnkę-skarbonkę z pieniędzmi i uciekłem z domu. Nie chciałem na pogrzeb dziadka jechać z kimś, kogo ucieszyła jego śmierć, a poza tym to już w ogóle nie pragnąłem być z ojcem. Postanowiłem zostać w Rogach.

Pieniądzy starczyło mi na pociąg do Sandomierza i jeszcze zostało na kanapkę i cukierki, które kupiłem w bufecie dworcowym. W Sandomierzu poszedłem na jarmark i tam po kolei pytałem chłopów, który z nich jedzie do Rogów. Nim takiego znalazłem rozpoznał mnie traktorzysta z Pegieeru dziadka i razem z nim, siedząc w kabinie, przyjechałem do Rogów. Matka nawet nie zdziwiła się, że przyjechałem sam. Ja od razu zapytałem, czym się dziadek zabił. Strzelił sobie z pistoletu w głowę.

Wieczorem babka odczytała testament dziadka i okazało się, że dziadek zostawił mi w spadku strzelbę z nabojami i mapę Białego Lasu, poznaczoną różnego koloru krzyżykami. Domyśliłem się, że te krzyżyki oznaczają miejsca, w których jest zakopana broń, i to, gdzie znajdują się ziemianki partyzanckie. Ta strzelba była dla mnie ważniejsza niż pieniądze i srebra, które dziadek porozdzielał między babką i matką, ta strzelba, pomyślałem, była jakby znakiem, że dziadek przekazuje mi swoje dziedzictwo. I kiedy w nocy, autem z Komitetu, ze służbowym kierowcą, przyjechał ojciec, podszedłem do niego ze strzelbą i powiedziałem: jeszcze nie zginął ostatni dziedzic, teraz ja nim jestem. Ty gówniarzu! – krzyknął ojciec, zamachując się ręką na mnie. Szybko odsunąłem się do tyłu, ręka ojca przecięła powietrze i wymierzyłem ze strzelby w niego. Ojciec chwilę stał jak skamieniały, po czym ciężko usiadł, a właściwie to spadł, na podsunięty mu przez matkę fotel.

WATAŻKA

Dziadek zastrzelił się w nocy z pistoletu. Żeby nikt w domu nie usłyszał strzału, przykrył się całym pierzyną, a na głowę nałożył jeszcze poduszkę. Rano moja matka znalazła go zeszywniałego, zwiniętego w kłębek, tak, że z trudnością, i to dopiero z pomocą felczera, rozprostowała go na łóżku. Mnie z początku okłamywali, twierdząc, że dziadek umarł na serce, ale od chłopów ze wsi dowiedziałem się całej prawdy i w końcu matka musiała przyznać, że było inaczej niż mi mówiła.

Babka nie mogła darować dziadkowi, że zabił się ukradkiem, w tajemnicy przed nią. Mówiła z płaczem do nieżyjącego dziadka, że mógł to zrobić ukradkiem przed całą wsią, przed całym światem, może nawet przed Panem Bogiem, ale nie miał prawa umierać sam jak zwierzę, w tajemnicy przed najbliższymi. Do tej nocy, podczas której głucho wystrzelił pistolet, dziadek każdą próbę samobójstwa poprzedzał ceremoniałem, w którym najważniejszą rolę grały skrzypce, a przede wszystkim jedna wygrywana na nich melodia, „melodia śmierci”, tak nazywana w myślach przez tych, którzy ją słyszeli. Wszystkim było wiadomo, włącznie z pijącymi do późnego wieczoru urzędnikami Pegieeru, którzy mieli biura w drugiej połowie dworu, że jeśli ich dyrektor, czyli mój dziadek, zaczyna grać „melodię śmierci”, to niedługo zacznie się zabijać i często któryś z nich sam, bez ponaglania przez babkę, biegł po felczera, żeby ten przyszedł do dworu i był w pogotowiu. Jednak nigdy, do tego ostatniego razu, dziadek nie strzelał do siebie. Babka, która najlepiej wyczuwała nastrój dziadka, a poza tym po sposobie, w jaki wyjmował skrzypce z futerału, jak je stroił, jak kalafonią smarował włosie smyczka, domyślała się, czy tym razem dziadek będzie wygrywał skoczne melodie ludowe lub rzewne pieśni partyzanckie, czy zagra „melodię śmierci”. Gdy ze skrzypcami obchodził się jak z figurą z porcelany i gdy stroił je uważnie i długo, kilkanaście razy przeciągając smyczkiem po każdej strunie i jeszcze palcem pukał w pudło skrzypiec i nadśluchiwał dobiegającego z wnętrza rezonansu, babka już miała pewność, że za chwilę

usłyszy znienawidzoną przez nią, okrutną „melodię śmierci”, którą dziadek sam skomponował jeszcze w czasie wojny, będąc dowódcą oddziału partyzanckiego w Białym Lesie. Tylko że wtedy grał tę melodię przed bitwą z Niemcami, albo przed wykonaniem wyroku na zdrajcy z którejś ze wsi, donoszącym Niemcom o Polakach współpracującym z Niemcami. W obozie, w trudno dostępnych mokradłach Białego Lasu, panowała cisza kiedy dziadek grał „melodię śmierci” i partyzanci już wiedzieli, że w akcji, na którą niedługo wyruszą, nie będzie rannych i jeńców, a jeśli miało to być wykonanie wyroku na zdrajcy, to w wymyślny, przerażający nawet samych Niemców sposób.

I babka, spodziewając się usłyszeć „melodię śmierci”, wpierrw chowała naboje do strzelby i kule do pistoletu, który zawinięty w naoliwiony ręcznik leżał pod deską podłogi, później ukrywała noże, które dziadek najczęściej wbijał sobie w piersi, ale nigdy nie trafiając w serce albo wbijając za płytko, tuż nad sercem, a po ostatnim wypadku, kiedy to dziadek nie mogąc znaleźć noża wbił sobie w piersi widelce o długich, mosiężnych ostrzach, chowała także widelce i co ostrzejsze przedmioty kuchenne. Gdy dziadek stroił skrzypce do „melodii śmierci”, naboje już znajdowały się w kieszeni fartucha babki, a noże i widelce leżały za nogami kredensu w kuchni, często na polecenie babki sam je tam chowałem i później, kiedy dziadek rozbijał się po pokojach w poszukiwaniu noża, wyjmując i zrzucając na podłogę wszystkie szuflady, przetrząsając szafy z ubraniami, wyrzucając z łóżek pierzyny i poduszki, wywracając w spiżarni słoje z konfiturami i wekami z mięsem, dziwiłem się, iż mu nie przychodzi do głowy, aby zajrzeć pod kredens. Babka, jak gdyby obawiając się, że myślą czy spojrzeniem, albo że po prostu nie wytrzymam i zdradzę dziadkowi gdzie są ukryte noże, gdy on myszkował po domu nie pozwalała mi opuszczać ganku, gdzie w takich chwilach zawsze siedzieliśmy, choć czasami babka nie wytrzymała i aby nie słyszeć „melodii śmierci” i rumoru czynionego przez dziadka w domu, uciekała daleko do ogrodu.

Babka po wielokroć powtarzała, że dziadek nie miał prawa umierać w samotności, on nie mógł sobie dać prawa do takiej zwierzęcej śmierci i nie miał prawa pozbawić najbliższej rodziny obecności w chwili jego śmierci, po to, mówiła babka, przeżyli razem tyle lat, w tym pięć lat wojny, będąc blisko grobu niemal każdego dnia – dziadek w oddziale partyzanckim, a babka w Rogach, gdzie mogła być zadenuncjowana jako żona majora Feliksa z Białego Lasu – żeby na starość jedno albo drugie trzymało rękę umierającego, albo chociażby siedziało obok i mogło, w chwili ostatniego tchnienia, docisnąć powieki. Czuła się zdradzona przez dziadka, zdradzona i oszukana, gdyż dziadek tę jedną kulę do pistoletu wyjął wcześniej z nakaslika przy łóżku, podkładając inną, żeby się zgadzała ilość, a w nakasliku zawsze, od lat, było jednaście naboji.

Gdy przyjechałem do Rogów, dziadek już leżał w trumnie w największym, przechodnim pokoju, gdzie rok temu chłopci rozkładali znalezione na polach balony z ulotkami, balony, które przylatywały do Polski niesione zachodnim wiatrem, dłonie miał splecione na brzuchu, po obu stronach trumny paliły się dwie wysokie świece postawione na taboretach. Mimo tej trumny, świec, nie od razu uwierzyłem, że dziadek umarł. Już tyle razy umierał, że ta śmierć wcale nie musiała być ostateczna. Wyglądał jakby spał. Z boku na czole, w miejscu gdzie rozpoczynała się linia siwych włosów, miał nalepiony plaster zakrywający ranę po kuli, z tej rany w ciągu nocy wypłynęło tyle krwi, że cała pierzyna i poduszka zabarwiły się na czerwono i nadawały się tylko do wyrzucenia. Pierze w środku było sztywne od zaschniętej krwi. Babka kazała pierzynę i poduszkę powiesić na sznurze daleko w ogrodzie, za ostatnimi jabłoniemi, żeby ich nie można było dostrzec z okien dworu, ale i tak co spojrzałem na ogród, widziałem prześwitującą między drzewami czerwień, wyobrażając sobie jednocześnie dziadka leżącego pod napuchniętą krwią pierzyną i, jeśli nie zmarł zaraz po wystrzale, duszącego się pod nią z braku powietrza. Kiedy nikogo nie było w największym przechodnim pokoju podchodziłem do dziadka w trumnie, czekając, że wyczuje moją obecność i otworzy oczy, albo uśmiechnie się, albo na chwilę rozplecie dłonie, albo szepnie jakieś słowo, że w ogóle da mi jakiś znak, że i tym razem nie umarł i za kilka dni, jak zawsze po jego wcześniejszych próbach samobójstwa, pójdziemy na polowanie na kaczki. Także chłopci, którzy grupkami zbierali się pod dworem, od stromy ganku, też oczekiwali na „zmartwychwstanie”. Pan dziedzic już tyle razy umierał... Jeżeli dotąd, mówili sobie chłopci, Pan Bóg nie pozwolił dziedzicowi zdecydować samemu o chwili własnej śmierci, dlaczego tym razem miałoby być inaczej? Rozpamiętywali jedną z ostatnich prób samobójstwa dziadka, kiedy to nie znajdując noży, widelcy, naboji, wściekły wyszedł na dach dworu, żeby skoczyć na skrawek utwardzonej betonem ziemi, gdzie było przygotowane miejsce na kombajn, ale idąc szczytem dachu, potknął się i zjechał po dachówkach na klomb wysadzony różami. Później felczer miał wiele roboty, wyjmując z ciała dziadka głęboko wbite kolce róży. Jedynie urzędnicy Pegieeru, dla których dziadek nie był „panem dziedzicem”, tylko dyrektorem, nie mieli wątpliwości co do tego, że Zubrowski już nieodwołalnie zszedł z tego świata i zastanawiali się kto przyjdzie na jego miejsce, narzekając przy tym, że stanowiska po dziadku nie może objąć któryś z nich. Widzieli jak to było w innych pegieerach, że dyrektorami zostawali zawsze obcy, zawsze z miasta i przeważnie tacy, co o rolnictwie nie mieli większego pojęcia, ale za to legitymację partyjną w kieszeni, jak gdyby posiadanie takiej legitymacji dawało im wiedzę i praktykę w gospodarstwie rolnym.

Gdy kował z Pegieeru nałożył wieko trumny, w której leżał dziadek i przykręcił je

śrubami, już i ja wiedziałem, że nigdy razem z dziadkiem nie będę polował na kaczki. Chłopi i mężczyźni z miasta, wśród nich generał w generalskim mundurze, ci z miasta byli tymi samymi co każdego lipca, w rocznicę wygranej bitwy partyzanckiej z Niemcami, przyjeżdżali do Rogów na wielkie picie i jedzenie i śpiewanie, zmieniając się po drodze, nieśli dziadka do kościoła w Obrazowie, sześć kilometrów, gdzie też, za kościołem, znajdował się cmentarz z już wykopanym dołem na grób dziadka. Szedłem zaraz za trumną obok matki, babki i ojca, który po tym, jak wymierzyłem do niego ze strzelby i powiedziałem, że teraz, po śmierci dziadka, ja będę dziedzicem, nie odezwał się do mnie w Rogach ani jednym słowem. Za trumną, oprócz przybyszów z miasta, dawnych partyzantów, szli chłopi z kilku pobliskich wsi i prawie każdy chciał nieść choć przez kilkadziesiąt metrów trumnę z dziadkiem. Ale oprócz tych ludzi, w kondukcje znajdowało się czterech mężczyzn w jednakowych, szarych płaszczach z popeliny, trzymających cały czas ręce w kieszeniach, przemieszczali się tam i z powrotem od trumny do końca konduktu i wszystkim przyglądali się uważnie, a im samym chłopi i miastowi, nie wyłączając samego generała, przyglądali się jeszcze uważniej i, co mnie z początku zaskoczyło, z wielką nienawiścią, nawet ojciec patrzył na nich takim wzrokiem, jakby chciał ich zmieść z powierzchni ziemi. Nie rozumiałem tego wszystkiego, nie wiedziałem kim są ci ludzie i dlaczego ich wszyscy nienawidzą. Rozjaśniło mi się w głowie, gdy babka, także zauważając czterech mężczyzn w popelinowych płaszczach, szeptem powiedziała do mojej matki: żeby tylko nie przyszedł Marian. Mariana, syna dziadka a mojego wuja, znałem tylko z fotografii wiszącej w pokoju babki i przy mnie nigdy o nim nie mówiono. Jedynie ojciec raz wspomniał, że wuj Marian powinien, wykorzystując amnestię, ujawnić się wreszcie z oddziałem, gdyż inaczej czeka go kara śmierci, ale okres amnestii minął i wuj dalej siedział w Białym Lesie, napadając co jakiś czas na posterunki milicji i budynki urzędów partyjnych, pozostawiając je najczęściej spalone. Dopiero całą prawdę wyjawiała mi Jadźka, córka kowala, która pozwalała mi dotykać swych piersi i mnie też całego dotykała, z początku tylko przez rozprutą podszewkę spodni, a później, w szuwarach nad stawem... Okazało się, że to, co mi powiedziała, znali wszyscy mieszkańcy Rogów. Otóż wuj Marian, gdy wojska radzieckie przekroczyły Wisłę pod Sandomierzem, nie wyszedł z Białego Lasu wraz z dziadkiem, obiecując to zrobić dopiero wtedy, kiedy wojska z czerwonymi gwiazdami na czapkach wrócą z powrotem do swego kraju. Wojna się skończyła, ale nie wszyscy żołnierze z czerwonymi gwiazdami wrócili do swego komunistycznego państwa i wuj Marian pozostał w lesie, w ziemiankach partyzanckich. W gazetach nazywali go watażką „Ogniem”, właśnie dlatego, że podpalał posterunki milicji. Oddziały wojska wiele razy przeczesywały Biały Las w poszukiwaniu oddziału watażki

„Ognia”, używając do tego nawet kukuruźników, które na podejrzone miejsca spuszczały bomby, ale wszystko na nic. Kilka tygodni później płonął kolejny posterunek milicji. Wówczas wojsko i UB jak oszalałe jeździło po wsiach dokoła Białego Lasu, aresztując chłopów, którzy w czasie wojny walczyli w oddziale Dziadka i wuja Mariana, chcieli od nich wydobyć zeznania, w jaki sposób można się dostać do mokradeł pośrodku Białego Lasu, gdzie ukrywał się watażka. Prowadziła tam tylko jedna wąsika ścieżka, ale żaden z aresztowanych i uwięzionych chłopów nie mógł sobie przypomnieć tej ścieżki. Nie pomagały obietnice, że w zamian za zdradzenie drogi do mokradeł zostaną natychmiast zwolnieni z więzienia i jeszcze dostaną dużą działkę ziemi przy Pegieerze. Chłopi bardziej niż więzienia i tortur bali się majora Zubrowskiego, który jakkolwiek zaraz po wejściu Armii Czerwonej ujawnił się z większością ludzi swego oddziału i jeszcze dopomagał żołnierzom radzieckim w chwytniu rozproszonych grup esesmanów, to jednak nie wybaczyłby, gdyby ktoś zdradził miejsce ukrycia jego syna. W Rogach i okolicy pamiętano dobrze jaki straszliwy wyrok wydał na przedwojennego zarządcę majątku w Rogach, który nazwisko polskie zmienił na niemieckie i donosił Niemcom o przemarszach oddziałów partyzanckich. Jednego ranka chłopci zobaczyli zarządcę i całą jego rodzinę przybitą gwoździami do drzewa rosnącego pośrodku wsi. Po tym, co usłyszałem od Jadźki, już wiedziałem po co jeździłem z dziadkiem dwukółką do Białego Lasu. Biały Las był tak gęsto poprzecinany kilometrami krzyżujących się wądołów, jedne do drugich podobne jak drzewa w nocy, że nawet pastuchom z Pegieeru, jeśli krowa z pastwiska wbiegła do wądołu, nie wolno było biec za nią, lekkomyślni, którym żal było krowy, nigdy nie wracali z Białego Lasu, czasem tylko znajdowano ich ciała, a właściwie resztki tego, czego nie zeżarły wilki i lisy, albo szkielety wyczyszczone przez mrówki. Ale dziadek pewnie jechał wądołami w głąb Białego Lasu, ani raz nie zastanawiając się czy skręcić w prawo, czy lewo na jednym z setek rozwidleń, aby nagle w którymś miejscu zatrzymać konia, ze skrzyni pod siedzeniem wyjąć świnie, przypalikować ją do ziemi i wrócić z powrotem do wsi. Nigdy mi nie powiedział dla kogo zawozi świnie, ani nie prosił, abym o tej wyprawie nikomu nie rozpowiadał, a ja, wietrząc w tym jakąś wielką tajemnicę, nawet go nie zapytałem, dlaczego zostawiamy świnie w lesie i nikomu o tych naszych wyprawach nie mówiłem. Po opowieści Jadźki zrozumiałem, że to były świnie dla oddziału wuja Mariana.

Przypominając sobie to wszystko już nie dziwiłem się obecności mężczyzn w popelinowych płaszczach, trzymających bez przerwy ręce w kieszeniach, ani co jakiś czas jeżdżącym tam i z powrotem autom, których nigdy tyle naraz nie pojawiała się w okolicy Rogów i Obrazowa. Stało się dla mnie oczywiste, że ci obcy ludzie o rozbieganych oczach liczyli na to, że watażka „Ogień” przyjdzie na pogrzeb swego ojca. A babka bez przerwy, im

bliżej było do kościoła, szeptała, żeby tylko nie przyszedł, żeby tylko nie przyszedł... aż ojciec zdenerwował się i powiedział, że Marian musiałby być niespełna rozumu, żeby dzisiaj przyjść do kościoła czy na cmentarz, przecież ślepy zauważyłby tych przebierańców z pistoletami w kieszeniach i auta jeżdżące jak po warszawskiej ulicy. Byłem zaskoczony słowami ojca, a jeszcze więcej tonem jakim je wypowiedział, gdyż wyczułem, że ojciec nie chciałby, żeby złapano wuja Mariana, choć wcześniej sam mówił dziadkowi, żeby ten nakłonił syna do wyjścia z lasu, że być może dzięki temu uniknie kary śmierci, a poza tym, że już najwyższy czas, aby Polacy przestali strzelać do siebie. Dziadek odrzekł, że najwyższy czas, żeby Polacy mogli rządzić sami u siebie, bez pomocy doradców ze Wschodu. Matka też była zaskoczona słowami ojca, dotąd, jak i ja, myślała, że ojciec pragnąłby, aby dziadek i jego syn znaleźli się w jakimś odosobnionym miejscu, nie, żeby od razu w więzieniu, ale, przynajmniej jeśli chodziło o dziadka, na jakiejś mało ważnej posadzie urzędniczej, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy zwracać się do niego „panie dziedzicu”, a wujek Marian?... To już sprawa poważniejsza, nad jego głową wisiał wyrok śmierci i dlatego nikt sobie nie wyobrażał, aby on zjawił się na pogrzebie. A w ogóle nie wyobrażał sobie tego ojciec, jak inni patrzył z nienawiścią na mężczyzn w popelinowych płaszczach, którzy coś złowieszczonego wnieśli w ten pogrzeb. I widząc nienawistne spojrzenie ojca, co było już dla mnie obroną wuja Mariana, pożałowałem, że dwa dni temu mierzyłem do niego ze strzelby, i że, mimo nalegań matki, nie poprosiłem go o wybaczenie tego, co uczyniłem. Postanowiłem to zrobić zaraz po pogrzebie.

Mężczyźni w popelinowych płaszczach nie weszli do kościoła. Gdy ksiądz skończył odprawiać mszę żałobną, i do, z powrotem otwartej trumny, zmierzała babka, aby po raz ostatni ucałować dziadka, nagle przed nią stanął rosły mężczyzna w skórzanej kurtce i butach z długimi do kolan cholewami. Od razu domyśliłem się, że to wuj Marian, choć wyglądał całkiem inaczej niż na zdjęciu w pokoju babki. Patrzył na dziadka, wydawało mi się, tak samo jak ja wcześniej patrzyłem na niego, chcąc doszukać się jakiegoś znaku życia, ale znowu tak samo jak i ja musiał stwierdzić, że dziadek naprawdę umarł. Przez twarz wuja Mariana przebiegł wyraz złości i żalu jednocześnie. Ojciec szepnął: to szaleństwo i zaraz podszedł do generała i zaczął mu coś gorączkowo tłumaczyć. Generał wysłuchał, skinął głową i wyszedł z kościoła. Tymczasem chłopci zebrani w kościele jeden przez drugiego wyciągali głowy, żeby zobaczyć watażkę „Ognia”, którego przez tyle lat nie mogły schwytać oddziały wojska i milicji. Ksiądz przez kilka minut stał jak skamieniały, aż wreszcie opamiętał się i dał znak kowalowi, żeby nałożył wieko na trumnę. Wuj Marian jakby z niczego nie zdawał sobie sprawy, choć wszyscy teraz domyślali się, że przewidując zasadzkę, musiał co najmniej dwa

dni wcześniej schować się w krypcie kościoła, żeby móc po raz ostatni spojrzeć na ojca, stał i patrzył jak kowal przykręca trumnę śrubami, a po chwili, gdy podeszli chłopci, żeby wziąć trumnę na ramiona i wynieść z kościoła na cmentarz, wuj Marian odsunął ich od trumny i, odpinając kurtkę, wyjął zza pasa pistolet. Babka zemdląła i osunęła się na posadzkę kościoła. Już chyba nie słyszała strzału z pistoletu wuja Mariana, po którym natychmiast, roztrącając chłopów, wbiegli z pistoletami w rękach mężczyźni w popelinowych płaszczach. Wuj Marian leżał nieruchomo obok babki. Ojciec przytulił mnie do siebie, a ponad głową usłyszałem jak mówił generał, że i tak go mieli zabić.

HYCEL

Ja i hycel byliśmy największymi dla siebie wrogami w mieście. Większym wrogiem to byłem ja dla hycła, aniżeli on dla mnie, gdyż miałem tę nad nim przewagę, że mój ojciec pracował w Komitecie, lecz z drugiej strony, mimo tej mojej przewagi, to hycel łapał psy do klatki, a nie mój ojciec i na to JUŻ nic nie mogłem poradzić. Ale hycel, chociaż nienawidziłem go za to łapanie psów, w jakiś sposób stał mi się bliski, gdyż był tym człowiekiem, który mi pierwszy uświadomił jak ważną osobą w naszym mieście jest mój ojciec, bez tego na wiele ludzi patrzyłbym inaczej.

Przez kilka lat trwała ta moja dziwna znajomość z hyclem, później nie wiem co się z nim stało, umarł, przeniósł się do innego miasta albo u nas psów zabrakło? Lecz wcześniej w każdy czwartek czatowałem na niego. W czwartki, wyjątkowo, sam wracałem ze szkoły do domu, gdyż wszyscy z mojej klasy szli po ostatniej lekcji do kościoła na religię, sam wracałem, albo z Wackiem Siwcem, bo on mówił, że to jego chodzenie do kościoła to i tak tylko strata czasu, gdyż ksiądz wyrzucał go z co drugiej lekcji religii.

Siwcowi, odkąd dowiedział się, że Judasz dostał trzydzieści srebrników za zdradę Chrystusa, nie dawało spokoju ile to naprawdę było pieniędzy tych trzydzieści srebrników, co za nie można było wtedy kupić i czy to były monety czy papierowe pieniądze, na każdej religii pytał o to, aż ksiądz, już znieczepliwiony tłumaczeniem, że zdrada za jeden czy tysiąc srebrników jest taką samą zdradą, gdy tylko Wacek zaczynał o srebrnikach, kazał mu wychodzić z sali katechetycznej. Więc często Siwiec wracał razem ze mną do domu, choć akurat tego jednego dnia w tygodniu wolałbym wracać sam, gdyż nie chciałem, aby za dużo chłopaków wiedziało, że hycłowi odbieram psy.

Lecz jeszcze wcześniej, nim pod szkołą rozstawałem się z kolegami z klasy, umawiałem się z nimi po obiedzie, żeby zagrać w piłkę, albo żeby w parku pojeździć na rowerze.

Przeważnie wszyscy jeździli na moim rowerze, każdy po kolei po jednym okrążeniu dokoła Pomnika Wolności w parku. Drugi rower w klasie miał Siwiec, tylko że on nikomu

nie dawał pojeździć za nic, w zamian żądał pieniędzy lub odpisania zadania z matematyki, do której, jak sam twierdził, zupełnie nie ma głowy, co mnie strasznie dziwiło, bo byłem pewien, że do czego, ale do rachunków to on akurat miał najlepszą głowę w klasie, tylko nigdy nie otwierał książki do matematyki, przecież jakby zobaczył koło podzielone na dwie, cztery, osiem części, od razu zrozumiałby ułamki i potrafił je dodawać i odejmować, a on o tych ułamkach rzeczywiście nie miał najmniejszego pojęcia, powtarzał jakieś głupoty, że to jacyś czerwoni specjalnie wymyślili te ułamki, aby dzieciom pomieszało się w głowach i już niczego nie rozumiały. Za to Siwec najlepiej z całej klasy wiedział ile co kosztuje w sklepie z zabawkami, czy w sklepie papierniczym, gdzie oprócz zeszytów, gumek, ołówków i tych wszystkich rzeczy potrzebnych do szkoły, na osobnej półce stały słoje z cukierkami i lizakami o różnym kształcie, czy nawet w sklepie pana Mączki, u którego można było kupić wszystko, wszystko co znajdowało się w innych sklepach, a ponadto i rogalę, i chałwę, i smalec ze skwarkami, najlepszy w mieście i chyba w całej okolicy, bo nawet chłopci ze wsi przyjeżdżali do pana Mączki po ten smalec.

Wacek Siwec oprócz tego, że znał na pamięć ceny wszystkich rzeczy, to jeszcze potrafił najszybciej liczyć pieniądze, nawet, takie czasami odnosiłem wrażenie, nie musiał na nie patrzeć, wystarczyło jak tylko wziął do ręki i od razu wiedział ile ich jest, a pieniędzy miał zawsze pełne kieszenie i to dużo papierowych, które dostawał od ojca za to, żeby nikomu nie mówił jak dużo cegieł ojciec sprzedaje, gdyż Siwcowie mieli cegielnię nad Wisłokiem, nikomu, nawet własnej matce. Wacek miał takie zdolności, że wystarczyło mu tylko z daleka, podobnie jak na pieniądze, spojrzeć na wóz załadowany cegłami i już wiedział ile ich tam jest, aż to ojca Siwca dziwiło, bo on sam, stary cegielniarz, a takiej rzeczy nie potrafił. No i jak się tu było nie dziwić, że Wacek miał z rachunków najwięcej dwój.

W te czwartki, kiedy wracałem sam do domu, oglądałem po drodze wystawy sklepowe, niekiedy wchodziłem do sklepu z zabawkami, gdzie na ladzie, na torach ustawionych w koło, stała kolejka z wagonikami, którą sprzedawca, widząc mnie tylko w drzwiach, nakręcał kluczykiem i kolejka zaraz ruszała, a gdy zrobiła kilka okrążeń i, śmiesznie podrygując, jakby się dopraszała, aby ją jeszcze raz nakręcić, zatrzymywała się, sprzedawca prosił, żebym przekazał szanownemu tatusiowi najlepsze pozdrowienia, czego ja po spotkaniu w komisariacie z hyclem już nigdy nie zrobiłem, gdyż wtedy już wiedziałem, że sprzedawca bardziej puszcza tę kolejkę dla mojego ojca niż dla mnie, bo ojciec pracował w Komitecie, takim dużym budynku z dwiema wysokimi kolumnami, gdzie zaraz za drzwiami stał wartownik i nikogo nie wpuszczał do środka bez specjalnej przepustki, i ten budynek był najważniejszy w mieście, na jego dachu powiewała czerwona chorągiew, a ci, którzy

pracowali w Komitecie, też byli najważniejszymi ludźmi w mieście.

Podczas moich samotnych czwartkowych powrotów do domu jednak nie sklepy były najważniejsze, przede wszystkim obchodził mnie hycel, na niego czekałem, starego mężczyznę w kapocie, zdawało się tak sztywnej, jakby była z blachy.

Moje spotkania z hyclem, to nie były takie zwyczajne spotkania jak choćby ze sprzedawcą w sklepie z zabawkami, a właściwie w ogóle nie były to żadne spotkania. Gdy tylko z daleka usłyszałem jazgot psów, gdyż te psy, zamknięte w drewnianej klatce na wozie konnym, jak gdyby zapomniały swego zwykłego psiego języka, a pogłupiały ze strachu wyły albo zapamiętały gryzły się pomiędzy sobą, skomląc i warcząc na przemian, i ja to słysząc szedłem w kierunku skąd dobiegał jazgot i będąc blisko chowałem się w jakiejś bramie, a później dotąd szedłem ukradkiem za hyclem, dopóki on nie złapał w pętlę, która była przywiązana do końca długiego kija, beztriosko wałęsającego się psa. Wówczas podbiegałem do hycła i krzyczałem, że to mój pies i niech mi go natychmiast odda.

W tym czasie już wiedziałem, że hycłowi wolno łapać jedynie bezpańskie psy, a jeśli przypadkiem pojmał takiego, którego tylko na chwilę wypuszczono z domu, za potrzebą, to później musiał go oddać właścicielowi, oczywiście jeżeli ten przyszedł do jego psiarni za miastem, niedaleko rzeki.

Lecz nim doszło do tego, że hycel bez gadania uwalniał dla mnie psa z pętli, musiałem zdać sobie sprawę, a stało się to właśnie dzięki temu staremu mężczyźnie w kapocie sztywnej jak blacha, jak ważni są ludzie pracujący w budynku z dwiema wysokimi kolumnami. Gdyby nie hycel, pewnie długo bym jeszcze nie wiedział, że sprzedawca, nakręcając na mój widok kolejkę, nakręca ją dla mojego ojca, że nauczyciele, wpisując mi do dziennika dobre stopnie, stawiali je właściwie mojemu ojcu, co prawda nie wszyscy nauczyciele, bo na przykład pani Borkowa od polskiego oddawała mi kartki z klasówkami całe pokreślone na czerwono, powtarzając przy tym za każdym razem, że to, jakie robię błędy ortograficzne, musi być wynikiem dziedzicznego obciążenia, ale później panią Borkową przenieśli do szkoły na wsi i następna nauczycielka od polskiego też mi już dawała same piątki, gdyby nie hycel nie wiedziałbym, że nawet mój ulubiony wartownik w Komitecie, ten, który czasami dawał mi się pobawić pistoletem, prawdziwym pistoletem, daje właściwie pistolet jakby mojemu ojcu, chociaż z tym wartownikiem to może nie całkiem tak, bo raz upił się na służbie i na widok ważnego towarzysza, który przyjechał z Warszawy, zamiast zaszalutować zdjął spodnie i pokazał mu goły tyłek. Tego wartownika zaraz zawieźli do szpitala. Ja go tam chciałem odwiedzić, ale ojciec powiedział, że wartownik jest w szpitalu dla nienormalnych ludzi, gdzie odwiedziny są wzbronione, a poza tym, dodał patrząc na mnie uważnie, niech mi głupie myśli

nie przychodzą do głowy.

Co do psów... W domu, choć ja i matka nalegaliśmy, ojciec nie pozwalał trzymać psa. Mówił, że pies w miejskim mieszkaniu to jak odkurzacz w stodole, jedno do drugiego nie pasuje, pies przede wszystkim musi mieć się gdzie wybiegać i załatwić swoje naturalne potrzeby, twierdził ojciec, a nie rozkraczać się według zegarka, trzy razy dziennie, pod jedną i tą samą latarnią, w dodatku z wysokim napięciem. Lecz matka była zdania, że ojciec nie zgadza się na psa w domu, aby go nie podejrzewano, że robi z siebie zgniłego przedwojennego mieszcza, co to parkiet na wysoki połysk, służąca, kieliszek koniaku do kolacji, co sobota partyjka bridża i pudełek. Nie bardzo rozumiałem co matka miała na myśli, mówiąc o przedwojennym i to jeszcze zgniłym mieszcza, ale co do reszty, czyli błyszczącego parkietu, służącej, kieliszka koniaku a nawet całej butelki i co sobotniego bridża, to wszystko się zgadzało – było jak matka mówiła, z wyjątkiem pudła, tylko że ja nigdy nie chciałem mieć takiego psa. Więc zastanawiałem się, co ojcu szkodzi pies, skoro jedynie jego brakuje do wyliczonego przez matkę kompletu.

Kilka razy sprowadzałem różne psy do domu, właściwie nie tyle sprowadzałem co po prostu szły za mną, wystarczyło, że na ulicy dałem im szkolne śniadanie i już pozwalały mi się głaskać, targać za sierść, jak psy u dziadka w Rogach, lecz co z tego, kiedy musiałem się z nimi rozstawać pod bramą kamienicy.

Dziadek miał trzy psy, jeden do polowania na kaczki i dwa kundle, tylko tak się jakoś składało, że Kora, ta specjalnie ułożona na kaczki, o wiele mniej chętnie podnosiła kaczki z wody niż kundle, Wyga i Piekło. Kora trzymała kaczkę w pysku w taki sposób, jakby to była zeszloroczna padlina, a Wyga i Piekło na wyścigi śmigały do wody za kaczkami, który pierwszy dopadnie i przyniesie dziadkowi pod nogi.

W lecie, kiedy drzwi domu w Rogach stały zawsze otwarte na ogród, psy na przemian biegały po ogrodzie i pokojach. Kundle tylko na kilka godzin znikwały każdego dnia, włócząc się po wsi i polach, skąd często wracały z podrapanymi mordami i pogryzionymi uszami. Kora nie, trzymała się domu jak stara panna. Sam niejedną raz łąziłem z Piekłem i Wygą po pastwiskach, gdzie lubiłem patrzeć jak chłopaki pasący krowy podpalają jałowce, które w kilkanaście sekund zamieniały się w wielkie pochodnie, a później w ożywczo pachnący popiół.

I gdy po którymś lecie wróciłem z Rogów do miasta i po raz pierwszy zobaczyłem na ulicy jadącą klatkę z zamkniętymi w niej psami, prawie takimi samymi jak Wyga i Piekło, tylko z oczami nabiegłymi krwią, półprzytomne, gryzące jeden drugiego, wyjące i jazgoczące, jakby w jednym miejscu zbiegły się psy z całej Polski, i kiedy jeszcze w tej samej chwili idący ze

miną Wacek Siwiec powiedział, że ten co psy łapie, hycel, wówczas nie znałem tego słowa, robi ze złapanych psów smalec, który jest poszukiwany jako lekarstwo na płuca, tak mi się zrobiło żal tych uwieczonych kundli, że z płaczem podbiegłem do idącego obok wozu starego mężczyzny i zacząłem go prosić, żeby wypuścił psy, a ja mu za to dam wszystkie pieniądze jakie mam w kieszeni i jeszcze poproszę matkę, aby mu kupiła pięć kilo smalcu, tego najlepszego w mieście, ze skwarkami, jaki był w sklepie u pana Mączki...

Hycel, który cały czas szedł obojętnie obok konia, jakby mnie nie widział i nie słyszał, gdy wspomniałem o smalcu gwałtownie odwrócił się i pchnął mnie w piersi, tak mocno, że jak długi rymnąłem na ulicę, zdzierając sobie skórę z łokci, a on stojąc nade mną zagroził, że jeśli zrobię jeszcze jeden krok za nim, to mnie też wsadzi do klatki. Psy jak gdyby wyczuły, że pragnę je uwolnić, gdyż ucichły i patrzyły na mnie z wyczekiwaniem. To, że znajdę się w Matce wraz z psami wcale mnie nie przstraszyło, a nawet sobie pomyślałem, iż znajdując się wewnątrz, znajdę jakiś sposób, żeby otworzyć klatkę i uciec z psami. Tylko Siwiec przytrzymał mnie siłą i nie pozwolił podnieść się z ulicy, dopóki hycel z klatką nie znikli za zakrętem.

Wróciłem do domu zapłakany, z pokrwawionymi łokciami. Z żalu i płaczu nie mogłem matce niczego wyjaśnić, dopiero Wacek Siwiec opowiedział jak to hycel wywrócił mnie na ulicę i na dodatek zamierzał wsadzić do klatki z psami. Matka, pobladła z wrażenia, natychmiast zatelefonowała do ojca do Komitetu, powtórzyła co jej opowiedział Wacek i kazała ojcu coś z tym zrobić.

Po niecałej godzinie, kiedy matka obmyła mi i zabandażowała łokcie i dała drugą koszulę do przebrania, przyjechało po nas auto z Komitetu i kierowca zawiózł nas na posterunek milicji. Tam już czekał ojciec. Siedział na krześle obok biurka milicjanta, a pod ścianą stał hycel i patrzył pod swoje nogi. Na pytanie milicjanta, czy mnie poznaje, hycel odrzekł cicho, że tak, panie oficerze, i dodał błagalnym głosem, że za to co zrobił poniesie każdą karę, zapłaci ile trzeba a nawet więcej niż trzeba, jeśli będzie potrzeba, pójdzie do karnej pracy a choćby i do więzienia, żeby tylko później mógł dalej pracować w swoim fachu, bo jego ojciec był hyclem jeszcze przed ostatnią wojną, zaś dziadek jeszcze przed pierwszą, za Franca Józefa i oni go wyuczyli... Wyuczyli was, surowo przerwał milicjant, żeby dzieci zamykać do klatek z psami i poniewierać nimi po ulicach? Nie, panie oficerze, to taki głupi traf, ja w życiu dziecka nie uderzyłem, najwyżej swoje, tłumaczył się hycel, to tak się zdarzyło, bo ten gówniarz, znaczy ten panicz, przyczepił się, to znaczy chciał, żeby wypuścił na wolność wszystkie psy, a jak to? Ja jestem od tego, żeby łapać psy, a nie łapać i wypuszczać z powrotem, ojciec by się w grobie przewrócił, a poza tym ja też mam rodzinę i też muszę z

czegoś żyć. Z czego żyjecie, to my już wiemy, powiedział milicjant, i już samo to wystarczy, aby wam odebrać koncesję. Panie oficerze! – teraz hycel był najbardziej przestraszony – to głupi ludzie roznoszą takie bajdy, Matko Przenajświętsza, ja miałbym coś takiego robić?! Hycel złapał się za głowę, jakby chciał ją zdjąć i rzucić o ścianę. Dobra, koniec tego gadania, wreszcie odezwał się mój ojciec i po tym, jak się odezwał i jakim tonem dalej mówił, czuło się w całym pokoju, że on jest tutaj najważniejszy, że, co mnie najbardziej zaskoczyło, jest ważniejszy nawet od siedzącego za biurkiem milicjanta, który uważnie, tak samo jak i hycel, przysłuchiwał się ojcu. Koncesji mu nie odbieramy, zdecydował ojciec, ale jeszcze jeden taki podobny wypadek i konsztachty z Mączką... no, chyba wszystko jasne, można go wypuścić. Milicjant, spostrzegłem, wyglądał raczej na zadowolonego, że hycela nie spotkała żadna kara, lecz na wszelki wypadek upewnił się, pytając: rozumiem przez to, że towarzysz nie składa żadnej skargi? Nie składam, odrzekł ojciec, po czym wziął mnie i matkę pod rękę i wyszliśmy z komisariatu.

I to była właśnie ta chwila, w której zrozumiałem, co to znaczy jak ktoś pracuje w budynku z dwiema wysokimi kolumnami, nawet jeśli się tam trafi jakiś zwariowany wartownik, który na przyjeźdnego z Warszawy wypina goły tyłek.

Hycel, jeśli tego wszystkiego nie wiedział wcześniej, to na pewno też to zrozumiał tego samego dnia co i ja i pewnie w tej samej godzinie. W każdym razie po tym naszym spotkaniu w komisariacie starał się omijać ulice w pobliżu szkoły podstawowej, do której chodziłem, ale mnie i tak co kilka tygodni, przyczaiwszy się w jakiejś bramie, udawało się trafić na moment, gdy hycel łapał psa. Wtedy podbiegałem do wozu i mówiłem, że ten pies należy do mnie. Hycel bez słowa zostawiał psa na ulicy i podcinał batem konia, starając się odjechać jak najprędzej, jakby się obawiał, że znowu nie wytrzyma...

Jednego tylko nie rozumiałem w tym całym wydarzeniu. Zaraz jak tamtego dnia wróciliśmy z komisariatu do domu, matka obdzwoniła wszystkich znajomych, przestrzegając ich, żeby nie kupowali smalcu ze skwarkami u pana Mączki. A przecież dopiero co mówiło się w domu, że to najlepszy smalec w mieście?

ŁOWCA SZPIEGÓW

Po tym, jak Binek przeczytał na lekcji wychowawczej o złapaniu szpiega amerykańskiego, postanowiłem samemu wykryć i schwytać szpiega obcego wywiadu. W ogóle zdecydowałem, że w przyszłości, gdy dorosnę, zostanę łowcą szpiegów, taki sobie zawód obiorę. Będę wykrywał szpiegów kapitalistycznych w Polsce i innych krajach socjalistycznych, jeśli mnie poproszą o pomoc. W Związku Radzieckim, słyszałem, jest cała masa nie wykrytych szpiegów. Tymczasem, na początek, no i dla wprawy, wykryję drugiego szpiega amerykańskiego w naszym mieście.

W książkach szpiegowskich, które przeczytałem dla pogłębienia wiedzy o moim przyszłym zawodzie, pisało, że na jednym i tym samym terenie pracuje zazwyczaj kilku szpiegów, więc skoro się znalazł jeden szpieg w naszym mieście, to musi być ich więcej. Dlatego ma być kilku szpiegów na jednym terenie, żeby ich dykcja mogła zorientować się, który z nich podaje fałszywe informacje, albo który, jak to się mówi w szpiegowskim języku, został spalony i za tego spalonego szpiega informacje, umyślnie nieprawdziwe, przekazuje kontrwywiad.

Tak, obkułem się trochę w szpiegowskich sprawach, ale, wiadomo, książki nie mogły mi zdradzić wszystkiego w tej dziedzinie. Dużo o szpiegach powiedział Binek na lekcji wychowawczej, do której materiały dostał z Komitetu partii, gdzie pracuje mój ojciec. Jednak te materiały z Komitetu, to też nie była instrukcja od a do z jak wykrywać szpiegów. Więcej od Binka bez wątpienia wiedział ojciec, ale on o szpiegach nie chciał ze mną rozmawiać, mimo: że powiedziałem mu, że w przyszłości chcę zostać zawodowym łowcą szpiegów kapitalistycznych. Ta rozmowa z ojcem to był mój bład, gdyż nazajutrz po tej rozmowie z mojej półki zniknęły wszystkie powieści szpiegowskie jakie miałem i ponadto matka powiedziała, że tego rodzaju książek już mi nie będzie kupować. Odtąd musiałem je pożyczać od Wacka Siwca a czytać w szkole pod ławką.

Siwcowi nie bardzo się spodobało, kiedy mu zdradziłem jaki zawód mam zamiar wybrać. Powiedział, że jeśli już teraz miałby decydować kim być, to wolałby zostać szpiegiem niż łowcą szpiegów, gdyż jako szpieg dostawałby pieniądze w dolarach i, mając dolary w kieszeni, przedarłby się przez zieloną granicę i jeździł po całym świecie. Mogłem się domyślić, Wackowi tylko pieniądze w głowie, choć i tak miał ich najwięcej z naszej klasy. W ogóle Siwcowie, którzy mieli cegielnię nad Wisłokiem, uchodzili w mieście za bardzo bogatych. Milicjanci już dwa razy zryli całą cegielnię i przeszukali dom od piwnic do dachu w poszukiwaniu złota i dolarów, gdyż ktoś rozpowiadał, że oni handlują dolarami i złotem. Nic nie znaleźli. Wacek szukał i też nie znalazł. To musiał być jakiś przemyślny schowek, że nawet Wacek go nie wykrył, on, który pieniądze na odległość wyczuwał, co dopiero złoto.

Z rozmowy z Siwcem zapamiętałem sobie, żeby na przyszłość mieć уважение na niego, jako możliwego szpiega, bo Wacek za pieniądze gotów był podjąć się wszystkiego, nawet szpiegowania. Też z tą rozmową miało związek zastanawianie się, czy nie byłoby słuszne, aby ludzi, którzy za ileś tam lat mogą zostać szpiegami kapitalistycznymi, już teraz zamykać w więzieniach? Na jednym z zebrań w Komitecie, podczas wakacji, kiedy to matka wyjechała do sanatorium leczyć nerwy, a ojciec nie chciał, żebym pojechał sam do Rogów i codziennie brał mnie z sobą do pracy, słyszałem jak komendant tajnej policji mówił, że aby nie dopuścić do zakłócenia święta 22 Lipca, trzeba przed tym dniem zatrzymać w aresztach kilkadziesiąt osób. To z tamtego właśnie zebrania w Komitecie wziął się mój pomysł, żeby w podobny sposób nie dopuszczać do działalności nowych szpiegów w Polsce. Tylko, gdy sobie wyobraziłem Wacka za kratkami... To już wolałem poczekać i schwytać go, gdy naprawdę zostanie szpiegiem, jeżeli oczywiście zostanie. Ale o tym wszystkim myślałem później, po lekcji wychowawczej o szpiegach.

Najbardziej sensacyjne, co nam na początku powiedział Binek, było to, że złapany szpieg amerykański mieszkał w naszym mieście i nazywał się tak bardzo zwyczajnie: Piotr Biernacki. W podręczniku do polskiego mieliśmy czytanekę o Polaku, szpiegu kapitalistycznym, zdrajcy bez sumienia, który za obce pieniądze sprzedawał nasz kraj, ale nigdy bym nie pomyślał, że taki wredny szpieg może chodzić tymi samymi ulicami co i ja. Żałowałem, że wychowawca nie miał zdjęcia schwytanego szpiega. Może rozpoznałbym go? Na myśl, że kiedyś mogliśmy przechodzić obok siebie, aż mnie ciarki przeszły.

Binek zrobił nam długie przemówienie o tym, co w Polsce może zainteresować kapitalistycznych szpiegów. Wszystko, okazało się. Nie ma takiej dziedziny, która by nie obchodziła obcego wywiadu, a zwłaszcza amerykańskiego, bo to przede wszystkim oni, Amerykanie, pragną zapanować nad całym światem i to im najbardziej nie podoba się nasz

sprawiedliwy ustrój socjalistyczny. Więc, na wypadek wojny, chcą jak najwięcej dowiedzieć się o systemie obronnym Polski, to znaczy gdzie rozmieszczone są jednostki wojskowe, jak uzbrojeni są żołnierze i ilu ich jest, jaką mają łączność i tak dalej, ale też interesują ich sprawy cywilne, takie na przykład, w jakich butach chodzą Polacy, co jedzą na obiad, a nawet o czym rozmawiają ludzie w kolejkach sklepowych. Ponadto kapitaliści, poprzez swoich szpiegów, przenikają do naszych zakładów pracy i instytutów naukowych, żeby podpatrzeć wynalazki i odkrycia polskich uczonych.

Z początku nie rozumiałem co Amerykanów obchodzi nasze buty lub to, co jemy na obiad, aż dopiero Binek wyjaśnił, że mimo pozorów, iż nie, buty i obiad to strategiczne dziedziny życia, gdyż mężczyzna, który się źle odżywia, będzie słabym żołnierzem, a taki, który długo chodzi w złych butach, ma platfusa i nie przemaszeruje z karabinem na plecach nawet dziesięciu kilometrów. Rozjaśniło mi się i wówczas też pojąłem, dlaczego szpiegowie podsłuchują rozmowy w kolejkach sklepowych. Chodzi im o rozpoznanie, jakie jest samopoczucie Polaków, czy jest im dobrze we własnej ojczyźnie, czy źle, bo jeśli żołnierzowi jest źle, wówczas nie walczy z takim poświęceniem jak powinien.

No, co do samopoczucia... U mnie w domu nikt nie narzekał, oprócz zmieniających się często kobiet do sprzątania, którym zawsze było czegoś za dużo albo za mało, zazwyczaj za mało pieniędzy i za dużo roboty. Czasami też i matka grymasiła, że ojciec nie zabiera jej na delegacje służbowe do różnych krajów socjalistycznych, ale to takie babskie narzekania.

Z obiadami i butami nie było źle. Buty mieli wszyscy, w każdym razie na ulicy 1 Maja, głównej ulicy w naszym mieście, nikogo nie widziałem na bosaka, tylko na Baldachówce chłopaki ganiali boso, ale widocznie tak woleli, gdyby mi matka pozwoliła, sam bym chętnie pobiegał bez butów. Od chodzenia boso na pewno nie robi się platfus, a czy robi się od chodzenia w polskich butach? Pewnie też nie, no, nie słyszałem.

Obiady... W domach moich kolegów z klasy jedzono obiady bardzo pożywne, najczęściej placki ziemniaczane, ziemniaki z barszczem lub ziemniaki z kwaśnym mlekiem. Szkolny lekarz mówił, że ziemniaki dają siłę i zawierają dużo witamin. Ja także chciałbym często objadać się plackami ziemniaczanymi, nie tylko od święta, gdy uproszę matkę, żeby usmażyła. W naszym domu jest prawie codziennie mięso na obiad, gdyż ojciec dostaje z Komitetu przydział mięsa i trzeba go jeść, żeby się nie zepsuło. Siwcowie też jedzą dużo mięsa i kielbasy, choć nie mają przydziału z Komitetu. Tylko kupują świnie, najmują masarza i jedzą aż zjedzą, później kupują następną świnie.

Z lekcji wychowawczej mocno mi się wryło w pamięć to, co Binek mówił o wielkich szkodach w gospodarce, jakie ponosimy z powodu szpiegów. Właśnie schwytyany Piotr

Biernacki, inżynier z zawodu, który pracował w wydziale przemysłowym Wojewódzkiej Rady Narodowej, dostarczał Amerykanom wiadomości o najnowszych osiągnięciach polskich naukowców i wynalazców, tak, że nim nasi podali do publicznej wiadomości o jakimś odkryciu lub zbudowaniu supernowoczesnej maszyny, Amerykanie już to odkrycie mieli opatentowane i jeszcze bezczelnie twierdzili, że Polacy podkradają ich myśl naukową.

To było ze strony Amerykanów bardzo brzydkie, nasi uczeni męczą się latami w laboratoriach, nie dosypiają, nie biorą urlopów, żeby odkryć coś jeszcze nieznanego w przyrodzie, jak to wcześniej zrobili Kopernik i Maria Skłodowska-Curie, a Amerykanie za ileś tam dolarów zapłaconych szpiegom mają to wszystko bez żadnego wysiłku z ich strony. Tak postępując, nic dziwnego, że im w Ameryce powodzi się lepiej niż nam w Polsce. W tym wypadku wyraźnie widać, że kapitalizm to wyzysk człowieka przez człowieka, a nawet więcej, wyzysk narodu przez naród. Tylko, pomyślałem, niech ci kapitaliści mają jakiś honor i wyzyskują się wzajemnie, bez wysysania naszego socjalistycznego trudu.

Gdy o tym wszystkim Binek opowiedział, taka mnie złość wzięła na kapitalistów, a jeszcze większa na szpiegów, którzy służą kapitalistom, że jakoś mimo woli wstałem z ławki i krzyknąłem: ręce precz od Polski! Tak pisało na plakacie przed szkołą i skojarzyło mi się, że słowa z plakatu mają związek z tematem lekcji wychowawczej. Binek, po moim okrzyku, wpisał mi do dziennika piątkę za działalność społeczną, a Siwcowi wpisał dwóję z zachowania, gdyż ten po moim okrzyku roześmiał się i powiedział, że mnie już całkiem zaczerwieniło się w głowie. Ale te stopnie nie miały żadnego znaczenia, ani na mnie nie zrobiła wrażenia piątka, ani na Wacku dwója, bo tak już było, że ja najczęściej dostawałem piątki a Wacek dwóję i obaj wiedzieliśmy, że moje piątki są za ojca pracującego w Komitecie na ważnym stanowisku, natomiast jego dwóję za ojca cegielniarza, który groził, że prędzej spali cegielnię, niż ją odda państwu. Ludzie znali starego Siwca i wiedzieli, że słowa by dotrzymał.

W połowie lekcji wychowawczej Binek doszedł do tego, jak wyglądają szpiegdy, a więc, przede wszystkim, wcale nie wyglądają na szpiegów, są tacy sami jak wszyscy ludzie, żebyśmy nie myśleli, że chodzą w ciemnych okularach i z podniesionymi kołnierzami płaszczy, a rękę trzymają w kieszeni na pistolecie. Byłem rozczarowany, bo ja właśnie tak wyobrażałem sobie szpiegów. Jeżeli jest inaczej, to w jaki sposób można ich rozpoznać. Przecież bądź kto może być szpiegiem. Kiedy to sobie uzmysłowiłem, ogarnęło mnie przerażenie, gdyż w naszym mieście jest wszystko jakby na wierzchu. Każde dziecko wie, że w jednostce pancerniej są trzydzieści cztery czołgi, a jeżeli nie wie ilu jest żołnierzy, to tylko dlatego, że mu się nie chciało liczyć. Sam wiele razy siedziałem na murze ogrodzeniowym

jednostki, patrząc na maszerujące oddziały. Też nikt nie robił tajemnicy z tego, gdzie znajduje się fabryka granatów, albo huta, w której odlewają lufy do dział. To tylko u ojca w gabinecie widziałem pełno dokumentów z pieczętką „ściśle tajne”, a pod jedną taką pieczętką znajdowały się nazwiska kucharek pracujących w Komitecie, co mnie strasznie zdziwiło, gdyż wszyscy wiedzieli, że Gienia Kozłowska jest kucharką-szefową w Komitecie i jak ktoś chciał odbierać z kuchni pomyje dla świń, to musiał o tym z Kozłowska dogadywać się. Matka mówiła, że Kozłowska ma drugą pensję z tych pomyj. Nie rozumiałem, jak można chcieć ukrywać przed ludźmi nazwiska kucharek pracujących w Komitecie, a jednocześnie zostawiać na widoku fabrykę granatów, hutę do odlewania luf i czołgi! A kiedy jeszcze uprzytomniłem sobie, co ludzie mogą wygadywać stojąc w kolejkach sklepowych... No, raj dla szpiegów.

Gdy zabrzmiał dzwonek na koniec lekcji wychowawczej, we mnie gotował się już taki gniew na szpiegów i na nas samych jednocześnie, iż tak beztróska ułatwiamy pracę agentom obcych wywiadów, że zaproponowałem, aby w ramach pracy społecznej każdy uczeń złapał kapitalistycznego szpiega. Ale Binek obojętnie wzruszył ramionami i wyszedł z klasy. Zabolęło mnie to lekceważące zachowanie Binka i pomyślałem; pokażę ci, sam złapię szpiega.

Gdyby Wacek Siwiec nie miał innego zdania o szpiegach, aniżeli ja mam, zatrudniłbym go jako mojego zastępcę w działalności antyszpiegowskiej. A tak, zostałem sam, nikt więcej z klasy nie nadawał się do tego rodzaju roboty. Lecz wcale mnie to nie załamało. Widziałem na filmach kowbojskich, że czasami samotnik potrafi więcej dokonać niż duża grupa ludzi.

Zrobiłem listę obiektów w mieście, którymi muszą interesować się szpiegowie. Z listy wybrałem, moim zdaniem najważniejszy obiekt w mieście: pancerną jednostkę wojskową.

Koszary znajdowały się kilkanaście minut drogi od mojego mieszkania. Dwa razy dziennie biegłem pod ogrodzenie koszar, raz od strony miasta, raz od strony strzelnicy, wypatrując jakichś podejrzanych osób. Przez pierwszy tydzień, każdy, kto przechodził obok jednostki, wydawał mi się podejrzany. Jeden nazbyt ciekawie zaglądał przez bramę koszar, drugi znowu szedł nazbyt obojętnie, nawet nie patrząc na mur ogrodzeniowy, trzeci, pijany, usnął w trawie koło ogrodzenia strzelnicy, czwarty... i tak dalej. Poszedłem za kilkoma podejrzanyimi mężczyznami, żeby wysledzić, czy przypadkiem po jakimś czasie nie zwracają z powrotem pod koszary. Żaden z nich tego nie zrobił, wchodzili do domów i koniec. Tylko jeden z nich spostrzegł, że jest śledzony. W pewnym momencie zwolnił kroku, odwrócił się do mnie i zapytał, czy chcę zarobić parę złotych. Jak? – zapytałem zaskoczony. Potrzywasz mi, odrzekł. Co potrzywasz? A to, mężczyzna pokazał na swój rozporek. Uciekłem, ale wcześniej dobrze

przyjrzałem się jego twarzy. Pomyślałem, że ktoś, kto zauważa, iż jest śledzony, mógł przejść kursy szpiegowskie. Lecz więcej nie widziałem tego mężczyzny.

Po miesiącu daremnej, antyszpiegowskiej służby, przekonany, że agent obcego wywiadu musiał wniknąć do jednostki pancerniej, a do koszar już nie miałem dostępu, postanowiłem przenieść się pod kolejny obiekt z mojej listy: fabrykę granatów. Ale w ostatni dzień obserwacji jednostki wojskowej natknąłem się na młodą i jakoś tak pstrokato ubraną kobietę. Zdumiony uprzytomniłem sobie, że widzę ją tutaj nie po raz pierwszy. Po chwili, doszło do mojego rozumu, że w gruncie rzeczy widziałem ją niemal każdego dnia pod jednostką, tylko kobiet, jako szpiegów, nie brałem pod uwagę.

Kobieta coś wesoło powiedziała do wartownika, jakby się z nim dobrze znała, po czym poszła wzdłuż muru w kierunku strzelnicy, gdzie kończyło się murowane ogrodzenie i zaczynał płot z siatki żelaznej i tam, oglądając się uważnie dokoła, przeszła przez dziurę w ogrodzeniu. Z krzaków, gdzie leżałem, zauważyłem jak kobieta otworzyła drzwi z napisem „schron” i weszła do środka.

Podniecony, że wreszcie udało mi się trafić na szpiega, pobiegłem ile sił do wartownika przy bramie i powiedziałem mu, zdyszany i rozgorączkowany, że w jednostce znajduje się kapitalistyczna szpiegówka, że widziałem jak wchodziła przez dziurę w ogrodzeniu, że trzeba ją natychmiast złapać. Wartownik, niezbyt doceniając jak ważną wiadomość przyniosłem, z obojętnym wyrazem twarzy zaprowadził mnie do dowódcy warty. Ten wysłuchał mnie ze skupieniem i ledwie skończyłem mówić zerwał się zza stołu, z bocznego pomieszczenia przywołał dwóch uzbrojonych żołnierzy i kazał się zaprowadzić do schronu, do którego weszła szpiegówka.

Poszliśmy na strzelnicę przez koszary, obok równo ustawionych czołgów. Po kilku minutach byliśmy na miejscu. Żołnierze wzięli automaty do ręki i wycelowali w drzwi schronu. Dowódca kopnięciem otworzył drzwi i odskoczył na bok, jakby w schronie miało coś wybuchnąć. Przez otwarte na oścież drzwi zobaczyłem wewnątrz schronu żelazne łóżko z materacami, a na materacach szpiegówkę leżącą z żołnierzem. Oboje byli półnaczy, żołnierzowi świeciły się pośladki. Dowódca warty pierwszy wszedł do schronu i krzyknął do kobiety: ty stara kurwo, miałem cię już nigdy nie widzieć! A do mnie powiedział, że bym spieprzał i nie szwendał się więcej w pobliżu jednostki, że jak będzie szpieg, to oni go sami złapią.

Do domu wracałem wściekły, że dowódca warty potraktował mnie jak byle pętaka. Pomyliłem się, trudno, ale w takich wypadkach lepiej sto razy omylić się, niż raz dać ujść prawdziwemu szpiegowi i dowódca warty powinien zdawać sobie z tego sprawę i jeszcze mi

podziękować za wykazywanie czujności.

Nazajutrz, zaraz po lekcjach, poszedłem pod fabrykę granatów. Muszę wykryć szpiega!

PIERWSZA KOMUNIA ŚWIĘTA

Ojciec jakby coś złego przeczuwał, gdyż przez kilka miesięcy po tym, jak dziadek i wuj Marian zastrzelili się, z uporem przekonywał matkę, że dla babki będzie o niebo lepiej, jeżeli pozostanie w Rogach, zamiast przyjeżdżać do nas. Codziennie słyszałem, że babka, jako iż nigdy nie mieszkała w mieście, w ogóle w życiu nie przebywała w mieście dłużej jak kilkadziesiąt godzin i tym miastem był jedynie Sandomierz, a Sandomierz, wiadomo, to tylko rynek z ratuszem i kościoły, więc nie potrafi przywyknąć do prawdziwego miastowego życia, będzie jej brakować sąsiadek, bo przecież z kobietami z naszej kamienicy nie dogada się, będzie jej brakować ogrodu, psów, kotów, kur, kaczek, nawet powietrza. Matka z tym wszystkim zgadzała się, ale mimo to nie chciała, aby babka została na starość osamotniona, no bo niech tak zachoruje, złamie nogę, uśnie przy rozpalonym piecu... – Czy ty byś pragnął, pytała ojca, żeby twój syn zostawił cię na starość samego?

W tym czasie były to właściwie rozmowy bez sensu, gdyż babka wcale nie zamierzała przeprowadzić się do nas i wyglądało, że do końca swego życia nie wyjedzie z Rogów. Matka co miesiąc jeździła do babki, czasami ja z nią jeździłem i za każdym razem namawiała ją na przyjazd do nas na stałe, lecz babka niezmiennie odpowiadała, że nie odjedzie tak daleko od grobu swego męża i syna; jak ma ich samych zostawić? Kto w niedzielę zapali świecę na grobie? Kto zmówi nad nimi Zdrowaś Mario? Wreszcie, wobec ostatniego, stanowczego oświadczenia babki, że pozostanie w Rogach, ojciec z matką postanowili wybudować dla niej mały, dwuizbowy dom, ale z centralnym ogrzewaniem i kranem z wodą i ten dom zamierzali postawić w Obrazowie, żeby babka miała blisko na cmentarz. Dwór w Rogach był już mocno zagrzybiony, a poza tym po wodę ze studni trzeba było chodzić dwadzieścia metrów. Z tego postanowienia i ojciec był zadowolony i matka i ja. Ja, że dalej będę mógł jeździć na wakacje do babki, co prawda już nie do Rogów, gdzie poznałem wszystkich chłopaków i zaprzyjaźniłem się z Jadźką, córką kowala, tak iż niektórzy śmiejąc się nazywali nas

narzeczonymi, tylko do sąsiedniej wsi, ale to niezbyt duża różnica. Po tej stronie Sandomierza wszystkie wsie były podobne do siebie, wszędzie dokoła rosły lasy pocięte wądołami, pełno było jałowców i jak w każdej wsi konie, psy i dużo wolnego miejsca do biegania.

Gdy ojciec już dał zaliczkę na drzewo na budowę domu i znalazł cieśli, którzy zgodzili się pojechać do Obrazowa budować dom, jednego wiosennego ranka, ojciec golił się wtedy, a ja jadłem śniadanie przed wyjściem do szkoły, usłyszeliśmy z ulicy stukot kopyt końskich, skrzypienie kół i trzaskanie batów. Tego rodzaju hałasów nie słyszało się na naszej ulicy, gdyż furmankom przejazd był zabroniony. Co za banda, jak to Cyganie, każę natychmiast przegnać z miasta, powiedział ojciec i z namydloną twarzą stanął obok mnie przy oknie. Ulicą ciągnęły cztery wyładowane wozy, ale nie cygańskie, do każdego zaprzęgnięte były dwa konie. Na wozach widziałem meble, pierzyny, garnki, kosze i pudła kartonowe, to wszystko co wożą ludzie, kiedy się przeprowadzają na inne mieszkanie. Na koźle pierwszego wozu siedział chłop i zawinięta w koce kobieta, rozglądali się uważnie, lecz jednocześnie bezradnie, to na jedną stronę ulicy, to na drugą, jakby wypatrując gdzie się zatrzymać. Pojechali dalej. No proszę, rzekł z dumą ojciec, wieś przeprowadza się do miasta, jadą pewnie na Osiedle Rewolucji Październikowej, w tym tygodniu kolejny blok oddaliśmy, pogubili się biedacy, ale za kilka miesięcy będą chodzić po mieście jak po swoim, zauważyliśmy, że ludność wiejska szybko się asymiluje w mieście... I tak gadał o tej ludności z coraz większym zadowoleniem z siebie i z coraz większą sympatią dla ludności wiejskiej, nazywając ją ożywczą kroplą źródlaną w zastarzałej, miejskiej tkance, aż znowu usłyszeliśmy stukot kopyt końskich. Ojciec, już ogolony, umilkł, a po chwili stwierdził ze złością, że to już przesada, nie będziemy każdemu wieśniakowi przydzielać przewodnika, żeby go pokierować do nowego domu. Tym razem ojciec nie podszedł do okna i z kolei mówił, zapominając co dopiero wypowiedzianych słów, że z przesiedleńcami ze wsi to same kłopoty, bo jak nie hodują kur czy świni w piwnicach, a byli nawet tacy co kaczki trzymali w wannach, to miejsca przeznaczone na trawniki, klomby z różami, dzielą na małe poletka i sadzą tam pomidory, ogórki, różne warzywa, a raz zdarzyło się, że mieszkańcy jednego bloku, wszyscy pochodzący z jednej i tej samej wsi, obsiali żytem ziemię dokoła bloku, tak, że wiosną trzeba było spychacz. tam wysłać, żeby zniszczyć wzeszłe już na pół metra żyto, a w końcu cała sprawa skończyła się w sądzie, bo ci co posiali żyto pobili operatora spychacza i prezesa osiedla mieszkaniowego. Kiedy stukot kopyt i skrzypienie kół urwały się pod naszą kamienicą, matka nagle zerwała się z krzesła i gwałtownie, mało nie rozbijając szyby o moje czoło, otworzyła okno, wychyliła się i powiedziała: matka przyjechała!

Tego dnia nie poszedłem do szkoły, a ojciec spóźnił się do pracy dwie godziny. Babka dwa

dni i dwie noce, z przerwami na odpoczynek dla koni, jechała z Rogów do naszego miasta. Matka i ojciec byli tak zaskoczeni jej przyjazdem, że nie wiedzieli co mówić. Ojciec patrzył tępym wzrokiem, z bezradnie zwieszonymi ramionami, jak chłopci wnoszą meble babki, pudła z ubraniami, naczynia, dziesiątki różnych przedmiotów, które pamiętałem z dworu w Rogach. Ja czekałem kiedy wbiegną moje ulubione psy, Wyga i Piekło, spoglądając na ojca odnosiłem wrażenie, że dzisiaj pogodziłby się nawet z psami w mieszkaniu, ale chłopci wnieśli ostatnie pakunki i psów nie było. Miałem żal do babki, nawiozła tyle rzeczy, a nie zabrała tego, na czym mnie najbardziej zależało. Ojciec, którego zawsze widziałem panującego nad różnymi sytuacjami i nigdy nie zapominającego języka w gębie, teraz patrzył jak zahipnotyzowany na zajmujący każde wolne miejsca w mieszkaniu dobytek babki. Po zniknięciu drzwi na klatkę schodową trudno było w ogóle poruszać się. Chłopci mnie i ojca zastawili meblami w pokoju, tak, że nim dostaliśmy się do kuchni, gdzie panował podniecony głos babki, długo kluczyliśmy i zderzaliśmy się z sobą. Ojciec bez przerwy patrzył na babkę jak na jakąś zjawę, nie odzywając się przy tym, aż matka, sama nie mniej tym wszystkim zaskoczona, huknęła na niego, żeby nie stał niby cieleń tylko poczęstował gości wódką, matka miała na myśli chłopów, którzy przyjechali wraz z babką. Ojciec posłusznie wyszedł z kuchni i, z moją pomocą, próbował dostać się do szafki z koniakami, lecz szafka zastawiona była ciężkim kredensem babki, nie mieliśmy siły przesunąć go. Dopiero przyszedł jeden z chłopów, Bargiel i przesunął kredens. Ojciec wyjął koniaki, od razu wszystkie butelki jakie były, i wówczas zauważył, że jesteśmy, wraz z chłopem, uwięzieni pomiędzy kredensem, szafką a oknem, i ja się przestraszyłem, gdyż w pewnym momencie ojciec jakoś tak tęsknie spojrział w okno, jakby nim chciał wyjść z domu. Na szczęście Bargiel zaraz z powrotem przesunął kredens i zrobiło się wyjście, ale z kolei ojciec przypomniał sobie, że w tej samej szafce co koniaki znajdują się kieliszki. Bargiel machnął rękę i powiedział, że jeśli o nich się rozchodzi to im są niepotrzebne kieliszki. To pić na zdrowie, rzekł ojciec, pokazując na stojące na podłodze butelki koniaku, po czym wziął jedną z nich, odkręcił i przystawiając szyjkę do ust wypił za jednym razem pół butelki, widziałem jak mu grdyka przesuwawała się do góry i na dół. Ucieszyłem się, że ojciec wypił koniak, bo zawsze po wypiciu miał lepszy humor, a ja już domyślałem się, że w tej chwili, w związku z przyjazdem babki, dobre samopoczucie jest mu najbardziej potrzebne, choć wątpiłem czy pół butelki wystarczy. Okazało się, że była to wystarczająca ilość koniaku, żeby ojciec mógł podjąć decyzję o natychmiastowym wyjściu do pracy. Gdy łomotnął drzwiami na korytarz, uspokoiłem się i poszedłem do kuchni, aby wreszcie wywieść się, dlaczego babka zmieniła swoje plany i bez żadnego uprzedzenia przyjechała do nas. podejrzewałem, że coś złego wydarzyło się w Rogach, spalił się dwór lub

coś podobnego, lecz babce tylko przyśnił się dziadek, nakazując jej jechać do córki, a że przyjechała bez uprzedzenia, to wyłącznie dlatego, żeby nam sprawić miłą niespodziankę i jeszcze powiedziała: niech i ja na starość zobaczę jak to żyje się w mieście. Babka była dumna z tego, że sama przyjechała do nas, ale już się niepokoiła jak na Wszystkich Świętych pojedzie na cmentarz do Obrazowa. Siedziała w swym wiklinowym fotelu i zdawała się nie dostrzegać, że całe mieszkanie zostało przywalone jej rzeczami, nie widziała napiętej twarzy matki, ani domyślała się moich pretensji, że nie zabrała psów, nie zwracała uwagi na dobiegającą z pokoju coraz głośniejszą i kłótliwszą rozmowę chłopów, czuła się jak u siebie w domu.

Na drugi dzień też nie poszedłem do szkoły, gdyż nie można było znaleźć tornistra z podręcznikami. Ojciec, zabierając pędzel i maszynkę do golenia, wyszedł do pracy o wiele wcześniej niż zwykle. Matka miała podkrążone oczy, nie znosiła chrapania, a chłopci, którzy z braku miejsca spali na siedząco na podłodze, zresztą usnęli już po południu, upici koniakami, chrapali głośno jeden przez drugiego. Po śniadaniu, które zjadłem na stojąco, gdyż przy stole w kuchni ledwo starczyło miejsca dla matki i babki, matka wysłała mnie do Komitetu do ojca ze słoikiem marynowanej papryki, bardzo ją lubił. Gdy wszedłem do ojca gabinetu, spojrzał na mnie znad biurka i zapytał z nadzieją: odjechała? Powiedziałem, co babka wyjawiała podczas śniadania, że ona nie ma już dokąd odjechać, gdyż dwór w Rogach oddała na mieszkanie dla nowego dyrektora Pegieeru. To by się dało jeszcze odwrócić, rzekł ojciec, gdyby tylko chciała...

Tydzień czekał ojciec, mając nadzieję, że babce nie spodoba się w mieście. Chłopi wprawdzie już odjechali, ale ojciec gotów był w razie potrzeby wynająć ciężarówkę. Przez ten tydzień ojciec wychodził do pracy o świcie i wracał późno w nocy, aż babka dziwiła się, że tyle czasu pracuje. Wszystkie rzeczy babki stały na tych samych miejscach, co pierwszego dnia po przywiezieniu, pomiędzy nimi utworzyły się ścieżki, którymi już z łatwością chodziliśmy, ale gdy trzeba było wyjąć z szafy czyste poszewki albo ubrania, matka wołała dozorcę i on przesuwiał meble. Matka wyszła z babką kilka razy do miasta i babce bardzo spodobało się miasto. Wy tu sobie żyjecie jak u Pana Boga za piecem, mówiła z podziwem, wystarczy tylko wyjść z domu parę metrów w tę albo tamtą stronę i można kupić co się chce. No i babka nie żałowała pieniędzy, prawie do każdego mijanego sklepu wchodziła i w każdym coś kupowała, mnie, kiedy usłyszała, że zginął, kupiła nowy tornister i pudełko kredek, matce materiały na sukienki, ojcu kapelusz, podobny do tego w jakim chodził dziadek, sobie babka kupiła płaszcz i buty, a nie wiadomo komu i po co dziesiątki mniejszych i większych rzeczy, poczynając od tasiemek a na ogromnej patelni kończąc.

Po tygodniu od przyjazdu babki ojciec, nieoczekiwanie, nie poszedł do pracy. Ja i matka zrozumieliśmy wówczas, że podjął jakąś decyzję. Babka była zaskoczona, widząc, że ojciec wraz z nią zasiada do śniadania, a wciąż było miejsce tylko na dwa krzesła przy stole. Od razu przystąpił do sprawy: jeżeli matka chce zostać u nas, trzeba sprzedać wszystkie te graty, nie możemy mieszkać jak w rekwizytorni teatru.

To zrozumią, odrzekła babka, dlatego przywiozłam nasze meble, te nowoczesne to się do niczego nie nadają. Ojciec zachłysnął się herbatą, aż matka musiała go w plecy kilka razy uderzyć. Na tej waszej kanapie, mówiła dalej babka, to w ogóle spać się nie da, co łóżko to łóżko, sami dobrze wiecie, że na sienniku i pod pierzyną śpi się najlepiej. Ojciec całą kromkę władował sobie do ust, przez chwilę wyglądał jak nadęta ropucha. Albo kredens, babka nie przestawała mówić, kto widział, żeby zamiast kredensu wisiały w kuchni takie szafki, w kuchni musi stać kredens.

Ojciec przełknął ostatni kęs i już nie do babki, ale do matki powiedział, że za godzinę będzie tutaj Mączka ze swoimi ludźmi i wszystko zabierze. Pan Mączka miał sklep z różnymi towarami na rogu naszej ulicy, handlował wszystkim, w mieście powiadano, że jak czegoś nie ma u Mączki, to nie ma nigdzie. Po tym oświadczeniu ojciec wyszedł z mieszkania. Gdy za chwilę ja szedłem do szkoły, ojciec stał na ulicy i palił papierosa, a mnie nawet nie zauważył.

W szkole nie mogłem o niczym innym myśleć, tylko o tym, co dzieje się w domu. Znałem ojca i znałem babkę, oboje byli jednakowo uparci. Wyobrażałem sobie na przemian to ojca rozbijającego siekierą meble babki, to babkę z siekierą w ręku rąbiącą nasze meble. Żał mi było matki, która jednocześnie musiała stać i po stronie babki, i po stronie ojca. W tym wszystkim nie brałem w rachubę talentów pana Mączki, który uprzedzony przez ojca jakiego rodzaju kłopoty mogą nastąpić przy wynoszeniu mebli, poprosił aby całą sprawę jemu zostawić, a on już załatwi jak potrzeba. Mączka wszedł do mieszkania i zaskakując mojego ojca, matkę i babkę, którzy szykowali się na coś innego, kazał swoim ludziom wynosić nasze meble. Ojciec zaraz go powstrzymał, pokazując, jakie meble ma wynosić, na co Mączka z obrażoną miną odrzekł, że miał ojca za przyzwoitego obywatela, który poważnym kupcom nie zabiera czasu na znoszenie drewna na opał, że takich mebli, jakie się mu tutaj proponuje, nie kupi nie tylko on, ale nikt w mieście, chyba że, jak wcześniej zaznaczył, jako drewno na opał. Wówczas babka zrozumiała, że jednak w mieście mebluje się inaczej niż na wsi i że matka miała rację tłumacząc jej to samo, lecz urażona, że ktoś śmie tak bezceremonialnie przyrównywać jej meble do drewna na opał, powiedziała panu Mączce, że te meble stały przez sto lat w najporządniejszych dworach i lepiej służyły ludziom niż te nowoczesne dyrdymałki, na których strach postawić cięższy garnek. Mączka lekceważąco machnął dłonią,

odpowiadając, że sto lat temu może to były dobre meble, lecz sto lat już minęło...

Skończyło się na tym, że pan Mączka z wielką łaską, wyjątkowo nie żądając jeszcze zapłaty, zgodził się wynieść z mieszkania meble babki. Dopiero na ulicy, kiedy żegnał się z ojcem, wyciągnął z kieszeni plik banknotów i powiedział: panie, ja jestem uczciwy kupiec, sam ten stary kredens z marmurowym blatem wart jest dużych pieniędzy. Ojciec z wahaniem wziął pieniądze od Mączki, nie wiedząc czy tyle rzeczywiście warte były meble, czy to raczej łapówka na przyszłość, gdyby kontrola w sklepie Mączki znowu wykazała, że nie wszystko jest w porządku, jak to już było choćby ze skwarkami, najlepszym smalcem w mieście, a który po zbadaniu okazał się psim smalcem. W mieszkaniu po wyniesieniu mebli zrobiło się tak przestronne i jasno, że nawet babka stwierdziła: macie rację, tak jest o wiele lepiej.

Tylko że mnie nie było lepiej, gdyż musiałem pokój, który dotąd miałem wyłącznie dla siebie, dzielić z babką. Ona od razu zaprowadziła swój porządek. Pierwsze co zrobiła, to przybiła krzyż na ścianie i powiesiła obrazy Matki Boskiej i Chrystusa z dwunastoma apostołami przy wieczerzy. Ojciec, gdy to ujrzał, z rozpaczy aż przeżegnał się. Potem powiedział matce, że trzeba dorobić klucz do mojego i babki pokoju, bo jakby tak ktoś z Komitetu zobaczył krzyż i obrazy...

W niedzielę babkę zadziwiło, że matka i ja, bo co do ojca to już dawno wiedziała, iż nie chodzi do kościoła, nie wybieramy się na mszę świętą. W Rogach, podczas wakacji, każdej niedzieli jeździliśmy bryczką do kościoła w Obrazowie, ale ja to traktowałem przede wszystkim jako wizytę u księdza proboszcza, gdyż po mszy zapraszał nas do siebie na plebanię i gościł obiadem, tutaj, w mieście, nie znaleźmy żadnego księdza i nie rozumiałem po co mielibyśmy iść do kościoła. Matka powiedziała babce, że ze względu na ojca nie chodzi do kościoła, bo u niego w pracy takie coś jest niezbyt dobrze widziane, a właściwie to zabronione. Babka spojrzała z wyrzutem na matkę, mówiąc: wychodząc za bezbożnika mogłam się spodziewać, że i ty staniesz się bezbożną komunistką, ale nie masz prawa syna skazywać na piekło. „Nasze dziecko wychowujemy bez zabobonów, ze złością wtrącił ojciec. Babka poszła sama do kościoła. Wróciła po kilku godzinach dziwnie uradowana i wyczułem, że ta dziwna radość ma jakiś związek ze mną, ale dopiero późnym wieczorem, gdy zostaliśmy sami w pokoju, ja i babka, dowiedziałem się co to jest. Babka szeptem zapytała, czy nie chciałbym pójść do pierwszej komunii świętej? Odrzekłem, że nie, bo jestem na to za duży, koledzy z klasy już dwa lata temu byli u pierwszej komunii. Babka się rozzłościła i powiedziała, że lepiej jak teraz pójść do pierwszej komunii świętej, niż miałbym to zrobić będąc dorosłym, pod wąsem, że ona już wszystko obgadała z księdzem, który będzie mnie przygotowywał do komunii, a z matką ona sama porozmawia. Następnie babka, chcąc się

wywieść jak jestem zorientowany w religii, zapytała czy mam w ogóle pojęcie skąd wziął się człowiek. Akurat to wiedziałem, gdyż ostatnio przerabialiśmy teorię ewolucji w szkole, a i ojciec mi tłumaczył, więc powiedziałem babce, że naszym praprzodkiem była małpa. Jaka małpa? – babka spojrzała na mnie zdumiona. No, zwykła, odrzekłem, co wpierw chodziła po drzewach, później zesłała na ziemię i zaczęła używać różnych narzędzi... Boże, Boże, babka złożyła dłonie jak do modlitwy, ale tu z ciebie głupka zrobili.

Matka przystała na plan babki i po niedługim czasie, w tajemnicy przed ojcem, zacząłem chodzić na naukę religii do stolarni Orzechowskiego, gdzie zawsze czekał na mnie ksiądz Józef. Był bez sutanny, w normalnej marynarce jak wszyscy ludzie i z początku trudno mi sobie było wyobrazić, że to ksiądz, aż poszedłem do kościoła i tam dopiero, widząc księdza Józefa odprawiającego mszę, nabrałem pewności, że to prawdziwy ksiądz. Stolarz i ksiądz byli dobrze zaprzyjaźnieni, czasami zamieniali się rolami i ksiądz Józef strugał deski, a Orzechowski przepytывał mnie z dziesięciu przykazań i opowiadał o Jezusie Chrystusie.

Nadszedł maj, niedziela, u tego samego stolarza babka przebrała mnie w granatowe ubranie z białą wstążką przy klapie, do ręki wcisnęła dużą świecę oblepioną aniołami ze złota i poszedłem do kościoła do pierwszej komunii świętej. Później wszystko działo się tak prędko jak we śnie, że nawet niezbyt dobrze pamiętam. W poniedziałek, następnego dnia po mojej komunii, ojciec przyszedł z pracy w południe, co mu się nigdy nie zdarzało i bez słowa położył w kuchni na stole kilka zdjęć, na których byłem ja w granatowym ubraniu i ze świecą w ręku. Wszystkie zdjęcia robione były w kościele i przed kościołem, w czasie procesji. Ojciec nie wrócił do Komitetu, tylko zamknął się w pokoju jadalnym i pił koniak. Wieczorem, lekko zataczając się, przyszedł do kuchni i powiedział matce, że został przeniesiony do pracy w innym mieście, ale może to i dobrze, dodał po namyśle, gdyż w to pochodzenie od małpy to on tak naprawdę nigdy nie wierzył.

W MIASTECZKU NAD WISŁĄ

Ja najbardziej czułem się winnym tego, że musieliśmy wyjechać z dużego, wojewódzkiego miasta, gdzie ojciec pracował w Komitecie partii, takim dużym budynku z dwiema wysokimi kolumnami, najważniejszym budynku w mieście, do którego nie można było wejść bez specjalnej przepustki. Ojca i ludzi z Komitetu bali się sklepikarze, nauczyciele, szewcy, hycel, lekarze, no, chyba wszyscy w mieście i znając tę władzę ludzi, którzy pracowali w budynku z dwoma wysokimi kolumnami, nigdy by mi do głowy nie przyszło, że z kolei oni, ci z Komitetu, mogą bać się kogoś takiego jak ja i tylko dlatego, że przystąpiłem w kościele do pierwszej komunii świętej. Cóż ja mogłem im złego zrobić? W czym zagrozić, że teraz chcą, abym wyjechał z miasta? Czy opłatek, położony przez księdza na języku, przydawał mi jakiejś nadzwyczajnej mocy? Skoro nawet nie uchronił mnie od wywrócenia się na schodach gdy tamtej niedzieli wracałem z babką z kościoła, złamała się wówczas świeca oblepiona złotymi aniołami i babka uznała to za zły znak.

Następnego dnia, po tym jak przystąpiłem do pierwszej komunii świętej, to był poniedziałek, ojciec przyszedł z Komitetu ze zdjęciami, na których widać mnie było klęczącego w komunijnym ubraniu i rzucając zdjęcia na stół powiedział, że w najbliższych tygodniach czeka nas przymusowa przeprowadzka do małego miasteczka nad Wisłą. Babka od razu przypomniała sobie, że to wszystko przez tę świecę złamaną na schodach, na co ojciec odrzekł ze złością, bardzo podenerwowany, że to żadna świeca tylko babka doprowadziła do zniszczenia jego kariery, babka i matka, gdyż bez jego wiedzy wysłały mnie do komunii, inaczej wagon połamanych świec nic by mu nie zaszkodził. Po chwili dodał, że gdyby o komunii powiedzieli mu wcześniej, to wysłałby mnie do kościoła gdzieś na drugim końcu Polski i nikt by o tym nie wiedział, ale tak...

Odkąd ojciec przyniósł zdjęcia i równocześnie wiadomość, że z powodu mojej pierwszej komunii świętej został przeniesiony do pracy w innym mieście, bez przerwy zastanawiałem się, co takiego złego widzą ludzie z Komitetu w tym, że ksiądz położył mi na język biały

opłatek. I doszedłem do wniosku, chociaż ksiądz Józef i stolarz Orzechowski nic takiego nie mówili, że w opłatku musi tkwić jakaś tajemnica, coś w rodzaju zaraźliwej choroby, którą człowiek nieświadomie przenosi na innych ludzi, na przykład uzmysławiając im, że nie są potomkami małpy, tylko zostali z prochu stworzeni przez Boga. Już samo odezwanie się ojca, w ten poniedziałek: kiedy przyniósł zdjęcia, że tak naprawdę, to on nigdy nie wierzył, aby jego praprapra był małpą, dało mi wiele do myślenia o skutkach działania białego, bez smaku, opłatka. Może rzeczywiście Chrystus, pod postacią tego opłatka wchodzi w człowieka i później w sobie tylko wiadomy sposób przekazuje, poprzez człowieka z opłatkami w środku to, co zostało napisane w Nowej Ewangelii? I dlatego ludzie z Komitetu, którzy nazywają siebie towarzyszami, obawiali się, abym ojca i po kolei ich samych nie zaraził tym, czego mnie nauczył ksiądz Józef, no bo jakby wyglądało, gdyby jakiś ważny towarzysz, dotąd uważający książy za darmozjadów i za tych, co tylko tumania ludzi gadaniem o cudach, nagle zaczął mówić z trybuny, że losy świata zależą nie od Stalina tylko Pana Boga, w ogóle od tego, co jest zapisane w Piśmie Świętym.

Tak czy owak, głównie z mojego powodu przeniesiono ojca do pracy w małym mieście nad Wisłą, gdzie, niedaleko, po lewej stronie rzeki, w Piasecznie, budowano odkrywkową kopalnię siarki, a po drugiej stronie rzeki stawiano ogromny kombinat, gdzie ruda siarkowa miała być przerabiana na czystą siarkę i kwas siarkowy. W gazetach pisali, że siarki i kwasu siarkowego będziemy mieć najwięcej na świecie.

Nie dawało mi spokoju, że to przede wszystkim ja przyczyniłem się do przeprowadzki do miasta, które znaleźliśmy jedynie z gazet jako przyszłą stolicę polskiej i światowej siarki. Ojciec miał tam zostać kierownikiem budowy Osiedla Awaryjnego dla tysięcy górników siarkowców. Gdybym posłuchał babki i matki, i zaraz po przyjęciu komunii wyszedł z kościoła bocznymi drzwiami, może nie byłoby tych fotografii? Ale mnie coś podkusiło i zapominając o przestrojach babki i matki, wyszedłem nie boczną, ale główną bramą, z zapaloną świecą w rękach i to na czele procesji pierwszokomunistów.

Ojciec z zawodu był ślusarzem, wyuczył się tego jeszcze przed wojną. Po wojnie wstąpił do partii, a że, jak mówiła matka, czytał dużo książek i na zebraniach potrafił długo mówić, z kilku słów zapisanych na paczce papierosów mógł ułożyć godzinne przemówienie, partia zaczęła go wysyłać na różne kursy dokształcające, najczęściej do Warszawy. Z tych kursów wracał coraz to bardziej elegancko ubrany, a za którymś razem przyjechał z dokumentem, w którym było napisane, że on, dotąd brygadzysta ślusarzy w Fabryce Wyrobów Metalowych, zostaje mianowany sekretarzem zakładowym partii. Jako sekretarz dostał w biurówcu osobny pokój z telefonem i dwoma ludźmi do pomocy i co kilka dni zwoływał zebrania na różnych

wydziałach Fabryki, przepowiadając podczas tych zebrań, że niedługo socjalizm ze Stalinem na czele opanuje cały świat, że robotnicy wszędzie staną się prawdziwymi właścicielami fabryk, a kapitaliści będą nam służyć jako babki klozetowe, że partie komunistyczne tworzą się już we wszystkich krajach i gdy one obejmą władzę, a do tego musi nieuchronnie dojść, na ziemi znikną granice pomiędzy państwami i polski robotnik będzie sobie bez żadnych utrudnień jeździł na urlop do Grecji czy Hiszpanii, a robotnik grecki i hiszpański do Polski.

W Fabryce Wyrobów Metalowych znajdowała się tacy, którym nie podobały się słowa ojca. Mówili, że na przykład kapitalistyczne Niemcy Zachodnie, choć przegrały wojnę, to jednak mają lepiej rozwiniętą gospodarkę, produkują lepsze auta, lepsze buty, budują porządniejsze domy, a w sklepach mają pomarańcze i banany i w ogóle dobrze zarabiają, tak, że już teraz mogą jeździć na urlop do Hiszpanii. W takich wypadkach ojciec raz i drugi odpowiadał, że Niemcy Zachodnie swój dobrobyt zawdzięczają dolarom z Ameryki, która podczas wojny, sprzedając broń na wszystkie strony, w perfidny sposób wzbogaciła się, ale to tylko kwestia czasu i socjalizm przegoni gospodarkę kapitalistyczną, bo taka jest nieuchronność historyczna, tak, jak przed kapitalizmem był feudalizm, przed socjalizmem musiał być kapitalizm, żeby następnie, po socjalizmie, powstał komunizm, już idealnie sprawiedliwy system społeczny, gdzie każdy ma wszystkiego ile dusza zapragnie.

Jeżeli jednak jakiś robotnik po raz trzeci z rzędu głośno powątpiewał, czy kiedykolwiek dogonimy Amerykę, bo przecież ci kowboje nie będą przez ten czas stać z założonymi rękami, ojciec dowiadywał się o nazwisko tego niedowiarka i kilka dni później okazywało się, że ten obrońca Ameryki był sabotażystą, albo szpiegiem amerykańskim, albo jednym i drugim naraz.

Po roku, odkąd ojciec został sekretarzem zakładowym w Fabryce Wyrobów Metalowych nikt już nie miał wątpliwości, a przynajmniej nie wyrażał ich głośno, że Ameryka zostanie dogoniona i przegoniona pod względem gospodarczym przez socjalistycznych robotników i to oni, ludzie socjalistycznej pracy, a nie Amerykanie, będą się z aparatami fotograficznymi rozjeżdżać po świecie autami i samolotami.

W Komitecie Wojewódzkim partii dostrzeżono aktywność i zdolności mojego ojca. Został wysłany na następne kursy w Warszawie, gdzie już musiał czytać grube księgi Stalina i Lenina, ale za to z tych kursów wracał w jeszcze ładniejszych garniturach i butach, choć zawsze w krawatach jednego i tego samego koloru, co matkę bardzo raziło, gdyż uważała, że nie do każdego garnituru pasuje czerwony krawat, no i po tych nowych kursach zaczął pracować w najważniejszym budynku w mieście, który z przodu miał dwie kolumny, a na dachu powiewała czerwona chorągiew.

Wówczas dostaliśmy nowe, trzypokojowe mieszkanie w przedwojennej kamienicy, z dębowym parkietem, który jednak nie był tak ładny, jak pomalowana na brązowo podłoga z desek we dworze u dziadka w Rogach. Matka była najbardziej zadowolona z dębowych parkietów. Dwa razy w tygodniu kazała służącej pastować parkiety i froterować je do połysku flanelowymi szmatami, obowiązkowo w sobotę rano, gdyż tego dnia, wieczorem, przychodzili znajomi ojca z pracy, żeby pograć w bridża i pić koniak, który matka kupowała w sklepie u pana Mączki, koniak gruziński z trzema gwiazdkami na ładnej, kolorowej etykietce.

W niedzielę odklejałem z pustych butelek etykiety i później zamieniałem się nimi na znaczki lub żołnierskie guziki. W klasie ładniejsze etykiety ode mnie miał tylko Wacek Siwiec, którego ojciec był właścicielem cegielni nad Wisłokiem, na jego etykietach pisało po francusku i namalowane były cztery gwiazdki. Raz się z Siwcem zamieniłem, dwie gruzińskie etykiety na jedną francuską i pokazałem ją ojcu, prosząc, żeby kupował butelki z takimi ładnymi etykietami. Gdy ojciec zapytał, skąd to imam, odrzekłem, że od Wacka Siwca, nie domyślając się nawet ile to Wacka może kosztować. Gdzieś po tygodniu od tej mojej rozmowy z ojcem o etykietach, Wacek pokazał mi tyłek cały w czerwonych pręgach od uderzeń pasem i powiedział, że dostał bicie od swojego ojca za to, że dał mi etykietę z francuskiego koniaku. Nie rozumiałem co ma jedno do drugiego, na mnie ojciec nigdy nawet nie nakrzyczał, że wynoszę etykiety z domu, przecież to zwykły papier, tylko ładnie pomalowany, gdyby miał jeszcze ząbki to wyglądałby całkiem jak duży znaczek, ale Wacek mi wyjaśnił, że ta francuska etykieta, którą mi dał za dwie gruzińskie, kosztowała Jego starego kupę pieniędzy, gdyż musiał zapłacić podatek od wzbogacenia się. Tego też nie rozumiałem.

Z miesiąca na miesiąc na błyszczących parkietach pojawiało się coraz więcej nowych mebli, też błyszczących, w połowie ze ściankami ze szkła, do swojego pokoju ojciec kupił biurko z sześcioma szufladami po bokach i jedną w środku i w tej szufladzie w środku trzymał pistolet z nabojami, sam nie wiem po co, gdyż nigdy nie widziałem, aby ojciec wyjmował pistolet z szuflady.

Po obejrzeniu filmu o kowbojach, którzy podczas gry w karty zaczęli nagle strzelać do siebie, pomyślałem, że ojciec trzyma pistolet na wypadek, gdyby doszło do jakiegoś oszustwa podczas cosobotnich gier w bridża. Tylko, że u nas nie grali w karty o pieniądze, coś tam zapisywali na kartce, którą ojciec jeszcze tej samej nocy wyrzucał do kosza. Więc mieliby się strzelać o tę kartkę?

Któregoś lata, kilka dni przed planowanym wyjazdem do Rogów, matka powiesiła na

ścianie największego pokoju dwa obrazy w złożonych ramach. Przyglądając się obrazom, czy ramom, stwierdziła, że mieszkanie jest już przyzwoicie urządzone i postanowiła zaprosić do domu swego ojca i matkę, czyli mojego dziadka i babkę i później razem z nimi pojechać do Rogów.

Dziadek i babka nigdy nie chcieli nas odwiedzić, a jeszcze wcześniej, dużo, dużo wcześniej, nie zgadzali się, aby ich córka wyszła za mąż za człowieka bez wykształcenia, ślusarza, i to w dodatku chodzącego w czerwonym krawacie, tym bardziej, iż mieli dla niej upatrzonego na męża syna dyrektora gimnazjum w Sandomierzu. Więc teraz matka chciała pokazać rodzicom swe mieszkanie i, przede wszystkim, to, jak ważną osobą w mieście stał się jej mąż. Przedtem już kilka razy wysyłała do Rogów wycinki gazet z przemówieniami ojca i jego zdjęciami, najczęściej jak stał przy mównicy pod portretem Stalina.

Na ten ostatni list, z zaproszeniem, dziadek odpisał jednym zdaniem: „moja noga nigdy nie stanie w domu czerwonego”. Zdążyłem przeczytać te słowa, gdyż matka długo siedziała nad otwartym listem i płakała. Nie pokazała go ojcu, spaliła. Właściwie to ja nie wiedziałem, dlaczego dziadek tak bardzo nie znosi czerwonych, tak nazywał tych ludzi, którzy pracowali w Komitetach partii. Czy dlatego, że w przeciwieństwie do niego mogą legalnie posiadać broń? Ale przecież dziadek chodził po lesie ze strzelbą i nikt mu nic nie mówił, choć wiedzieli o tym nawet milicjanci z posterunku w Obrazowie. Że czerwoni chcą zabrać chłopom ziemię i wszędzie utworzyć pegieery? W końcu sam dziadek był dyrektorem Pegieeru. Że zabrali prywatnym ludziom fabryki a przerobili je na państwowe? To akurat spodobało się wszystkim robotnikom. Że klasztory zamieniają w więzienia? Jeżeli jest dużo bandziorów, trzeba gdzieś znaleźć dla nich miejsce, z którego trudno uciec, a klasztory najlepiej nadawały się na więzienia. Naprawdę nie wiedziałem co dziadkowi się nie podoba, że tak nie lubi tych komitetowych ludzi.

Wszystkim, których poznałem, odkąd ojciec zaczął pracować w Komitecie Wojewódzkim, powodziło się coraz lepiej. Mieli duże mieszkania, ładne meble, niektórzy nawet samochody, co roku wyjeżdżali na urlop w góry, albo nad morze do nowych i ładnych domów wczasowych i to za darmo. Dziadek i babka też mogliby pojechać do któregoś z wygodnych domów wczasowych, ojciec ich co roku na to namawiał, ale nie chcieli. Pojadę, powiedział raz dziadek, jeśli wszyscy chłopci z mojej wsi też będą mogli pojechać.

Tak, nie rozumiałem dziadka, ale wyczuwałem, że on i ojciec żyją jakby w całkiem odmiennych światach i że granica pomiędzy ich światami utworzyła się w jakiś czas po zakończeniu wojny, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. Najgorsze było dla mnie, że, nie rozumiejąc, bardziej ufalem dziadkowi aniżeli ojcu, że to jednak dziadek ma rację, nie lubiąc

czzerwonych, gdyż, sądziłem, zna tajemnicę, o której ja jeszcze nie wiem. Nie przypuszczałem, że w niedługim czasie będę znał tajemnicę ich wrogości, choć tak w zupełności zrozumiałem to wszystko wiele lat później, gdy na moim języku rozpuścił się biały komuniyjny opłatek.

Po przełknięciu opłatka pierwszej komunii świętej w naszej rodzinie wszystko zaczęło się źle dziać. Pierwsze, to nakaz przeprowadzki do innego miasta. W domu zrobiło się cicho jak nigdy, matka w ogóle przestała słuchać muzyki z radia, a babka głośno się modlić, znajomi nas nie odwiedzali, nawet w sobotę na bridża nikt nie przychodził, pan Mączak JUŻ nie sprzedawał matce chleba bez kolejki, dzielnicowy przechodził obok ojca jakby go nigdy w życiu nie widział, w szkole, po raz pierwszy, dostałem kilka trój i dwój pod rząd. Coraz bardziej pusto robiło się wokół nas, jak gdybyśmy z dnia na dzień stawali się coraz mniej widzialni. Jedynie ojciec Wacka Siwca nie zapomniał o nas i przysłał ojcu, przez Wacka, dwie butelki francuskiego koniaku, tego z czterema gwiazdkami na etykiecie. Ojciec poczerwieniał na widok koniaków przyniesionych przez Wacka i w pierwszej chwili zrobił ruch, jakby chciał rozbić butelki, ale rozmyślił się i tego nie zrobił, tylko wyjął z kredensu cztery gruzińskie koniaki, włożył je do pudełka po butach i powiedział Wackowi: mech pan Siwiec wypije na zdrowie. A mnie po wyjściu Wacka zapytał, krzywo uśmiechając się, że chyba się nie pomylił wymieniając cztery gruzińskie etykiety na dwie francuskie. Odrzekłem, że nie, że prawidłowo zrobił.

Nie chciałem jechać do miasteczka nad Wisłą, gdzie budowano kopalnię siarki i kombinat i gdzie ojciec miał zostać kierownikiem budowy Awaryjnego Osiedla Mieszkaniowego dla pierwszych pracowników Kombinatu Siarkowego. Ojciec nie wiedział co to jest Awaryjne Osiedle, w ogóle nie miał pojęcia o budowaniu czegokolwiek, ale zgodził się zostać kierownikiem budowy osiedla, żeby odmową przyjęcia tego stanowiska nie robić jeszcze większego zamieszania wokół swej osoby.

Nie chciałem tam jechać, lecz z drugiej strony bałem się, że jeśli pozostaniemy w mieście z budynkiem z dwiema wysokimi kolumnami, w którym ojciec już jednak nie będzie pracował, to niedługo staniemy się całkiem niewidzialni i może dojść do tego, że sprzedawcy przestaną zauważać matkę w kolejkach i nawet chleba nie będzie mogła kupić. Tymczasem ojciec był na urlopie i czekał na wiadomość z miasteczka nad Wisłą o ukończeniu budowy pierwszego bloku na Osiedlu Awaryjnym, w którym to bloku mieliśmy zamieszkać wraz z innymi budowniczymi całego osiedla.

Ojciec, co mnie zaskoczyło, poza tym jednym razem w poniedziałek, kiedy przyniósł zdjęcia z mojej komunii świętej, nigdy więcej nie wymówił babce i matce, że w tajemnicy

przed nim posyłały mnie na naukę religii i później wyszykowały do pierwszej komunii świętej. Odnosiłem wrażenie, że pogodził się z tym jak z czymś, co nieuchronni musiało nastąpić. Czasami oglądał obrazek w brązowej ramce – Pamiątkę Pierwszej Komunii Świętej i jak gdyby był zadowolony, że stało się tak, jak się stało. Matka też to wszystko dostrzegła i usłyszałem, jak powiedziała z niepokojem do babki, żeby tylko ojciec nie zrobił jakiegoś głupstwa.

Pod koniec urlopu ojca zadzwonił ktoś z Komitetu, żeby powiedzieć, że nowa posada dla ojca i dla nas wszystkich nowe mieszkanie w miasteczku nad Wisłą jest już gotowe, możemy jechać. Kilka dni później, załadowawszy meble do ciężarówka przykrytej brezentem, opuściliśmy miasto, w którym się urodziłem i w którym, myślałem, będę jak ojciec pracował w najważniejszym budynku w mieście. Babka z matką jechały w szoferce, ja i ojciec, wciśnięci pomiędzy meble, siedzieliśmy z tyłu, na skrzyni.

W nowej kamienicy, która tutaj nazywała się blokiem i ta nazwa całkiem pasowała do tego domu, zamieszkaliśmy na drugim piętrze z balkonem. Zamiast parkietu były płyty pecewu, niebieskie, które po kilku dniach zaczęły się odklejać i co chwila potykaliśmy się o nie. Ustęp był tak mały, że na sedesie nie dało się inaczej siedzieć niż na baczność, gdyż drzwi znajdowały się tuż przed nosem. Za to w łazience stała duża wanna, w której mogło się pomieścić trzech takich chłopaków jak ja. Z balkonu rozciągał się widok na stary, ogromny sad na skarpie wiślanej, w oddali widać było szeroki zakręt Wisły. Sad należał dawniej do hrabiego Tarnowskiego, ale został, mu odebrany i teraz na terenie tego sadu miało stanąć Osiedle Awaryjne. Tak nas poinformował mieszkający piętro niżej majster budowlany Karkoszka, ale i on nie wiedział co znaczy „awaryjne” osiedle mieszkaniowe.

Ojciec dziwił się, że taki piękny i duży sad pójdzie na zmarnowanie, że przecież pod budowę osiedla można wybrać inne miejsce, dokoła miasteczka jest pełno wolnej ziemi. Powiedział o tym na pierwszym zebraniu w miejscowym, powiatowym Komitecie partii. Towarzyszu, usłyszał z naganą w odpowiedzi, przecież to wy kiedyś napisaliście w gazecie, chociaż chodziło wtedy o coś innego, że niszcząc sad nie chcemy niszczyć sadu jako takiego, tylko przeżytki dawnego ustroju i nie chcemy, żeby ten sad kojarzył się ludziom z hrabiami Tarnowskimi, zbudujemy nowe sady, jeszcze piękniejsze, a te przeżytki tkwią w nas, ludziach... Ojciec zrozumiał, że te ostatnie, niedokończone zdanie, ma związek z tym, co spowodowało naszą przeprowadzkę do „stolicy” polskiej siarki, czyli moją pierwszą komunię świętą.

Na początku lata, gdy na drzewach w sadzie widać już było małe, ale jeszcze zielone jabłka, do sadu wjechały dwa ciężkie buldożery i zwały jabłonie jedna za drugą. Na skraj

hrabiowskiego sadu zeszło się z miasta kilka setek ludzi. Patrzyli jak drzewa z jękiem bólu, jedne łamane w połowie, drugie wyrywane z korzeniami, zaścielają trawę niby ogromne, znieruchomiałe pająki.

Jesienią skarpa wiślana przemieniła się w zrytą łąkę bez jednego drzewa, a wczesną wiosną, gdy stopniał śnieg, w ogromny plac budowy. Wpierw kopano rowy pod rury kanalizacyjne, które biegły do Wisły, później koparkami głębokie doły pod fundamenty bloków, szkół, przedszkoli, sklepów, domu kultury. Drewnianymi, wbitymi w ziemię kołkami wytyczano ulice i ronda.

Ojciec chodził z mapą po budowie i tylko sprawdzał, czy w miejscu, gdzie ma stać przedszkole, rzeczywiście buduje się przedszkole, a nie na przykład domu kultury, bo już raz pomyłono się i na miejscu wyznaczonym na sklep postawiono fundamenty pod szkołę podstawową i trzeba było rysować nową mapę osiedla. Więc ojciec chodził i sprawdzał czy wszystko buduje się zgodnie z planem i to właściwie była cała jego praca, gdyż w rzeczywistości całą budową Osiedla Awaryjnego kierował nasz sąsiad z dołu, majster Karkoszka, którego ojciec mianował swym zastępcą.

Osiem czteropiętrowych bloków, wszystkie z centralnym ogrzewaniem i gazem, wybudowano w ciągu półtora roku, pół roku wcześniej niż to było zaplanowane, za co ojciec dostał jakiś ważny order i jednocześnie został wybrany do egzekutywy Komitetu Powiatowego. Z powrotem, jak w poprzednim. mieście, zaczynał być ważną osobą. Nikt już nie śmiał choćby najbardziej delikatnie przypomnieć, że dopuścił, aby jego syn poszedł do pierwszej komunii świętej.

W mieszkaniu, za namową matki i z pomocą niezastąpionego majstra Karkoszki, wymieniliśmy płyty pecewu na parkiet, co prawda już nie dębowy tylko sosnowy, ale i tak matka była bardzo zadowolona. Na osiedlu jedynie kilka mieszkań miało parkiety.

W kilka miesięcy po zbudowaniu ósmego bloku, wszyscy, i budowniczy i mieszkańcy, zrozumieli dlaczego osiedle nazywa się Awaryjne. Nagle zaczęły pękać rury z wodą, dachy przeciekać, kilka mieszkań zostało zalanych fekaliami, a w jednym wybuchł gaz z powodu nieszczelnych połączeń przewodów. Nie było tygodnia, żeby w którymś z bloków nie zgasły światła, gdyż stacja transformatorowa okazała się za słaba. Tyle było do naprawiania, że aż ojciec musiał zorganizować specjalną, kilkunastoosobową brygadę awaryjną, która miała dyżury dzień i noc. A roboty...

W końcu doszło do tego, że Komitet Powiatowy, żeby Osiedle Awaryjne nie kojarzyło się jego mieszkańcom wyłącznie z awariami, zmienił nazwę osiedla na Osiedle Tysiąclecia, jako iż ustalono, że ostatni blok na tym osiedlu zostanie wybudowany w tysiąc dziewięćset

sześćdziesiątym szóstym.

Kolejnej zimy, kiedy już stało kilkanaście bloków, zepsuły się kotły w osiedlowej kotłowni i nim je naprawiono, ludzie przez dwa tygodnie marzli w mieszkaniach. Nad tym ostatnim wypadkiem mię dało się już przejść do porządku dziennego i udawać, że nic się nie dzieje, gdyż rozsierdzeni lokatorzy skarżyli się na kierownictwo Osiedla Tysiąclecia gdzie tylko mogli, nachodzili Komitet, pisali listy ze skargami do gazet, radia i telewizji, choć jeszcze wtedy mało kto miał telewizor. Aż z tego wszystkiego z województwa przyszło polecenie, żeby surowo ukarać winnych awarii kotłowni i ich nazwiska podać do publicznej wiadomości, czyli do gazet najlepiej.

Ojciec powiedział do matki, że gdyby to się stało parę lat wcześniej, to już chyba z bliska oglądałby tajgę. Ale to już były inne czasy, Stalin nie żył, choć wszyscy myśleli, iż jest nieśmiertelny, Bierut też nie żył, ale o nim to właściwie mało kto myślał, umarł i koniec, jakby go nigdy nie było. Na miejsce Bieruta przyszedł Gomułka i już wszystkiego nie udawało utrzymać się w tajemnicy. Matka bała się, że ojciec, jako kierownik budowy osiedla, stanie się pierwszą ofiarą i z wielkim, hukiem zleci ze swego stanowiska, obarczony odpowiedzialnością za błędy podczas budowy osiedla. Lecz ojciec śmiał się z obaw matki, mówiąc, że za budowę osiedla dostał za dużo orderów i za dużo, w związku z tą budową, pisano o nim w gazetach, żeby nagle jego uczynić głównym winowajcą. Partia, dodał ojciec śmiejąc się, może się czasem mylić, ale nie aż tak bardzo.

Gdy ojciec, gadając o partii, zaśmiał się, uprzytomniłem sobie, że ojciec w ostatnim czasie, po śmierci Stalina i Bieruta, wyraźnie zmienił się. Jeśli chodziło o partię, to już ona nie była dla niego taką świętością jak wcześniej. Któregoś dnia nawet nieoczekiwanie zapytał babkę, dlaczego przestała chodzić do kościoła i w jego głosie wyczułem coś jakby pretensję do babki, że nie chodzi, jak dawniej, na msze. Babka, zaskoczona pytaniem ojca, odrzekła, że za kościół już raz ojcu dostało się i ona nie chce robić mu więcej przykrości, ale za to modli się do Matki Boskiej kilkanaście razy dziennie. I ojciec powiedział: to niech się matka modli w kościele, nikomu nic do tego! Ja i matka, już nie mówiąc o babce, słuchaliśmy tego z osłupieniem. Spostrzegłem też, że ojciec z coraz większą niechęcią chodzi na zebrania partyjne i, sądząc z tego co opowiadał matce, prawie w ogóle przestał przemawiać na zebraniach. Z tych zebrań wracał zgorzkniały albo rozbawiony, a raz musiało go jakieś zebranie mocno zdenerwować, gdyż powiedział, że niedługo to wszystko pieprznie jak bomba atomowa. Później z matką cicho rozmawiali w sypialni.

Co do odpowiedzialności za wybudowanie osiedla mieszkaniowego z wieloma poważnymi usterkami, których naprawianie kosztuje miliony złotych, ojciec miał rację. Nikt tej sprawy

nie łączył z nazwiskiem ojca, ale zaskoczyło go, gdy przeczytał w „Nowinach” i „Trybunie Ludu”, że oprócz kilku wymienionych nazwisk inżynierów i majstrów, wśród których znajdował się nasz sąsiad Karkoszka, największa odpowiedzialność za zaniedbania podczas budowy ciąży na Żydach, gdyż cement używany do budowy osiedla pochodził z cementowni, której cała dyrekcja składała się z Żydów, handlujących na lewo wagonami cementu dobrej jakości, a na budowę osiedla wysyłali jak najgorszy cement. Tylko nazwisk tych Żydów nie wydrukowano w gazecie i to ojca bardzo zastanowiło, to znaczy rozważał, czy to co napisano o Żydach jest prawdą.

Ja wtedy po raz pierwszy usłyszałem o Żydach, w ogóle nie wiedziałem kim oni są. Dopiero ojciec mi o nich opowiedział i stwierdził na końcu, że to naród, który od wieków jest kozłem ofiarnym we wszystkich państwach Europy, że jak tylko gdzieś coś dzieje się nie tak, jak powinno, to zaraz wychodzi na jaw, że to niby przez Żydów.

Z tego, co opowiedział mi ojciec, najbardziej zdumiało mnie, że w miasteczku nad Wisłą, w którym już wiele lat mieszkaliśmy, przed wojną żyło tyle samo Polaków co Żydów i że prawie wszystkie domy przy rynku i prawie wszystkie sklepy były ich własnością, i, to było jeszcze bardziej zdumiewające, po ich obecności nie pozostał w miasteczku prawie żaden ślad. I też dopiero ojciec mi powiedział, że magazyn zboża, to jest dawna świątynia żydowska, a ogrodzone siatką, zarosłe trawą kamienie, to cmentarz żydowski. Po wojnie ani jeden Żyd nie wrócił do miasteczka, choćby po to, żeby przynajmniej upomnieć się o pieniądze za zajęty przez kogo innego dom, a to mogło oznaczać tylko jedno: wszyscy zginęli.

Ojciec wybronił majstra Karkoszkę, tak, że Karkoszka mógł z powrotem wrócić do pracy, ale już jako zwykły majster budowlany, nie zastępca kierownika budowy, z czego Karkoszka był nawet zadowolony. Na zebraniu partyjnym, na które przyjechali specjalnie redaktorzy z „Nowin”, ojciec starał się wybronić także pozostałych wyrzuconych z pracy, twierdząc, że za wady wynikłe podczas budowy osiedla należy obwinić tych, co to z powietrza, nie patrząc na realne możliwości, ustalają terminy zakończenia robót i jeszcze dodatkowo zobowiązują budowniczych do ukończenia prac przed tymi z powietrza wziętymi terminami, żeby oddanie bloku czy jakiegoś sklepu zbiegło się ze świętem Pierwszego Maja czy Dwudziestego Drugiego Lipca, lub z przyjazdem jakiejś ważnej osobistości z Warszawy.

Nic, co powiedział ojciec na zebraniu, nie zostało wydrukowane w gazecie. Ukazała się jedynie notka, że tego i tego dnia w stolicy polskiej siarki odbyło się zebranie, podczas którego konstruktywnie skrytykowano winnych zaniedbań na Osiedlu Tysiąclecia.

Z tym przyjazdem ważnych osobistości ojciec utrafił w dziesiątkę, sam się tak wyraził.

Gdyż w kilka dni po zebraniu z konstruktywną krytyką pierwszy sekretarz Komitetu Powiatowego poprosił ojca, aby dopomógł kierownictwu budowy drugiej z kolei kopalni odkrywkowej siarki, w Machowie, po prawej stronie Wisły, w szybkim zakończeniu budowy kopalni, ponieważ za miesiąc ma przyjechać do Machowa Gomułka i trzeba, żeby on był świadkiem wydobycia pierwszej tony rudy siarki z nowej kopalni, a tymczasem inżynierowie pracujący w Machowie są zdania, że dopiero za pół roku zdejmie się nadkład ziemi, pod którą zalega ruda siarki. Ojciec od razu powiedział, że jest niemożliwością zrobić w jeden miesiąc coś, na co fachowcom potrzeba sześć miesięcy. Sekretarz nie wierzył, aby to było niemożliwe, przypomniał ojcu, jak cudownie przyspieszał prace w czasie budowy osiedla mieszkaniowego. No tak, zgodził się ojciec, tylko że z tych cudów wynikły następne cuda, które kosztowały kolejne miliony. Ale sekretarz prosił, nalegał i domagał się jednocześnie, żeby ojciec zrobił co w jego mocy z tą kopalnią w Machowie. W końcu ojciec zgodził się pojechać do Machowa i zbadać rzecz na miejscu.

Ojciec wrócił do domu wściekły i po opowiedzeniu, czego domaga się od niego pierwszy sekretarz, doszedł do wniosku, że albo wszyscy w tym kraju powariowali, albo on śni, że mieszka w zwariowanym kraju, no bo raz, że on, ślusarz z zawodu, zostaje kierownikiem budowy ogromnego osiedla mieszkaniowego, i, co wydaje się już całkiem niepojęte, doprowadza do ukończenia budowy osiedla dla sześciu tysięcy osób, dwa, że teraz, od tego samego ślusarza, który nigdy z bliska nie widział żadnej kopalni, domagają się ekspresowego przyspieszenia ukończenia budowy kopalni siarki.

Nazajutrz, zabierając mnie z sobą, żebym zobaczył jak wygląda kopalnia siarki, pojechaliśmy służbowym autem do Machowa. Inżynierowie geolodzy byli już powiadomieni, że przyjedzie do nich ktoś w rodzaju nadzwyczajnego pełnomocnika sekretarza partii i wiedzieli, że ów pełnomocnik nie ma żadnego pojęcia o kopalniach siarki, ani jakichkolwiek innych i co najwyżej będzie w stanie podesłać do pomocy kilkuset robotników z innych zakładów pracy, ale to tyle co nic, jakby się dziecko łopatką w piaskownicy bawiło. Specjalnie kupiona w Niemczech ogromna koparka z kołami czerpakowymi wielkości pół ciężarówki, w ciągu jednej godziny zrzuca na taśmociągi tyle ziemi, ile w ciągu jednej godziny wykopie kilkuset robotników. A koparka i taśmociągi pracowały dzień i noc, na trzy zmiany. Geolodzy spodziewali się, że ojciec, podobnie jak wcześniej pierwszy sekretarz, będzie domagał się rzeczy niemożliwej, czyli dotarcia do pokładów siarki w ciągu jednego miesiąca.

Gdy zeszliśmy na dół kopalni, ledwie wyciągając nogi z kleistej gliny, inżynierowie pokazali na mapach na jakiej wysokości pracuje teraz koparka i ile metrów niżej znajduje się

ruda siarkowa. Ojciec jakby ich nie słuchał, milczał przez kilka minut, wydawało się, zastanawiając się nad czymś zupełnie innym. Wreszcie powiedział: mogę się założyć, że nawet za pół roku nie dojdziecie do rudy. Geolodzy spojrzeli na siebie i ojca zdeorientowani, gdyż spodziewali się zupełnie innych słów. Myślę, to jeszcze co najmniej rok potrwa, niejedną raz koparki się zepsują, dziesiątki razy zepsują się taśmociągi, woda z Wisły podejdzie, ojciec mówił jakby się rzeczywiście na tym znał, ale za miesiąc przyjeżdża tutaj Gomułka i, wiadomo, będzie też telewizja, radio, pismacy z różnych gazet i oni wszyscy muszą zobaczyć jak na taśmociąg prowadzący do kombinatu spadają pierwsze tony rudy siarki z kopalni w Machowie, wystarczy kilkadziesiąt ton, a tyle chyba da się zrobić? Z początku inżynierowie patrzyli na ojca zaskoczeni, że jednak zna się na kopalniach, a po następnych słowach ojca widziałem w ich oczach, że mają ojca za wielkiego dumia. I mnie się zrobiło trochę głupio i pomyślałam, że ojcu z nieznamości rzeczy wszystko się poplątało, gdyż mówił coś, co jedno drugiemu zaprzeczało. Jeszcze bardziej byłam ogłupiała, gdy godzinę później, siedząc już w gabinecie pierwszego sekretarza, ojciec powiedział z przekonaniem, że Gomułka zobaczy rudę siarki w Machowie, ale zaraz po jego wyjeździe nastąpi wielkie obsuwisko ziemi i na jakiś czas trzeba będzie wstrzymać wydobywanie rudy. Nic z tego nie pojmowałem, ale sekretarzowi, z wrażenia, aż zaświeciły się oczy. On to coś natychmiast zrozumiał. Przez minutę, albo dłużej potrząsał ręką ojca, mówiąc przy tym, że niech ojciec zażąda czego chce, dostanie wszystko. Dobrze, powiedział ojciec, dajcie mi święty spokój. Już towarzysz to ma... – w pierwszym odruchu wyrwały się te słowa sekretarzowi i zaraz umilkł, zaskoczony i jakby zagniewany.

Miesiąc później wraz z matką i ojcem oglądałem w dzienniku telewizyjnym, jak pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego Władysław Gomułka, w asyście odświętnie ubranych górników, w czarnych mundurach i czapach z pióropuszcami, patrzy ze wszystkimi, którzy stoją obok niego, na spadającą z czerpaków koparki rudę siarki, którą taśmociąg wywozi w kierunku kombinatu przetwórczego siarki. Nad taśmociągiem widniała duża tablica z napisem: „1 tona rudy siarki z kopalni w Machowie”. Ładne premie wezmą za mój pomysł, powiedział ojciec i mimo sprzeciwu matki wyłączył telewizor.

Wcześniej nie zapytałem ojca co takiego wymyślił, żeby Gomułka mógł zobaczyć siarkę wydobywaną z Machowa. Miałem ważniejsze sprawy na głowie, a poza tym wyczuwałem, że ojciec wcale nie był zachwycony swoim pomysłem, chyba z tego właśnie powodu powiedział sekretarzowi, żeby mu dali święty spokój. Ale teraz, gdy na własne oczy widziałem rudę siarki, która nie mogła być wydobyta wcześniej niż za pół roku, nie mogłem się powstrzymać od pytania: tato, jak oni wydobyli tę siarkę? Matka spojrzała na ojca, jakby dając do

zrozumienia, że lepiej, aby mi tego nie mówił, lecz ojciec obojętnie machnął ręką i powiedział: nawieźli ją ciężarówkami z kopalni w Piasecznie.

Od tego dnia, gdy patrzyłem na obrazy pokazywane w dzienniku telewizyjnym, jak na przykład wodowanie statku, czy, wytop którejś tam tony surówki żelaza, zawsze nachodziła mnie myśl, że jest to statek pożyczony z innej stoczni, a surówka przywieziona z innej huty.

KSIĘŻY OGRÓD

Już w długi czas po śmierci Stalina, kiedy to wyły syreny jakby się całe miasteczko, cała Polska paliła, i długo po tym jak Gomułka przyjechał do nas, żeby być świadkiem wydobycia pierwszej tony siarki z nie uruchomionej jeszcze kopalni, siarkę w tajemnicy przywieziono ciężarówkami z innej kopalni, zza Wisły, i niedługo po śmierci babki, która nie chorując na nic zmarła w nocy, dopiero rano zobaczyliśmy, że jest martwa, więc po tym wszystkim ojciec, wróciwszy z jednego ze swoich zebrań partyjnych, powiedział, że już teraz mogę chodzić na religię do kościoła, jeśli mam ochotę, a matce wyjaśnił, że właśnie na dopiero co odbytym zebraniu prelegent z Warszawy oznajmił, iż można być chrześcijaninem, to znaczy konkretnie katolikiem i jednocześnie człowiekiem partii, gdyż według nowych założeń jedno drugiego nie wyklucza, a nawet dobrze, jeśli partyjny człowiek będzie chrześcijaninem, zaś chrześcijanin człowiekiem partii. Matka wysłuchała ojca zaskoczona, po czym rzekła, iż szkoda, iż babka tego nie doczekała, chodziliby wszyscy razem na msze do kościoła, skoro chodzić do kościoła już nie grzech. Ale mojemu ojcu wydało się dziwne to połączenie katolika z partyjnym, no bo, zapytywał siebie i matkę równocześnie, czy partyjny może uznać dogmat o nieomyślności papieża? a katolik przyjąć pogląd o naukowo-materialistycznej ewolucji świata? Nie przejmowałem się tymi zmartwieniami ojca, zresztą nawet nie rozumiejąc co to dogmat, ani co pogląd naukowo-materialistyczny. Myślałem tylko o tym, że będę mógł chodząc do kościoła na religię i cieszyłem się, że wreszcie i przede mną zostanie otwarty księży ogród, o którym dotąd słyszałem wyłącznie z opowiadań chłopaków uczących się religii. Do księżego ogrodu mogli chodzić jedynie ci, którzy uczyli się religii i mnie głównie o ten ogród rozchodziło się.

Ogród ciągnął się od skarpy, na której stał kościół, do wału wiślanego, był tak ogromny, że gdyby nie wieża kościelna, widoczna z każdego miejsca ogrodu, człowiek mógłby się w nim zagubić. Od wiosny, jak się niedługo przekonałem, zawsze rosło w ogrodzie coś, co nadawało

się do jedzenia, w maju truskawki, których było tyle, iż wydawało się, że w miejsce zerwanej natychmiast wyrasta nowa truskawka, ale po dwóch tygodniach nagle przestawały rosnać jakby umęczone ciągłym obrywaniem im głów, nikt się jednak tym nie przejmował, kilka metrów dalej był już agrest na krzakach i czerwone, i czarne porzeczki, maliny, a nad nimi stały drzewa z mięsistymi czereśniami, kwaśnymi papierówkami, wiśniami szklankami, które żeśmy zjadali bez wypluwania pestek, gdyż same, ledwie zgniecione zębami, przepływały przez gardło, później przychodziło lato i można było zwariować... poziomki, pomidory, ogórki, szczaw, groszek, marchewka, trudno wyliczyć, a po wakacjach jeszcze więcej do wyboru, gruszki, o które musieliśmy walczyć z osami, jabłka jakie kto chciał, czerwone, zielone, żółte, brzoskwinie z mechową skórą, kalarepa, orzechy, słodkie buraki krojone scyzorykiem na plasterki... Nie, żebyśmy chodzili głodni, ale w księżym ogrodzie wszystkie owoce były o wiele lepsze od tych, które matka kupowała w sklepie, poza tym jaka przyjemność móc ugryźć jabłko dwa razy, żeby tylko skosztować i wyrzucić na trawę i zerwać inne.

W zimie księży ogród był jak nieżywy, taki trup, jak babka, gdy ją zobaczyłem rano, aż bałem się, czy wiosną wyrosną wszystkie te wspaniałości na ziemi i drzewach, ale długo się nad tym nie zastanawiałem, nie było czasu, sanki tak szybko zjeżdżały ze skarpy pomiędzy drzewami...

Wiosną, kiedy kleiste pąki nabrzmiały na gałęziach, nagle zagroziło mi, że już więcej nie zakosztuję truskawek i grusz z księżego ogrodu, gdyż ojciec, znowu wróciwszy z jednego z zebrań partyjnych, powiedział, że w Warszawie uchwalono, iż jednak nie można być równocześnie człowiekiem partyjnym i chrześcijaninem. Matka zapytała, czy ta uchwała dotyczy także dzieci. Ojciec pokiwał głową, że tak, niestety. Ale ja w tym czasie nauczyłem się już służyć do mszy jako ministrant i ksiądz Józef bardzo mnie chwalił, że pierwszy wiem kiedy zadzwonić, że uważnie trzymam tackę pod brodami wiernych którzy przyjmują komunię świętą, żeby nie daj Bóg spadł opłatek na posadzkę, choć nie rozumiem dlaczego to miałyby być takie straszne, bo przecież wszystko w kościele jest poświęcone, posadzka i nawet sufit, chwalił że wiem, kiedy trzeba Biblię przykryć serwetą z wyhaftowanym krzyżem, oprócz tego nauczyłem się życiorysów różnych świętych, ukamienowanych za wiarę w Jezusa Chrystusa i Boga Jedynego, utopionych, żywcem zakopanych, pociętych na kawałki, czy spalonych jak moja ulubiona Dziewica Orleańska, która uwolniła Francję od Anglików i później, schwytana przez tych szubrawców Anglików, dokończyła żywota na rozpalonym stosie drewna, i było mi żal zrezygnować z tego wszystkiego, z mszy świętych, kiedy to na dźwięk mojej sygnaturki wszyscy w kościele klękali, co z podwyższenia przed ołtarzem,

gdzie stałem wraz z księdzem, wyglądało jak gdyby niewidzialny wiatr przyduszał ludzi do ziemi, żal mi było samych lekcji religii, podczas których młody ojciec Marcin zawsze potrafił wydobyć ze swej pamięci dzieje życia jakiegoś nowego świętego lub kogoś, kto dopiero ma być uznany za świętego, ci święci i mający być świętymi ginęli zazwyczaj śmiercią męczeńską, ale nie zawsze tylko za wiarę katolicką, bo na przykład nasz polski ojciec Kolbe dobrowolnie zgodził się umrzeć w Oświęcimiu za innego, zwykłego człowieka, który był wybrany przez esesmanów na śmierć, żal mi też było spowiedzi, przed którymi licytowałem się z chłopakami kto ma więcej grzechów i najczęściej wygrywałem, bo jeśli zdawałem sobie sprawę, że lista moich grzechów jest za krótka aby być pierwszym, podglądałem matkę gdy myła się w łazience, bawiłem się swoim przyrodzeniem, a raz namawiałem Krzyśka Grocharza, żeby on bawił się moim i ja jego jednocześnie, bo to byłby cięższy grzech niż bawienie w pojedynkę, lecz Grocharz nie zgodził się, mówiąc, że to pedalskie zboczenie, okłamywałem też ojca, albo, gdy nikogo nie było w domu, używałem brzydkich wyrazów Jakie były wypisane na parkanie niedaleko szkoły; był czas, iż marzyło mi się, żeby tak zgrzeszyć jak Gugąła, który przy jednej spowiedzi pobił nas wszystkich i później chodził dumny niby sierżant Garsija z serialu „Zorro”, Gugąła bawił się ze swoją siostrą w męża i żonę i włożył siostrze swoje przyrodzenie, jak to ojciec Marcin usłyszał i jak wyskoczył z konfesjonału do Gugąły... no, ale ja nie miałem siostry, a żadna z dziewcząt z klasy nie chciała dać sobie włożyć, a Baśka Piętak, kiedy ją namawiałem na włożenie, to poskarżyła się wychowawczyni, że chcę jej zrobić dziecko, było mi żal tego wszystkiego, lecz najbardziej księzego sadu, i gdy pomyślałem, że nigdy już mogę nie wejść do tego ogromnego ogrodu i objadać się czym chcę, powiedziałem ojcu, że nie obchodzi mnie co mówili na jego zebraniu i ja dalej będę chodził na lekcje religii, choćby mnie mieli spalić jak Joannę Darc. Ojciec wtedy spojrział na matkę i oboje bezradnie wzruszyli ramionami. Zrozumiałem, że będzie tak jak zechcę.

Za trzy lata, może cztery, kiedy mój ojciec, już śmiejąc się, znowu wrócił do domu z wiadomością, że na powrót człowiek partyjny może być chrześcijaninem, a chrześcijanin człowiekiem partyjnym i że partyjnym włos z głowy nie spadnie za wysyłanie swoich dzieci do pierwszej komunii świętej i na naukę religii, mnie jakoś przestało się chcieć chodzić do kościoła, ten księży ogród już nie wydawał mi się taki niezwykły.

WIR

Na drugi dzień po odebraniu świadectwa ukończenia siódmej, czyli ostatniej klasy szkoły podstawowej, nauczyłem się pływać. Poszedłem z kilkoma chłopakami nad Wisłę, w to miejsce, któreży żaglówki klubu kombinatu siarkowego wpływały, lub wypływały do czegoś w rodzaju małego portu – to był ośmiometrowej szerokości przesmyk, bardzo głęboki, gdyż co roku pracowała tam pogłębiarka, dostać nogami dna przesmyku potrafili tylko najlepsi pływacy. Zaraz po przyjsciu na brzeg wszyscy bez zastanawiania rozebrali się do spodenek i skoczyli do wody. Ja, też rozebrany, zostałem sam na brzegu. Wiedziałem, że gdy oni znajdą się po drugiej stronie przesmyku zaczną wyśmiewać się ze mnie, że fajtłapa. Jestem i maminsynek, a tym bardziej i tym większą będą mieć przyjemność, gdyż nie byłem fajtłapa, w szkole grałem w piłkę zawsze w ataku i należałem do tych, którzy dobierali sobie chłopaków do drużyny, tylko nie mogłem nauczyć się pływać. W płytkiej wodzie, do pasa, ruszając rękami i nogami utrzymywałem się chwilę na powierzchni, ale zaraz wydawało mi się, że zapłynąłem nie wiadomo jak daleko i nie mam gruntu pod nogami, i wtedy, na przekór zdrowemu rozsądkowi, nogami łączywie szukałem dna, a poza tym nie mogłem nie myśleć i nie wyobrażać sobie, że jakiś topielec obetrze się o mnie albo rekin podplynie. To z rekinem wydawało mi się całkiem prawdopodobne, no bo mógł ktoś z zagranicy przywieźć małe rekinki, odhodować je w akwarium i wpuścić do Wisły, a topielców to było pełno, co rusz mówili w radio, że ktoś się utopił w Wiśle i ciała nie odnaleziono. Wtedy, nazajutrz po skończeniu szkoły podstawowej, patrząc na płynących chłopaków, wśród nich był Krzysiek Grocharz, który nie tylko umiał pływać i dobrze grać w piłkę, ale jeszcze grał na harmonii i uczył się tak samo dobrze jak i ja, wtedy coś się we mnie wściekło, skoczyłem do przesmyku i zacząłem płynąć, pieskiem, rękami przebierałem z taką prędkością jak pracują tłoki w aucie, a nogami waliłem o powierzchnię wody tak, że niemal zalewało mnie od góry. Dopiero pośrodku przesmyku uzmysłowiłem sobie, że płynę, i z radości w moim mózgu coś zaczęło

krzycząc: płynę! płynę!... Grocharz, który już wyszedł na drugi brzeg, był zaskoczony widząc mnie na głębokiej wodzie, ale lekceważąc moje osiągnięcie powiedział, że tak naprawdę, to dopiero ten umie pływać, kto przepłynie Wisłę tam i z powrotem. Krzysiek Grocharz, ani nikt z nas, zwłaszcza ja, co oczywiste, nie przepłynął Wisły. Lecz Grocharz, od razu to wyczułem, mówiąc o przepłynięciu Wisły, mówił to przeciwko mnie.

Od kiedy przyjechałem do miasteczka i zacząłem chodzić do tej samej klasy co Grocharz, obaj, sam nie wiem dlaczego, rywalizowaliśmy pomiędzy sobą kto jest lepszy i z tego zrobiło się, że ja i Grocharz byliśmy najlepsi w klasie prawie we wszystkich dziedzinach, ale żaden z nas nie był lepszy od drugiego. Jak Krzysiek uczył się grać na harmonii, to ja kupiłem podręcznik do nauki angielskiego i zacząłem się uczyć tego języka. Jak Krzysiek zaprowadził w szkole modę na grę w hokeja na trawie, to ja na krykieta, co prawda ani w krykieta ani w hokeja na trawie nie graliśmy długo, ale nie dlatego, że zabronił nauczyciel od wuefu, plotąc coś, iż sprowadzamy do Polski gry klasowo obce, burżuazyjne, tylko zwyczajnie woleliśmy grać w palanta czy kiczki, nie mówiąc już o piłce i zoście.

Przez kilka lat, co było widoczne przede wszystkim podczas wakacji, Krzysiek miał nade mną przewagę w tym, że umiał pływać i gdy nazajutrz po rozdaniu świadectw dogoniłem go w pływaniu, on, chcąc zachować tę swoją przewagę, postanowił przepłynąć Wisłę tam i z powrotem. Zapytał kto z nim popłynie, ale nikt się nie zgłosił. Ja miałem wielką ochotę, lecz patrząc na powolnie, choć z wielką siłą płynącą wodę, obojętną, bezwzględną, nie litującą się nad żadnym słabeuszem i jeszcze wyobrażając sobie jak woda zamyka się nade mną i jakby nigdy nic dalej płynie swoją drogą, przestraszyłem się. W takim razie, zdecydował Krzysiek, sam popłynę. Spojrzał na mnie i ironicznie śmiejąc się wszedł dowody. Po drugiej stronie rzeki, w korycie oznaczonym żerdziami, Grocharz znikł nam z oczu. Z początku myśleliśmy, że zanurkował, ale on się już więcej nie pokazał na powierzchni. Pobiegliśmy do przystani i jeden przez drugiego krzyczeliśmy, żeby ratować Grocharza i pokazywaliśmy, w którym miejscu znikł pod wodą. Z przystani na skarpie wyraźnie było widać, że tam, gdzie Krzyśka straciliśmy z oczu, znajduje się duży wir. To już trzeci w tym wirze, powiedział pan Marcin, gospodarz przystani, i po jego głosie zrozumieliśmy, że już nigdy nie zagramy w piłkę z Grocharzem. Za godzinę przyjechali milicjanci i z motorówki, bosakami, szukali w Wiśle Grocharza. Przed wieczorem, nie znajdując, zrezygnowali. A my przez kilka dni, dopóki nie wyjechałem na egzaminy do technikum chemicznego, chodziliśmy po naszym brzegu i drugim, na który przeprawialiśmy się łódką przewoźników i wypatrywaliśmy zwłok Krzyśka. Chcieliśmy je znaleźć przede wszystkim dla Grocharzowej, której na wiadomość o utonięciu Krzyśka pomieszało się w głowie i bez przerwy wyla i powtarzała, że chce mieć ciało syna,

aby go chociaż pochować w ziemi.

W połowie wakacji dowiedziałem się, że kilka kilometrów w dół rzeki, chłopci z Bobowa znaleźli na brzegu rozkładające się ciało i że Grocharzowa rozpoznała w nim Krzyśka. Poszedłem na pogrzeb i kiedy trumnę z Grocharzem wkładali do ziemi poprzysięgłem sobie, że przepłynę Wisłę w tym samym miejscu co chciał Krzysiek i to nie była przysięga przeciwko Krzyśkowi, żeby stać się lepszym od niego, ja chciałem Wisłę ujarzmić, pokazać, że mogę z nią, w niej, na niej robić cokolwiek zechcę, może w ten sposób pragnąłem pomścić Grocharza?

Pływałem kilka godzin dziennie, blisko brzegu, pod prąd i z prądem, w pierw pieskiem, później żabką, a po tygodniu czałem, raz dwa oddech, raz dwa wydech. Pływałem z uczuciem, że przecinam wodę jak coś żywego, jakbym robił ranę na powierzchni ciała, które ma jednak niezwykłą zdolność gojenia się, płynąc często oglądałem się za siebie, żeby zobaczyć czy w którymś momencie rana przestanie zasklepiac się. Nienawidziłem Wisły za śmierć Grocharza i za to, że sam czułem się winien jego śmierci, gdyż Krzysiek postanowił przepłynąć rzekę z powodu naszej głupiej, nie wiadomo po co, rywalizacji. Rzeka cały czas płynęła tak samo obojętnie jak w dniu, w którym zabrała Grocharza, obojętnie i wyniośle, mnie mając jakby za jedną rybę więcej. Tylko ta obojętność, to mógł być podstęp Wisły, żeby zwabić mnie w wir i wciągnąć do środka. Aby odpocząć od pływania chodziłem wzdłuż brzegu pomiędzy łachami opatulonymi gałęziami wikliny, jadłem czarne maliny, których zapach wszędzie unosił się, obserwowałem bezgłośnie płynące barki.

Pod koniec wakacji z łatwością, w ciągu kilku sekund, przepływałem przesmyk, a dna w tym miejscu sięgałem nie tylko nogami, ale i rękami, na dowód podnosiłem z dna garść żwiru. Gdy było kilka dni do mojego wyjazdu do Tarnowa, orzekłem, że jestem gotowy do pokonania Wisły. Zwołałem chłopaków, którzy wraz ze mną widzieli jak Grocharz znikł w wodzie, zaprowadziłem ich w to samo miejsce po drugiej stronie przesmyku i powiedziałem to samo, co Krzysiek Grocharz dwa miesiące wcześniej: tak naprawdę to dopiero ten umie pływać, kto przepłynie Wisłę tam i z powrotem. Chłopakom przypomniła się tamta chwila, byli wystraszeni, widziałem, że najchętniej to by odeszli, lecz nie odeszli i nic nie mówili. Wziąłem rozpęd i skoczyłem na główkę do wody, wynurzyłem się, otrzepałem krople z oczu i obrałem kierunek na wir, który na wielki wciągnął Krzyśka. Będąc blisko, zwołniłem, aby przyjrzeć się wirowi. Był szerokości pięciu, sześciu metrów, do oka znajdującego się poniżej normalnego lustra wody zagarniał pianę i patyki i połykał je bez pośpiechu, spokojnie, z tą znaną mi już obojętnością. Prąd znosił mnie w dół, musiałem podpłynąć parę metrów w górę. Po chwili zdecydowałem się i, jak wyczytałem w podręczniku dla ratowników wodnych, z

rozłożonymi jak najszerzej nogami i rękami napłynąłem na wir. Wolno zakręciło moim ciałem, bok musnął mi patyk i stanąłem w miejscu, jakbym znajdował się na jeziorze a nie w rzece. Przez, wydawało mi się, dłuższy czas nic się nie działo i kiedy już rozczarowany pomyślałem, że to co mówili i pisali o wirach to wierutna bzdura, a Grocharz utonął dlatego iż go kurcz chwycił, poczułem, że jakaś siła wciąga mnie do środka i jednocześnie obezwładnia moje mięśnie. Zacząłem gwałtownie płynąć crawllem, ale ani o centymetr nie przybliżyłem się do płynącego obok nurtu, za to coraz mocniej wciągało mnie w głąb. Gdy zrozumiałem, iż nie wydostanę się z oka wiru, nabrałem powietrza do płuc i, jak to pisało w książce dla ratowników, pozwoliłem się wirowi wciągnąć i kilka metrów niżej, czując normalny rzeczny prąd, odbiłem w bok i wypłynąłem na powierzchnię daleko od wiru. Mam go! – krzyknąłem i ręką pomachałem do chłopaków stojących na brzegu. Widziałem ich poruszenie, pewnie, kiedy zniknąłem im z oczu, myśleli, że już po mnie.

Aby do końca ujarzmić rzekę jeszcze raz napłynąłem na wir, dałem mu się wciągnąć pod powierzchnię wody i wypłynąłem kilkanaście metrów dalej. Zrobiłem to trzeci i czwarty raz i to już była zabawa, śmiałem się napływając na wir i, odnosiłem wrażenie, woda też się weseliła, spod moich rąk tryskały kolorowe krople, oko wiru mrugało wesoło i zapraszało do siebie, i już w ogóle nie było niebezpieczne. Później coś mi strzeliło do głowy i, zamiast na drugi brzeg, co już nie było dla mnie niczym trudnym, popłynąłem w dół rzeki aż do Sobowa, gdzie znaleziono ciało Krzyśka Grocharza.

DUNAJEC

Odkąd w Wiśle nauczyłem się pływać i jednocześnie (polubiłem jak miękka woda, całkiem inna niż w wannie, inna w zapachu, inna w dotyku, delikatnie ociera się o moją skórę, odkąd polubiłem zmęczenie mięśni gdy pływałem długo pod prąd i później ostatkiem sił dobijałem do brzegu kamienistego, na który wychodziłem na słaniających się nogach, albo szorując brzuchem o piach wpływałem na mieliznę, gdzie zalegałem niby delfin któremu pomyliły się strony morza, odkąd polubiłem spacerować malinowymi ścieżkami nad Wisłą, przemykającymi między łachami ze zgniłozieloną wodą, odkąd nie przeszkadzał mi jazgot rybitw ani ich odchody na wyspach z piasku, odkąd w moich oczach zrosili się z rzeką nieruchomi wędkarze wyciągający z wody srebrne ryby, odkąd, wydawało mi się, nie mógłbym przeżyć jednego letniego dnia, żeby nie pójść nad Wisłę, nie chciałem nigdzie wyjeżdżać ze swojego miasteczka, zrezygnowałem nawet z obozu nad Bałtykiem, choć nigdy morza nie widziałem. Wisła z wyspami, zatoczkami, na przemian to ściśnięta w korycie, to rozlana od wału przeciwpowodziowego do wału, była bez wątpienia bardziej interesująca niż morze, gdzie tylko nudny bezmiar wody. Ale, mimo iż nie chciałem, musiałem wyjechać znad mojej Wisły do dużego miasta T. gdzie miałem uczyć się w technikum chemicznym i mieszkać w internacie, ta szkoła była dla mojej przyszłości, abym zdobył konkretny zawód. Wprawdzie, sądzę, zbuntowałbym się i nie pojechałbym do T., gdybym na mapie nie zobaczył, że w T. płyną dwie rzeki, jedna większa, druga mniejsza i gdybym nie pomyślał, że jedna z nich może mi zastąpić Wisłę. Zaraz jak tylko przyjechałem zdawać egzamin do technikum poszedłem obejrzeć obie rzeki. Biała, mniejsza, płynąca niedaleko internatu, pokryta brudną pianą i jakby rosółowymi oczami, z zawieszistą wodą, że ryby na pewno nie mogły w niej żyć, nie była rzeką, którą mógłbym kiedykolwiek polubić, jeszcze smród gównien unoszący się na brzegu. Za to druga rzeka, Dunajec, okrążająca miasto od północy i płynąca z takim rozpędem, że ledwie mieściła się pod betonowymi przęsłami mostu

kolejowego i brzegi miała podobne jak Wisła, zamknięte wałami przeciwpowodziowymi, mogła mi zastąpić Wisłę. Od razu rozebrałem się i wszedłem do Dunajca. Woda była czystsza aniżeli w Wiśle, pod mostem, gdzie najgłębiej, widać było na dnie wszystkie kamienie. Dunajec miał też inny zapach i bardziej miękką wodę. Przez trzy dni, po egzaminach, przychodziłem pod most kąpać się. Zauważyłem wówczas, że przed mostem zwalniają wszystkie pociągi i czasami pomiędzy wagonów towarowych wyskakują, jak się domyśliłem, miejscowe chłopaki, którzy w ten sposób dojeżdżali nad rzekę. Pomyślałem, że po wakacjach, gdy zamieszkać w internacie w T. i ja będę korzystał z takiego transportu.

Nie tak prędko do tego doszło. Następny raz kąpałem się w Dunajcu dopiero pod koniec jesieni, gdyż z internatu, okazało się, oprócz tego co do szkoły, mieliśmy wychodne tylko raz w tygodniu, w niedzielę, i to pod warunkiem, że wcześniej niczym się nie podpadło, nie paliło w ustępie papierosów, wychodziło bez ponaglenia na poranną gimnastykę, łóżko słało bez jednej fałdy, dostało dobry stopień z przeglądu czystości pokoi, nogi miało co wieczór umyte, no i nie trafiło się na zły humor Pułkownika, jak nazywali naszego wychowawcę, albo kierownika internatu. Ja już przed pierwszą niedzielą, za złe ścielenie łóżka i domalowanie pirackiej opaski na oku Gomułki, którego portret wisiał w sali do nauki, miałem na miesiąc całkowity zakaz opuszczania internatu. Portier, pan Kogucik, miał powieszony na szybie swojej kajuty rozkład lekcji wszystkich klas i gdy wracałem ze szkoły Kogucik sprawdzał, czy się za dużo nie spóźniłem. Wracać ze szkoły mogliśmy w pojedynkę, czy jak kto chciał, bo do szkoły maszerowaliśmy czwórkami i właśnie dzięki tym swobodnym powrotom do internatu, co zresztą bardzo nie podobało się kierownikowi, mogłem wreszcie wybrać się nad Dunajec.

Kierownikowi nie podobały się nasze, jak to nazwał, niezorganizowane powroty do internatu, gdyż, o czym wspominał na cosobotnim apelu, mogliśmy być narażeni na zaczepki miejscowych chuliganów i wyuzdane dziewczyny z pobliskiego zakładu wychowawczego, obok którego, choć było dalej, prawie zawsze wracaliśmy ze szkoły. Czasami jakaś dziewczyna siedziała na parapecie okna, za grubą kratą i tak rozchylała nogi, że pod spódnicą widzieliśmy co chcieliśmy, a raczej co sobie wyobrażaliśmy, że widzimy, a jedna, ostrzyżona jak rekrut, wołała, żeby podejść bliżej to nam potrzymano. Piasek raz podszedł, a ona wyciągnęła rękę przez kratę i dała mu w gębę. W tych niezorganizowanych powrotach do internatu mogliśmy także, zdaniem kierownika Kasztana, paść ofiarą własnej, niedojrzałej ciekawości i pójść na przykład do fotoplastikonu i oglądać na własne oczy „Miraże Wschodu”. Kasztan nie wiedział, że wszyscy z internatu już to na początku września obejrżeli. Przed szkołą stał starszy chłopak w czapce z daszkiem, na której pisało

„fotoplastikon” i namawiał nas do obejrzenia „Miraży Wschodu”, wyjaśniając przy tym, że jako uczniowie mamy pięćdziesiąt procent zniżki na bilety. Skusiłem się bardziej na zniżkę aniżeli na „Miraże Wschodu” i poszedłem do fotoplastikonu. Żadna atrakcja. Przyłożyłem oczy do czegoś w rodzaju lornety i oglądałem obrazki: meczet, meczet, meczet i tancerka w muślinach o zasłoniętej twarzy, że tylko oczy było jej widać i znowu meczet, meczet, meczet i tancerka, i tyle. Wychodząc z fotoplastikonu pomyślałem, że może za każdym razem był to jeden i ten sam meczet i ta sama tancerka, ale żeby to sprawdzić i płacie drugie pół złotego to już mi się nie kalkulowało. Wydałbym całą złotówkę, tyle ile kosztowały w szkolnym bufecie pachnące na kilkadziesiąt metrów bułki z kiełbasą albo pasztetówką. Te bułki, że mocno pachniały, posypywało się tytoniem i zjadało, jeśli ktoś był zdrowy a potrzebował zwolnienie lekarskie ze szkoły, a ja, chcąc się wybrać nad Dunajec, właśnie potrzebowałem zwolnienia i oszczędzałem pieniądze na bułki. Miałem już przygotowany tytoń z pięciu sportów, trzymałem go w pudełku po paście do butów, ale co gotowałem się, aby bułkę posypać tytoniem, to mi się żal robiło tego dobrego jedzenia i odkładałem swoje zachorowanie do następnej bułki i tak dzień po dniu zjadałem po kilka bułek, na przemian z kiełbasą i pasztetówką, nie mogąc się zdecydować na zepsucie smaku bułki. A bułki lubiłem od małego, często nawet chodziłem pod piekarnię, żeby powdychać ich zapach.

Co do fotoplastikonu, to później pokazywali w nim „Miraże Zachodu”. To mnie trochę zainteresowało, jakoś co na Zachodzie bardziej mnie pociągało niż to, co po drugiej stronie mapy, ale nie zdążyłem obejrzeć, gdyż fotoplastikon, właściciela fotoplastikonu i jego współników, włącznie z chłopakiem w czapce z daszkiem, zamknęła milicja. Okazało się, że były seanse dzienne „Miraży Zachodu” i nocne. W nocy w fotoplastikonie pokazywali żywe kobiety we francuskich majtkach, no i rozeszło się głównie o te majtki, że właściciel fotoplastikonu przemycał je z Zachodu, tak przynajmniej, kwicząc ze śmiechu, wyjaśnił nam historyk Wierusz, którego po jakimś czasie też gdzieś zamknięto i też to miało związek z przemytem, ale już nie o damską bieliznę się rozchodziło, tylko o przemykanie szkodliwych wiadomości. Mało mnie te sprawy zajmowały, niech sobie przemyca co kto chce, ja myślałem przede wszystkim o tym, żeby zdążyć przed zimą popływać w Dunajcu.

Dopiero na początku października zaparłem się i zjadłem bułkę nadzianą tytoniem z pięciu sportów. Zjadłem na przerwie w ustępie i na lekcji polskiego, gdy omawialiśmy Reja, że Polacy nie gęsi i swój język mają, ledwie zdążyłem dobiegnąć do kosza na śmiecie, inaczej obrzygałbym całą ławkę. Wyrzygałem bułkę i fasolkę po bretońsku, którą w internacie podawali raz na śniadanie, raz na kolację, raz jako drugie danie obiadu, i choć poczułem wielką pustkę w żołądku to usta dalej mi się samowolnie otwierały i z gardła dobywało

przeciągle zawodzenie, aż pomyślałem, że umieram. Spocony i bez sił siedziałem, oparty o ścianę obok kosza, nawet nie słysząc, iż w międzyczasie pani Klechta od polskiego wysłała Borysa po lekarkę, ale lekarka nie przyszła, tylko powiedziała, żeby mnie przyprowadzić do gabinetu. Dobrze, że nie przyszła, szepnął Borys na korytarzu, bo na całą klasę śmierdzi papierosami. Lekarka obmacała mi brzuch, zapytała co jadłem dzisiaj i wczoraj, oczywiście nic o tytoniu nie powiedziałem, na koniec pielęgniarka włożyła mi termometr pod pachę, mówiąc przy tym do lekarki, że może trzeba zrobić kontrolę w kuchni internatu, gdyż nie ma dnia, żeby jakiś uczeń z internatu nie wymiotował. Miałem trzydzieści dziewięć stopni gorączki i dostałem cztery dni zwolnienia ze szkoły: leżeć, łykać węgiel i aspirynę i jeżeli gorączka nie przejdzie, zgłosić się do gabinetu lekarskiego po czterech dniach.

W internacie nie powiedziałem Pułkownikowi, że mam zwolnienie lekarskie i rano ze wszystkimi wyszedłem przykładnie do szkoły, tylko że w teczce, oprócz podręczników, miałem jeszcze ręcznik i majtki. Ze szkoły, mając przygotowaną mówkę na wypadek, gdyby zaczepił mnie jakiś nauczyciel, wyszedłem dziesięć minut po dzwonku. Wszystko mi się dobrze układało, jakby dobry anioł czuwał nade mną. Chciałem, jak to sobie już dawniej zamyśliłem, dojechać pociągiem do Dunajca, i akurat, gdy przyszedłem na stację kolejową, ruszał pociąg towarowy w kierunku rzeki. Wskoczyłem na balkonik nad zderzakami wagonu, była tam budka, podobna do wiejskich wygódek, do której schowałem się, żeby mnie kolejarze na stacji nie zobaczyli. Pociąg nabrał szybkości i przestraszyłem się, co będzie, jak nie zwolni przed mostem i dojadę do Krakowa albo jeszcze dalej, lecz po paru minutach poczułem i usłyszałem, że pociąg hamuje. Wskoczyłem dwadzieścia metrów przed mostem, prawie na sam wał przeciwpowodziowy. Bardzo mi się spodobała jazda pociągiem, aż pomyślałem, że Wisła, jakkolwiek była większa i mocniej niż Dunajec pachniała, to jednak nie mogłem do niej dojechać pociągiem.

Pławiłem się w Dunajcu jak ryba, którą by po miesiącu leżenia na płyciźnie wrzucono do głębokiej wody. Pasażerowie przejeżdżających mostem pociągów obserwowali mnie z okien, machałem do nich rękami i nogami. Gdy zauważyłem, że do czegoś, co mogło być starym korytem rzeki, skacze z mostu dwóch chłopaków, natychmiast, wylaząc po drabinie umocowanej do przęsła, poszedłem do nich. W dole widziałem tam wodę o wiele głębszą i mniej przezroczystą aniżeli w nowym korycie, ale i tak dobrze było widać ucięte równo z powierzchnią wody grube pale. Tych dwóch chłopaków zawsze skakało z jednego i tego samego miejsca i widząc, że i ja przymierzam się do skoku, ostrzegli, żebym odbijał się z białej linii wymalowanej na stalowej belce, bo inaczej wyląduję na palach starego mostu. Za pierwszym razem skoczyłem na nogi, później już tylko na główkę. Zmęczony, siadałem na

pale i z daleka musiało to wyglądać jak gdybym siedział na wodzie, niczym Chrystus.

Gdy w szkole kończyła się ostatnia lekcja ubrałem się, przyrzekając sobie, że za tydzień, póki jeszcze ciepło, znowu najem się bułki z tytoniem, nic nie szkodzi jak będę uchodził za chorowitego ucznia, przyda się to na teraz i na wiosnę.

Ostatniego, czwartego dnia zwolnienia lekarskiego, dobry anioł mnie opuścił. Już od rana zaczęło się źle. Wychowawca, który nas przyprowadził z internatu do szkoły, stał przy wejściu mieszczącej się w suterynach szatni, najwyraźniej pilnując, żeby nikt nie wyszedł z powrotem ze szkoły. Musiałem nałożyć pantofle, a buty ukradkiem schować do teczki i pójść na korytarz pod klasę i stamtąd przemknąć się do warsztatów pod narzędziownię, gdzie z rana panował duży ruch i można było udawać, że wraz z innymi czeka się w kolejce na wiertło czy pilnik. Dopiero w połowie lekcji i to z wielkim strachem, wyszedłem ze szkoły. Na stacji wsiadłem do pociągu, który, okazało się po chwili, był tylko przetaczany. Zmarnowałem godzinę nim znalazłem się nad Dunajcem. Później zaczął siąpić deszcz i cały czas siedziałem w wodzie, gdyż w wodzie było cieplej niż na powierzchni, nawet nie poszedłem poskakać z mostu, a gdy w końcu postanowiłem wcześniej aniżeli zwykle odejść znad rzeki, nie znalazłem ubrania i teczki. Zawsze chowałem je w jednym miejscu, w gęstych pokrzywach, które delikatnie rozchylałem patykiem, żeby pokrzywy, prostując się, szczelnie osłaniały moje ubranie. Kilkanaście metrów od pokrzyw, szukając w coraz większym okręgu, znalazłem wybebeszoną teczkę, trochę dalej podręczniki i zeszyty, i nic więcej. Pomyślałem, że złodzieje mogliby mi zostawić chociaż suche majtki. Nie wiedziałem co robić, czekać do wieczora czy wracać od razu do internatu. W internacie tak czy inaczej czekało mnie najgorsze, ale nim się do niego dostanę muszę przejść przez całe Mościce, dzielnicę w której stał internat. I tak dobrze, że nie musiałem iść przez centrum T. Gdyby jeszcze świeciło słońce mógłbym od biedy udawać biegacza podczas treningu, albo niechby deszcz rozpadał się na dobre, wtedy idę w slipach, bo niby żal mi zamoczyć ubrania, poza tym w czasie deszczu mniej ludzi byłoby na ulicach, a tu ani słońca ani porządnego deszczu. Czekać na noc jeszcze gorzej, po nocy łaźać w samych majtkach... Wziąłem teczkę do ręki i poszedłem krokiem, jak gdybym wracał ze szkoły, udając, iż sam nie widzę aby w moim stroju było coś niezwykłego. Mój wyraz twarzy i chód zdawał się w pierwszej chwili mówić przechodniom, że w tym, iż ktoś idzie ulicą w mokrych majtkach, trzymając w ręku teczkę, nie ma nic śmiesznego a tym bardziej zdroźnego, ot, zwyczajna rzecz na ulicy, dopiero mijając mnie, przenikał ich prąd zrozumienia i wtedy zatrzymywali się i patrzyli na mnie tak, jakbym co najmniej był kosmitą. Ale, mimo to, tylko jedna osoba głośno naigrawała się ze mnie. Miałem pecha, że spotkałem tego Kapcia, który mieszkał w Mościcach i chodził ze mną do klasy.

Przeklęty Kapeć szedł za mną do samego internatu i krzyczał, że doniesie na mnie do dyrektora, iż nie noszę szkolnej tarczy. Pod internatem zjawilem się już dobrze po obiedzie, kiedy wszyscy odrabiali zadania w swoich pokojach lub w uczelni i głupie okrzyki Kapcia ściągnęły mieszkańców internatu do okien. Jednym z pierwszych, którego twarz ukazała się w oknie, był Kasztan.

Dostało mi się w szkole i internacie. W internacie, na specjalnym apelu, Kasztan wpisał moje nazwisko do czarnej księgi, co oznaczało, że do czasu wymazania z księgi znajduję się pod zaostrzonym dozorem. Ponadto ojca zawiadomiono o moim występku, prosząc o przyjazd do internatu. I ojciec musiał się jeszcze wykosztować na nowe ubranie, które mi ukradziono nad rzeką, gdyż do szkoły trzeba było chodzić w granatowych lub czarnych mundurkach, no i w białej koszuli i pod krawatem. Ojciec niezbyt długo furczał na mnie i bardziej po to, żeby pokazać kierownikowi i Pułkownikowi jak ostro mnie trzyma, bo gdy odjeżdżał to już śmiał się z mojej przygody i radził mi zaczekać z pływaniem aż do wakacji, gdy przyjadę do domu. Twoją rzeką jest Wisła, powiedział ojciec, a Dunajec zostaw góralom.

Coś w tym było, co powiedział ojciec, bo gdy w maju poszedłem pływać w Dunajcu, zabierając jeszcze z sobą Borysa, mało brakowało a skończyłoby się wielkim nieszczęściem. Od kwietnia już mogłem bez większych przeszkód wychodzić w niedzielę z internatu, zostałem wymazany z czarnej księgi, chociaż jeszcze miesiąc wcześniej, odmawiając zapisania się do Związku Młodzieży Socjalistycznej, zapowiadały się dla mnie nowe kłopoty, ale na szczęście dyrektor technikum Kęciński, wysoki jak topola, zrozumiał, że skoro już należę do Polskiego Czerwonego Krzyża i w internacie jestem redaktorem gazetki Peceka, należę do kółka polonistycznego, do koła młodych racjonalizatorów, do szkolnego koła sportowców i jednocześnie biorę udział w konkursie wiedzy obywatelskiej o Polsce i świecie współczesnym, to mogę już nie mieć czasu aktywnie uczestniczyć w zajęciach Zedemesu, a powiedziałem, że tylko aktywne uczestnictwo mnie interesuje, chociaż gdyby dyrektor wiedział, że dotąd nie odbyło się ani jedno zebranie żadnego z kółek...

Z początku nic nie miałem przeciwko temu, żeby się zapisać do Zedemesu, dostawało się tam czerwoną legitymację, płacono jakieś grosze składki, albo i nie płacono, wtedy organizacja pokrywała z własnych funduszy i tyle, żadnej roboty, zebrań też nie było. Ale na akademię z okazji wyzwolenia T. od Niemców przyszedł do szkoły sekretarz partii z miejscowego Komitetu i na koniec swojego godzinnego przemówienia powiedział, odchodząc całkiem od sprawy wyzwolenia, że Zedemes jest kuźnią kadr dla partii, i wtedy coś się we mnie zbuntowało. Przypomniałem sobie jak raz ojciec powiedział po kilku kieliszkach wódki, że dlaczego Pan Bóg nie przetrzął mu ręki, gdy pisał podanie o przyjęcie do partii. Ponadto

słyszałem w domu, że w partii dzieje się więcej cudów aniżeli w kościele, a do jednego z takich partyjnych cudów sam ojciec przyłożył rękę, było to wtedy, kiedy na oczach Gomułki, najważniejszego człowieka w Polsce, i redaktorów z telewizji i gazet, wydobyto pierwsze tony rudy siarki z kopalni, w której nie dokopano się jeszcze do siarki, to właśnie ojciec wymyślił, żeby do tej kopalni nawieźć ciężarówkami rudę z już wcześniej uruchomionej kopalni siarki. Później ojciec ze złości na samego siebie chciał rozgłosić ów, jak go nazwał, pomysł racjonalizatorki, lecz ktoś z Komitetu ostrzegł ojca, że jeśli to zrobi, to do końca życia będzie sobie pluł w brodę, on i cała jego rodzina, więc gdy usłyszałem, że mam być kuźnią kadr dla organizacji, która mi groziła pluciem sobie w brodę do końca życia, pomyślałem: nigdy.

Przed mostem wyskoczyłem z Borysem z pociągu i zobaczyliśmy, że Dunajec rozciąga się od wału przeciwpowodziowego do wału, jak Wisła. Byłem zaskoczony, gdyż spodziewałem się ujrzeć inną rzekę, ale zaraz sobie przypomniałem, że dwa dni temu padały duże deszcze. Górskie rzeki mają to do siebie, że szybko przybierają i później szybko wracają do swego koryta, nie to co Wisła, gdzie alarm przeciwpowodziowy może trwać i miesiąc. Dla Borysa, mieszkającego w górach, tyle wody naraz to było coś niespotykanego, patrzył na rzekę ze strachem i zachwytem jednocześnie. Do wody wchodził ostrożnie i z widoczną obawą. Pomyślałem wówczas, że może i ja z podobnym lękiem wchodziłbym do morza, bojąc się, żeby w tak ogromnym bezmiarze wody nie zagubić się, nie rozpląnąć niezauważalnie jak szklanka lemoniady.

Gdy z Borysem napływaliśmy się, zaproponowałem skoki z mostu do wody. Już w internacie mówiłem mu, że te skoki to największa frajda nad Dunajcem. Wyszliśmy po drabinie na most, na którym już było kilku miejscowych chłopaków, jednego z nich znałem jeszcze z jesieni, skakał on tam i z powrotem z takim zniecierpliwieniem, jakby się nie mógł najeść do syta tych skoków i ja go dobrze rozumiałem, czas na moście był czasem straconym, liczył się tylko lot w powietrzu i miękkie zanurzenie w wodzie, było się wtedy przez krótką chwilę ptakiem i rybą na przemian. Powiedziałem Borysowi, że pod mostem na którym stoimy, są niewidoczne teraz pod powierzchnią wezbranej i zmaconej wody pale po starym, drewnianym moście, i z tego powodu musi zawsze skakać z białej linii i prosto przed siebie, i żeby mu pokazać jak, skoczyłem pierwszy. Z wody machnąłem do Borysa ręką: dawaj, nie bój się. Stał w dobrym miejscu, ale po sposobie w jakim odbił się od stalowej belki, on się właściwie nie odbił tylko schylił i poleciał w dół, pionowo do wody, zorientowałem się, że Borys chyba nigdy w życiu nie skakał na główkę, no bo i gdzie, do górskiego potoku? Rozciął powierzchnię wody prawie bezgłośnie i nawet jednej kropli nie wzbil do góry, tak lądują w

wodzie mistrzowie świata skaczący z trampoliny. Mijały dwie sekundy, trzy, cztery i Borys nie wypływał. Przeraziłem się, że Borys doszedł do dna i zaplątał się w naniesione wezbraną wodą śmiecie. Chłopaki na moście też patrzyli z coraz większym niepokojem w dół, nagle któryś z nich krzyknął: tam! i pokazał palcem. Tam zobaczyłem stopy, które wystawały z wody w niepojęty sposób, jakby ktoś, a tym ktosiem mógł być jedynie Borys, leżał na brzuchu na dnie i tylko stopy wystawiał na powietrze, ale tutaj wszędzie dokoła była gębizna, nie dało się leżeć na brzuchu! Podpłynąłem do stóp wystających z wody, z mostu wszyscy zeskoczyli i popłynęli za mną. Gdy z bliska zobaczyłem i wymacałem w jakiej sytuacji znalazł się Borys, aż sparaliżowało mnie i mało nie utonąłem, gdyż na chwilę przestałem ruszać rękami i nogami, sparaliżowało na wyobrażenie, że oto stoję przed Kasztanem i mówię mu, iż Borys skoczył z mostu i wbił się głową, po szyję, pomiędzy dwa pale... i już słyszałem pytanie kierownika: a kto go na ten most zaprowadził? Udało nam się wysunąć Borysa na tyle do góry, że głowa znalazła się nad lustrem wody, ale musieliśmy podpierać go pod brodę, gdyż, oszołomiony i ze skórą na bokach głowy odartą do krwi, dławiący się wodą, nie bardzo wiedział co się dzieje. Gdy po chwili zrozumiał, usiłował z naszą pomocą wysunąć się między palami bardziej do góry, wyszedł centymetr, dwa najwyżej, bo jeden z pali miał wyraźne zgrubienie od sęka, ale i tyle było dobrze, przynajmniej fale zrodzone naszymi ruchami nie zalewały mu ust. Widząc, że nie wydostaniemy Borysa górą, zaczęliśmy go ciągnąć za tułów i nogi, żeby wydrzeć jego głowę spomiędzy pali, lecz Borys zawył z bólu i zrozumieliśmy, że w ten sposób możemy tylko głowę urwać. Unosiliśmy się bezradnie na wodzie, nie mając żadnego pomysłu na uratowanie Borysa. Ja coraz wyraźniej słyszałem głos Kasztana: kto go na ten most zaprowadził? Wreszcie Borys sam wymyślił: piła, powiedział zadławionym głosem i nam od razu rozjaśniło się w głowach. Przyniosę z domu, krzyknął chłopak, Gienek miał na imię, którego poznałem jeszcze na jesieni i szybko popłynął do wału przeciwpowodziowego. Jego koledzy uspokajali Borysa, że to niedługo potrwa, bo Gienek mieszka zaraz za wałem. Rzeczywiście, po pięciu minutach wrócił Gienek, a z nim przyszedł jego ojciec i starszy brat. Zdjęli tylko buty i w ubraniach dopłynęli do pali. Ojciec Gienka, trzymając w ręku piłę do cięcia drzewa, uważnie przyjrzał się Borysowi, który już prawie omdlewał od wysiłku, z jakim musiał unosić głowę do góry, i z powrotem wysłał Gienka do domu, kaząc mu przynieść dętkę do roweru, ale pieronem! bo się utopi! I natychmiast ojciec i brat Gienka zabrali się do piłowania pala, tuż pod miejscem, w którym uwięziona była szyja Borysa. Powoli szło piłowanie i ciężko, obaj, mimo iż byli zanurzeni w wodzie, prędko spocili się, w tym czasie oczy Borysa coraz częściej uciekały do góry, jak gdyby usypiał. Gdy Gienek przyniósł dętkę do roweru, ojciec na oczach przerażonego Gienka urwał ją na zębach

piły i metalową rurkę, która zwykle służy do pompowania, włożył Borysowi do ust, a mnie kazał trzymać końcówki dętki nad wodą, dzięki czemu Borys już mógł opuścić głowę do wody i oddychać za pomocą tego urządzenia. Nie wiem jak długo piłowali, lecz ja przez ten czas odbyłem dziesiątki rozmów z Kasztanem, dyrektorem Kęcińskim, milicjantami i, chyba najgorszą rozmowę, z ojcem Borysa, który, jak już wiedziałem, był nie bardzo zdrowy na umyśle. Wreszcie, po wieczności, odpiłowany koniec pala uniósł się do góry i ojciec Gienka powiedział starszemu synowi, żeby to drzewo przyciągnął do wału i zaniósł do domu. Borys, z głową i szyją już całą we krwi, osłabiony, nie miał siły płynąć. Doholowaliśmy go do brzegu, gdzie ojciec Gienka powiedział, aby Borys poszedł z nim do domu, bo się wykrawi. Ja z radości, że to wszystko dobrze się skończyło, że nie muszę opowiadać o śmierci Borysa ani dyrektorowi, ani milicjantom, pocałowałem ojca Gienka w rękę. No no, burknął, unosząc rękę do góry, ja nie ksiądz. W domu, ojciec Gienka, kazał się Borysowi nachylić nad miednicą, po czym wylał na jego głowę i szyję pół butelki wódki, resztę wypił. Po chwili obandażował szyję Borysa dwoma rękawami starej koszuli i powiedział, że Borys jest mu winien butelkę wódki i dętkę. Borys pokiwał głową, że oczywiście, tak.

Wracając do internatu znowu myślałem o tym, że szczęśliwie ominęły mnie te wszystkie okropne rozmowy. Nie rozmawiałem z Borysem, dopóki on gdzieś w połowie drogi nie przystanął i nie powiedział do mnie z pretensją, że jak się idzie skakać z mostu trzeba brać z sobą piłę i dętkę do roweru.

POKUSA

W internacie mieszkalem w pokoju z Borysem, Marciniakiem i Piaskiem. Z początku, dopóki do nich nie przywykłem, wydawali mi się bardzo dziwni. Z początku nic o sobie nie wiedzieliśmy, ale już po miesiącu mogliśmy o sobie powiedzieć tyle, jakbyśmy pochodzili z jednej rodziny, choć nie było żadnych specjalnych zwierzeń po zgaszeniu światła, ot, po prostu, jak jest się razem dzień i noc... no bo jeszcze we czwórkę chodziliśmy do tej samej klasy. W nocy najczęściej gadaliśmy o duchach. Ja nie miałem z nimi większych przygód, dwa razy jakieś zbłąkane dusze, które ze sobie tylko znanych powodów nie mogły zaznać spokoju wiecznej śmierci, zamieszkały na strychu dworu u dziadka w Rogach, kiedy ja tam akurat byłem na wakacjach, ale babka kazała strych wyszorować wodą święconą i duchy zaraz się wyniosły, później przez kilka nocy błąkały się jeszcze po ogrodzie i tyle, nikt się ich nie bał oprócz mnie, a dziadek nawet mówił babce, żeby dała tym duchom święty spokój, bo w końcu gdzieś się muszą podziać. U Marciniaka w oborze pojawiały się zmyry, wysysały mleko z krów, że czasami rano nawet garnuszka mleka nie dało się udoić, na zmyry najlepszy był sznur wisielca, na wodę święconą w ogóle nie reagowały, ale w Marcinkowicach, gdzie mieszkał Marciniak, już dawno nikt się nie powiesił i w zastępstwie używano kawałków ubrań ludzi, których pociąg przejechał na torach, takich przejechanych na śmierć nigdy nie brakowało, co miesiąc, zwłaszcza po festynie, znajdowano trupa na torach, swojego albo obcego, tylko te kawałki ubrań nie miały takiej mocy działania jak sznur wisielca, jednak Marciniak nie był pewien czy to zawsze zmyry wysysały mleko, bo raz widział ojca i starszych braci, kilka godzin po ich powrocie z baru, jak leżeli w stodole na sianie i mieli wąsy i marynarki białe od mleka, a nazajutrz rano matka wróciła z obory z pustym wiadrem, lecz Marciniak nic nie powiedział, gdyż ojciec na drugi dzień po przepiciu był gorszy od dziesięciu zmór. Piasek, syn komendanta posterunku milicji w Górkach, nie wierzył w żadne duchy i zmyry, jego zdaniem za tym wszystkim, co miało związek z duchami, kryły się

sprawy kryminalne, ojciec mu opowiadał jak do jednej kobiety przychodził w nocy duch zmarłego męża i ona od tych wizyt zaszła w ciążę i przestraszyła się, że urodzi małego ducha, z tego powodu chciała nawet popełnić samobójstwo, ale na posterunku milicji zwiędzieli się o ducha i zastawili na niego pułapkę i okazało się, że to sąsiad z drugiego domu przychodził, później musiał płacić alimenty. Natomiast duch, który pojawił się w domu Borysów, różnił się od wszystkich innych, o jakich słyszałem. Na podstawie opowieści tego ducha ojciec Borysa pisał książkę o polskich oficerach, którzy zostali w czasie ostatniej wojny internowani w Związku Radzieckim i później, gdy Niemcy napadły na Rosję, zostali rozstrzelani przez faszystów niemieckich. Taką dotychczas znał historię ojciec Borysa, a duch, który był wujem ojca Borysa, opowiadał całkiem coś innego, że to nie Niemcy, tylko Rosjanie rozstrzelali wziętych do niewoli oficerów polskich i miało to miejsce między innymi w Katyniu, a dokładnie w lesie niedaleko wsi Katyń, w ogóle ten duch, mówił Borys, narobił straszliwego zamieszania w ich rodzinie, prawie ukończoną opowieść o Katyniu zabrali milicjanci, a wraz z nią ojca Borysa, któremu nikt nie chciał uwierzyć, że pisał tę książkę pod podszeptem ducha wuja swego, naprawdę zapodżianego gdzieś bez śladu w Związku Radzieckim, że ojciec Borysa upierał się przy duchu milicjanci wysłali go na leczenie do szpitala dla wariatów, a w tym czasie duch z kolei matce dyktował opowieść o zdarzeniach w Katyniu, matka pisała i każdą zapisaną kartkę wносиła gdzieś do znajomych, tak, że milicjanci myśleli, iż duch przestał ich nachodzić. Gdy Borys był w szóstej klasie podstawówki jego matka wyjechała na wycieczkę do Francji, tam wydrukowała opowieść ducha o Katyniu, do dzisiaj nie wróciła z Francji, gdyż obawiała się, że i ją mogą uznać za chorą i zamknąć w szpitalu dla wariatów, za to przysyłała Borysowi spodnie i kurtki dżinsowe, całe góry zabawek, a ostatnio zegarek na rękę z budzikiem i dniami i miesiącami. Borys był zły na ducha wuja ojca, bo przez niego w końcu ojciec naprawdę zachorował na głowę, po wyjściu ze szpitala pytany i nie pytany rozповідаł, że to Amerykanie bombą atomową zabiła Polaków w Katyniu, i przez tego ducha samego Borysa, już tu w internacie, nachodzili milczący mężczyźni i grzebali w jego rzeczach, a przy okazji i w naszych i jeszcze nas wypytywali do kogo Borys listy pisze i od kogo otrzymuje. Domyśliłem się, że oni chcieli wiedzieć, czy teraz duch nie dyktuje czegoś Borysowi, gdyż ich najbardziej interesowało to, co pisane. Ten duch Borysów musiał być bardzo ważny, skoro z jego powodu tyle osób zajmowało się Borysami, ale wyczuwałem, że Borys wolałby aby duch nigdy nie pojawił się w ich domu, przecież przez niego utracił właściwie ojca i matkę, i pewnie z żalu za nimi Borys dlatego tak często zamyślał się na godzinę i dłużej, że wydawało się, iż go nie ma w pokoju, że to co widać to tylko napompowana powłoka Borysa. Nam jednak imponowało, że duch Borysów był taki ważny,

bo i przez to Borys był ważny, a przez Borysa i po części my, którzy mieszkaliśmy z nim w jednym pokoju. Z ducha i wizyt milczących mężczyzn tak się działo, że cokolwiek robił Borys od razu nabierało to wielkiego wymiaru. Tak też było z jego wieszaniem się, niby nic...

Kilka dni wcześniej, w nocy, rozmawialiśmy o wisielcach, zastanawiając się dlaczego akurat sznury, na których ludzie powiesili się, mają moc odganiania duchów, ale Borysa bardziej interesowało, czy boli, kiedy człowiek, wiesza się i jak długo trzeba wisieć na sznurze, żeby umrzeć. Spróbuj to zobaczysz, powiedziałem wtedy, zły, że odwodzi rozmowę od tak ciekawych rzeczy. I Borys spróbował, używając do tego mojego krzesła, choć stało najdalej od drzwi i ani nie było wyższe ani niższe od trzech pozostałych krzesel. Później, w czasie śledztwa, milicjantów mocno interesowało, dlaczego Borys wybrał właśnie moje krzesło i czy przypadkiem ja mu sam nie podstawiłem tego krzesła, skoro wcześniej namawiałem go do powieszenia się. Nie wiem skąd milicjanci wzięli to namawianie, bo przecież moje „spróbuj to zobaczysz” nie było powiedziane na poważnie. Pewnie Piasek powtórzył im dosłownie i oni to zrozumieli dosłownie. W ogóle Piasek puszył się w czasie śledztwa, że on, jako syn komendanta posterunku milicji, zna wszystkie metody przesłuchań i w związku z tym wie, że prawdy nie da się ukryć i radził nam mówić tylko prawdę. My bez jego rady i tak nic innego nie mówiliśmy, ja jedynie zmilczałem, że widziałem u Borysa kopertę zaadresowaną do Paryża, sam nie wiem dlaczego.

Co do krzesła, to akurat wcale mnie nie zdziwiło, że Borys przy wieszaniu posłużył się moim krzesłem. Było najlepsze w pokoju, ale nie, że najwygodniejsze, lub najładniejsze, czy najwyższe, co w tym wypadku mogło mieć znaczenie, w ogóle niczym nie odróżniało się od innych, jeśli nie liczyć numeru inwentaryzacyjnego wypisanego pod spodem białą farbą, mimo to było najlepsze i Borys, Piasek i Marciniak dobrze o tym wiedzieli. W domu zawsze, a poza tym w kinie, jeżeli były miejsca do wyboru, czy podczas wizyt u znajomych, a teraz w internacie, doбираłem najlepsze krzesła. Jakoś wyczuwałem je pośladkami i gdy na przykład w zatłoczonym kinie przyszło mi siedzieć na złym krześle, to miałem całe oglądanie filmu zepsute, więcej myślałem o krześle niż o filmie, a kiedy miałem w kinie krzesła do wyboru, przesiadałem się na trzy, pięć krzesel, dopóki nie znalazłem dobrego, aż sykała na mnie bileterka. W internacie, jako iż przyszedłem pierwszy do pokoju, mogłem wybrać dowolne z czterech krzesel i łóżek. Łóżka mnie nie interesowały, wybrałem jedno z dwóch stojących pod oknem, nie interesowały mnie, gdyż na każdym łóżku spało mi się dobrze i z każdego wychodziłem z wielką niechęcią. Ale krzesła... z pół godziny próbowałem wszystkie cztery, nim upewniłem się co do najlepszego i później nigdy nie pomyliłem się które jest moje. Czasami podczas porządkowania Piasek poprzestawiał krzesła przy stole. Piasek miał z nas

największe zamięrowanie do porządku, a nawet duże zdolności w tej dziedzinie, jak pościelił łóżko, to tylko wynieść i pokazywać na apelu jako wzór, buty miał zawsze wyglancowane, a na spodniach złożonych pod prześcieradłem potrafił tak spać, że rano spodnie wyglądały jak prosto spod żelazka, nadawał się jak nikt do wojska, no więc, gdy Piasek poprzestawiał krzesła, ja, siadając do odrabiania lekcji, natychmiast rozpoznawałem, że mam pod sobą nie swoje krzesło i zaraz się zamieniałem. Marciniaka i Piaska denerwowało to i czasami nie chcieli mi oddać krzesła, mówiąc, że robię z siebie księżniczkę na grochu, aż założyłem się z nimi, że siadając i nie patrząc na krzesło rozpoznam swoje. Oni odpisali numer inwentaryzacyjny krzesła, które uznałem za moje i zaczęliśmy robić próby. Ani razu nie pomyliłem się, wygrałem od Piaska i Marciniaka po twardym ołówku do rysunku technicznego. Borys wówczas siedział zamyślony, jak on to potrafił, dumając nie wiadomo o czym, może o matce w Paryżu, i nagle, po kolejnym rozpoznaniu przeze mnie krzesła, stwierdził, że widocznie krzesła też mają duszę. Mnie zaskoczyło takie stwierdzenie i pomyślałem, że może i racja, ale Piasek, który nie wierzył w nic, czego nie można dotknąć lub zobaczyć, choć i jego w związku z duchem Borysów naszły pewne wątpliwości w tej dziedzinie, powiedział, że to żadne dusze tylko ja posiadam wielki talent w dupie i z takim talentem powinienem pracować w milicji jako specjalista, że oni tam, jak mu mówił ojciec, potrzebują ludzi z różnymi, nietypowymi zdolnościami, w Krakowie na przykład mają sierżanta, który czyta listy przez zamkniętą kopertę. Borys zdziwił się, że po co milicjantom czytać przez zamknięte koperty, skoro mogą je otworzyć. Na to rozzłościł się Piasek, mówiąc, że milicja nie czyta cudzych listów i dał za przykład swojego ojca, który nawet nie otwierał listów przychodzących do matki. Jednak na milicjantach, którzy mnie przesłuchiwali w związku z wieszaniem się Borysa, mój talent w tyłku, o czym musieli się dowiedzieć od Piaska, nie zrobił większego wrażenia, a wręcz odwrotnie, z tego powodu, wydawało mi się, stałem się w ich oczach bardziej podejrzany i o współudział w wieszaniu się Borysa i w sprawie jakichś listów, których szukali w naszym pokoju. Pytali czy widziałem kiedyś list zaadresowany „Wolna Europa”. Nigdy takiego nie widziałem, a ponadto nie wyobrażałem sobie, żeby list w ten sposób zaadresowany trafił gdziekolwiek, to tak jakby napisać na kopercie „Wolna Polska” i wrzucić do skrzynki pocztowej. Powiedziałem milicjantom to swoje przemyślenie, a oni do mnie nie wiem dlaczego ze złością: no, no, wolnej Polski ci się zachciewa.

Podczas przesłuchania milicjanci pytali o masę różnych rzeczy i to kilka razy o jedno i to samo, jakby nie mogli spamiętać, nawet sprawdzali moje wiadomości z zakresu historii i wydarzeń teraz się dziejących, w tym przedmiocie byłem mocny, dopiero co wygrałem

szkolny konkurs z wiedzy obywatelskiej o Polsce i świecie współczesnym, w czym mi dopomogło codzienne czytanie miejscowej gazety, do czego jeszcze w domu przywykłem. Milicjanci nie mogli mnie zagiąć z tego kto wygrał ostatnią wojnę, kto rządzi w Związku Radzieckim i kto w Ameryce, ani z tego jaki jest lepszy ustrój, socjalistyczny czy kapitalistyczny, ani z tego dlaczego jest lepszy ustrój socjalistyczny, tutaj nawet to ja ich sam zagiąłem, odpowiadając, że ten ustrój jest lepszy, który pierwszy wysłał psa i człowieka w kosmos, a myśmy, to znaczy dokładnie Związek Radziecki, wysłali Łajkę i Gagarina, przy Łajce i Gagarinie milicjanci spojrzeli na mnie z podziwem, a może tak mi się wydawało, w każdym razie spojrzeli z zainteresowaniem, ale później pytali o Katyń i tak mi zakołowali w głowie... O Katyniu pierwszy raz słyszałem od Borysa, wcześniej nawet tego słowa nie znałem. Pomyślałem, że skoro milicjanci pytają o Katyń, a przedtem wspominał o tym Borys, to jest to coś, co ja, zwycięzca konkursu o Polsce i świecie współczesnym, powinienem mieć w jednym palcu. O Katyń pytało trzech naraz milicjantów w cywilu, jeden przez drugiego, że ledwie zdążyłem odpowiadać, i w końcu taki magiel zrobili z mojego mózgu, że gdy po godzinie pytań kazali mi się ostatecznie zdecydować kto kogo zabił w Katyniu, powiedziałem, co zresztą wydało mi się uzasadnione tym, co ostatnio czytałem w gazecie, że Niemcy Rosjan. Wówczas zapytali, czy o Katyniu uczył nas historyk Wierusz. Wierusz, którego bardzo lubiłem, został kilka miesięcy wcześniej aresztowany, zaraz po tym jak aresztowano właściciela fotoplastikonu za pokazywanie panienek we francuskich majtkach, nie chciałem Wieruszowi zaszkodzić i nie wiedziałem, czy dla niego będzie lepiej gdy powiem, iż nas uczył o Katyniu, czy, że nie uczył, bo już po pytaniach milicjantów zorientowałem się, że z tym Katyniem to jakaś dziwna sprawa, czemu na przykład nie zapytali o bitwę pod Stalingradem, o Berlin, czy inną ważną bitwę w ostatniej wojnie. W porę uzmysłowiłem sobie, że choćby nawet Wierusz chciał nas uczyć o Katyniu, to nie był jeszcze czas ku temu, gdyż dopiero przerabialiśmy Jagiellonów i tak odrzekłem milicjantom. Na koniec zadali mi jeszcze jedno pytanie, czy ktoś z mojej rodziny mieszka za granicą? Odpowiedziałem, że nie, niestety, gdybym miał rodzinę za granicą, to chodziłbym w dzinsach jak Borys. Oni na to ze złością: dzinsów ci się zachciewa.

Kilka dni później, gdy wreszcie skończyły się przesłuchania i Pułkownik pozwolił nam zamykać drzwi pokoju na korytarz, gdyż od wieszania się Borysa musieliśmy trzymać drzwi otwarte, w dzień i noc i przez ten czas byliśmy wystawieni na widok jak w teatrze, kto przechodził obok mówił „cześć wisielcy”, i gdy wreszcie mogliśmy swobodnie rozmawiać, zapytałem Borysa, dlaczego właściwie wieszal się. Okazało się, że Borys chciał po prostu zobaczyć jak to jest, kiedy człowiek się wiesza i jeszcze rozchodziło mu się o jakieś dziwne

rzeczy, o to, co człowiek myśli o życiu gdy zakłada sobie pętlę na szyję, czy żałuje życia, czy raczej cieszy się, że już nie będzie musiał żyć? Kiedy nam to tłumaczył, pomyślałem, że duch wuja jego ojca rzeczywiście wprowadził wielkie zamieszanie u Borysów i jeszcze przyszło mi do głowy, ale na krótko i tak bardzo płytko, że skoro ojciec Borysa był w szpitalu dla wariatów... Z krzesłem, jak pomyślałem, nie było nic przypadkowego. Borys wziął do wieszania moje krzesło, gdyż nie chciał do tego eksperymentu używać byle jakiego krzesła, tylko, jak się sam wyraził ileś dni do tyłu, krzesła z duszą. Postawił pod drzwiami i wyszedł na nie, pętlę zrobioną z paska od spodni nałożył sobie na szyję, a koniec paska przycisnął drzwiami pod górną futryną. Tak stał na krześle i głowę pochylał do dołu, żeby poczuć na szyi ucisk pętli, stał, stał, aż zamiast odczuwać żal za życiem lub radość, że żyje, zamiast jakichś nowych myśli, nagle spojrzał na siebie z boku i zobaczył coś podobnego do psa na uwięzi, zrobiło mu się głupio z tego powodu i pragnął natychmiast zejść z krzesła i skończyć z tą zabawą, lecz ręką nie mógł dosięgnąć klamki aby otworzyć drzwi, które trzymały niby w imadle koniec paska, a nie pomyślał, żeby po prostu zdjąć pętlę z szyi. Za którymś razem mocniej pochylił się, chcąc pokonać opór albo wyrwać pasek z drzwi i krzesło usunęło mu się spod nóg. Dalej już nic nie pamiętał aż do momentu, gdy ujrzał nad sobą Pułkownika i lekarza w białym kitlu.

Wieczorem, leżąc, Borys zamyślił się i powiedział: ciekawe jak to jest, kiedy człowiek naprawdę wiesza się, a nie udaje, że wiesza?

PULKOWNIK

Od pierwszego dnia nie spodobałem się Pułkownikowi. Był wychowawcą na naszym, drugim piętrze internatu, gdzie mieszkali uczniowie pierwszej i drugiej klasy technikum. Kasica z drugiej klasy, z którym pobiliśmy się w umywalni, bo wrzucił mi mokre mydło do kieszeni spodni, i zaraz ja jemu, powiedział, że Pułkownik to żaden pułkownik, służył zawodowo w wojsku, to prawda, ale wyszedł z wojska w stopniu sierżanta i w internacie dorabia sobie do emerytury, nie ma jednak nic przeciwko temu aby zwracać się do niego „panie Pułkowniku”, a nawet to lubi, najbardziej gdy rodzice tak mówią do niego, wówczas pręży się, patrzy surowo i odpowiada szczekliwym głosem, jakby naprawdę był Pułkownikiem. Nie miał na głowie ani jednego włoska, grzebieniem, który nosił w górnej kieszonce marynarki, zaczesywał na boki długie jak wąsy brwi, widocznie natura chciała w ten sposób wynagrodzić za łysinę na głowie, jeśli przez dłuższy czas nie zaczesał brwi, opadały mu one na szkła drucianych okularów i z daleka wyglądało, jakby pająki siedziały na okularach. Te pająki zobaczyłem z bliska już pierwszego ranka, odkąd zamieszkałem w internacie, we śnie coś mną telepnęło i krzyknęło: pobudka! gimnastyka! Otworzyłem oczy i patrzyłem na Pułkownika ze strachem, nie rozumiejąc, czego to coś z pająkami na oczach chce ode mnie i mój strach Pułkownik chyba dostrzegł, gdyż przez chwilę wpatrywał się we mnie z nienawistnym grymasem. Gdy później rozmyślałem, dlaczego Pułkownik najwyraźniej uwziął się na mnie, przede wszystkim jeśli rozchodziło się o ścielenie łóżka, doszedłem do wniosku, że przyczyną tego był mój strach po obudzeniu się pierwszego ranka. Przestraszyłem się, widząc nagle nad sobą coś szkaradnego i Pułkownik zrozumiał, że to strach na jego widok, a ludzie, o czym już wiedziałem, nie lubią kiedy się zauważa i to jeszcze tak wyraźnie, że są brzydcy.

Pułkownik niewątpliwie uwziął się na mnie, ale też jest faktem, że nie potrafiłem łóżka zaścielić tak, żeby na prześcieradle i poszewce nie było ani jednej fałdy. Jak poszewkę dobrze

naciągałem, to prześcieradło się zbiegło, lub odwrotnie, a jak prześcieradło i poszewka były w porządku, to poduszka zapadła się w jakimś miejscu. Ale, kilkakrotnie sprawdzałem w innych pokojach, mało kto miał łóżko tak porządnie zaścielone jak łóżko Piaska, na którym poduszka wyglądała jakby w środku miała napompowaną dętkę. Widziałem też łóżka jeszcze gorzej zaścielone niż moje, mimo to podczas ранego przeglądu porządków Pułkownik najczęściej rozbebeszał moją pościel, krzyżąc przy tym, że takiego diamdżiagi jak ja to jeszcze w życiu nie spotkał. Ze złego ścielenia łóżka stałem się znany w całym internacie. Zdarzało się, że uczniowie stali już ustawieni w czwórki na ulicy, gotowi wymaszerować do szkoły, a ja po raz kolejny naciągałem prześcieradło i poszewkę i tłumiąc płacz zastanawiałem się, dlaczego Pułkownik nigdy nie rozwalił pościeli Marciniakowi, Piaskowi lub Borysowi, skoro w gruncie rzeczy nie kierował się tym, czy łóżko było dobrze, czy źle zaścielone, a tylko własnym widzimisię i złośliwością, jak w moim wypadku. Raz, gdy padał deszcz i wszyscy uczniowie z internatu znowu czekali na mnie na ulicy, przemakając na wylot, jak tylko wstąpiłem na swoje miejsce do czwórki, podszedł do mnie przewodniczący rady internatu, chłopak z piątej klasy, taki co to już golił się, i powiedział, że jeśli jeszcze raz zdarzy się, iż będą musieli czekać na mnie, spuszcza mi taką kocówę, że zapragnę z powrotem do brzucha matki. Widziałem już takiego pobitego mokrymi ręcznikami przez koc, lekarka kazała go maślanką obkładać, żeby sińce szybciej znikły. No i mogłem mieć pewność, że kocowa mnie też nie ominie, bo jeśli nie jutro, to za kilka dni Pułkownik znowu...

Tego dnia prosto ze szkoły poszedłem na dworzec kolejowy, postanawiając wrócić do domu. Do pociągu do mojego miasteczka było kilka godzin i siedząc na dworcu mimo woli wyobrażałem sobie jak to będzie wyglądać, gdy wejdę do domu i powiem ojcu, że uciekłem ze szkoły, bo nie potrafię porządnie łóżka zaścielić w internacie, a poza tym nauka mi dobrze szła. Pomyślałem, że na takie coś ojciec najwyżej przeciwiczy ze mną ścielenie łóżka i następnego dnia odwiezie do szkoły, jeszcze będzie musiał tłumaczyć się za mnie przed Pułkownikiem i wychowawczynią klasy, panią Szparkową, która w przeciwieństwie do Pułkownika lubiła mnie, myśląc, że jestem mocny chłopak, gdyż Szparkowa nie znosiła mazgajowatych uczniów, takich, co to nie potrafią odebrać ukradzonej sobie bułki lub płaczą, gdy dostaną dwóję. Szparkowa była w młodości wicemistrzynią Polski w rzucie oszczepem, pokazywała nam swoje sportowe dyplomy. Po mojej ucieczce ze szkoły z, jak się wyda i ojcu i Szparkowej, tak błahego powodu jak ścielenie łóżka, wychowawczyni już na pewno nie będzie miała o mnie dobrego zdania. A Pułkownik tylko się ucieszy, widząc mnie idącego za ojcem i nazajutrz moja pościel tak zafurczy w powietrzu... To już chyba lepiej, pomyślałem,

rzucić się pod pociąg i zostawić w teczce list, że Pułkownik znęcał się nade mną i z jego powodu odbieram sobie życie pod parowozem. Ten pomysł spodobał mi się, już widziałem Pułkownika jak stoi skruszony, załamany, z pajakami na okularach przed dyrektorem Kęcińskim i radą pedagogiczną i usiłuje wytłumaczyć, dlaczego właśnie moje łóżko uznawał najczęściej za źle pościelone, dlaczego w ogóle wymagał ścielenia łóżek w kostkę, przecież to jest internat technikum chemicznego, a nie szkoła kadetów. Napisałem taki list i włożyłem między podręczniki, ale gdy wyszedłem na peron, żeby zrealizować swój zamysł i spojrzałem na obracające się z hukiem koła lokomotywy i wagonów, wpierw ogarnęło mnie obrzydzenie, że mógłbym leżeć w postrzępionych kawałkach na torach, a jeszcze mi się przypomniało, że ludzie w Marcinkowicach zabierają ubrania zabitych na torach, by nimi odganiać złe duchy, po obrzydzeniu naszło mnie z kolei zdumienie, że przez głupie ścielenie łóżka chcę się zabić. Z powrotem usiadłem na dworcowej ławce i po raz nie wiadomo który zadałem sobie pytanie: dlaczego w naszym pokoju tylko moje łóżko jest rozwalone przez Pułkownika? Czułem, że jeżeli znajdę odpowiedź na to pytanie, wygram z łysym sierżantem, mieniącym się pułkownikiem. Że pierwszego dnia, gdy stanął nad moim łóżkiem i zauważył swoją brzydotę w moich oczach, moje spojrzenie potwierdziło, to, co skrycie sam o sobie myślał, nie mogło być jedyną przyczyną zawziętości Pułkownika na mnie.

Więc dlaczego nie łóżko Piaska? Ojciec Piaska był milicjantem, też sierżantem, ale komendantem posterunku milicji, to coś więcej niż zwykły sierżant, poza tym Piasek rzeczywiście najlepiej ścielił łóżko, a gdyby nawet zdarzyło mu się źle pościelić, to by powstrzymał rękę Pułkownika i powiedział ze złością, że jego, syna komendanta posterunku, nikt nie będzie uczył jak ścielić łóżko. Marciniak? On na każde podniesione słowo zaraz zaczyna się trząść ze zdenerwowania i płakać, lecz płakać cicho, tak, że lecą mu tylko łzy, Marciniak mówi, iż na te łzy nic nie może poradzić, bo już od dzieciństwa leje mu się z oczu z byle powodu, wystarczy jak ojciec otwiera szafę gdzie wisi pas, i to jego trzęsienie i płacz jest takie rozbrajające, że działa nawet na Pułkownika. Natomiast Borys jest w internacie na jakichś specjalnych prawach, na przykład wolno mu wysyłać listy tylko przez kierownika internatu, Pułkownik może w każdej chwili zrobić rewizję w jego rzeczach, ale żeby Borysowi rozwalać łóżko? No nie, Borys był na to za ważny. Ja nie miałem ojca milicjanta, ani ojca w szpitalu dla wariatów, choć kiedyś mój ojciec też był kimś, pracował wówczas w ważnym budynku z czerwoną chorągwią na dachu, ale teraz to najchętniej zaszyłby się w ogródku ze swoimi gazetami i z nikim nie rozmawiał, poza tym nie miałem matki we Francji, która za kapitalistyczne pieniądze napisała, co mówili milicjanci podczas przesłuchania, nieprawdziwą książkę o Katyniu, podyktowaną jej przez ducha, także nie potrafiłem trząść się

i płakać jak Marciniak lub zdecydowanie sprzeciwić się jak Piasek.

Po kilku godzinach siedzenia na dworcu doszedłem do wniosku, że w gruncie rzeczy ja sam, że swoim niewyraźnym zachowaniem, całym swoim niekształtnym sobą, aż proszę Pułkownika, żeby właśnie moje łóżko wybierał do różrzucania pościeli. I przypomniało mi się co kiedyś dziadek powiedział: dziecko, ty dużo rozumiesz jak na swój wiek, ale nie masz charakteru, musisz być jak sprężyna, żebyś, gdy ktoś na ciebie naskoczy, odbił się jak od sprężyny, inaczej ludzie nie będą cię szanować. Te słowa dziadka, który w swoim życiu był czymś więcej aniżeli sprężyną, może nawet czymś więcej niż resorem samochodowym, w jakiś dziwny sposób przydały mi siły, poczułem się jak na polowaniu z dziadkiem na kaczki, mocny w strzelbę, która na odległość zdejmowała z nieba te piękne, upadające głucho na ziemię ptaki, że piękne, kolorowe, można było dopiero zobaczyć z bliska, gdy leżały pod nogami.

Gdy z dworca przyszedłem do internatu, brama była zamknięta. Zadzwoiłem. No, już na ciebie czekają, powiedział portier, otwierając bramę. Gdzie byłeś? – zapytał Pułkownik, gdy tylko wszedłem na drugie piętro. Na spacerze, odrzekłem spokojnie. Gdzie? – Pułkownikowi jakby zdawało się, że źle dosłyszał. Na spacerze, powtórzyłem i po chwili dodałem, że całymi tygodniami siedzę w internacie, więc chyba mi się należy trochę świeżego powietrza. Zostawiłem zaskoczonego Pułkownika na korytarzu i wszedłem do pokoju. Godzinę czekałem, że zostanę wezwany do kierownika internatu, ale nic takiego nie stało się. Pomyślałem, że widocznie Pułkownik przełożył karę na jutro rano, kiedy będzie sprawdzał porządki w pokojach, czyli przede wszystkim czy łóżka są dobrze pościelone, a głównie moje i nagle wpadłem na pomysł, żeby z Piaskiem zamienić się łóżkami. Moje łóżko stało przy oknie, Piaska przy drzwiach, więc z ochotą zamienił się ze mną i to w ciągu kilku minut, żebym czasami nie zmienił zdania. Nazajutrz rano Pułkownik wszedł do pokoju i prawie nie patrząc rozbebeszył pościel na łóżku Piaska, który w tym czasie był w stołówce na śniadaniu. Piasek, wróciwszy do pokoju, zaklął i natychmiast poszedł do Pułkownika poskarżyć się, że ktoś mu łóżko rozwalił. Pułkownik przyszedł zobaczyć i patrzył oniemiały... Kolejnego dnia, Borys sam mi zaproponował, na jedną noc, zamianę łóżek, dzięki temu przez trzy kolejne ranki Pułkownik nie mógł trafić na moje łóżko, rozwalając inne i mnie z tego powodu ogarnęła taka zwycięska radość, że ułożyłem wiersz na Pułkownika.

*Trzeba tysych pokryć papą,
lecz funduszy nie ma na to.
Gdy fundusze odnajdziemy,
tysych papą pokryjemy.*

Przepisałem wiersz na kilku kartkach i ukradkiem, żeby nikt nie zauważył, rozwiesiłem w internacie. Po dwóch godzinach kartek już nie było, ale, nieoczekiwanie dla mnie, od następnego dnia rano wiersz stał się czymś w rodzaju porannego hymnu, skandowanego podczas gimnastyki. Pułkownik, z pajakami na okularach, miotał się wściekły po całym korytarzu, lecz nie potrafił nikogo przyłapać na mówieniu wiersza, bo gdy on znajdował się po jednej stronie długiego korytarza, wiersz rozbrzmiewał z drugiej strony, a gdy stał pośrodku korytarza, wiersz wypowiadali uczniowie gimnastykujący się na końcach korytarza.

Tego dnia, gdy w korytarzu po raz pierwszy rozległ się wiersz o łysych, Pułkownik rozwalił wszystkie łóżka w dwudziestu pokojach i to go tak zmęczyło, że później tylko siedział przy otwartych drzwiach w swoim służbowym pokoju i trzymał się za serce. Na dodatek został jeszcze okrzyknięty przez Kasztana, że przesadza z dbałością o dobre ścielenie łóżek, gdyż nim wszyscy z naszego piętra uporali się z łózkami, minęła pora wyjścia do szkoły i cały internat spóźnił się na lekcje.

Pułkownik podejrzewał, że wiersz to moja sprawka, gdyż podczas następnej gimnastyki porannej najczęściej zatrzymywał się naprzeciwko mnie i patrzył takim wzrokiem, jakby chciał, bardzo chciał udusić. Ja nie odwracałem oczu od spojrzenia Pułkownika, chcąc mu w ten sposób dać do zrozumienia, że to rzeczywiście ja napisałem wiersz. Poczulem się wtedy naprawdę zwycięzcą, jakaś dziwna słodkość ogarnęła moje ciało, jak wtedy, kiedy będąc z dziadkiem na polowaniu udało mi się ustrzelić kaczkę. Ale było mi jeszcze za mało tej słodkości, pragnąłem, aby Pułkownik czuł się tak bezsilny, jak ja się czułem, gdy rozwalał mi pościel a chłopak z piątej klasy groził kocową. I napisałem na kilku kartkach „Komunikat”:

„Obwieszcza się, że Pułkownik wyszedł z wojska w stopniu kaprała”.

„Komunikat”, podobnie jak wiersz, napisałem pismem technicznym, żeby nikt nie mógł wykryć po charakterze pisma i rozwiesiłem w tych samych miejscach co wiersz. Specjalnie napisałem nieprawdę, że Pułkownik był kapralem, domyślając się, że obniżenie stopnia wojskowego zaboli go najbardziej. Nie pomyliłem się, w czasie odrabiania zadań chodził od pokoju do pokoju i snuł krótkie wspominki z wojska, za każdym razem podkreślając, że będąc sierżantem dowodziłem zwiadem..., lub major rozkazał mi: sierzancie, weźcie swoich ludzi i opanujcie wzgórze K5...

Rano, rozmyślając nad treścią następnego komunikatu, wszedł Pułkownik, zapytał które jest moje łóżko, bo ostatnio tak często zmieniałem łóżka, iż nigdy nie wiedział gdzie śpię i zamiast, czego już byłem pewien, zrobić z pościeli niekształtną piramidę, powiedział: widzę, że już nauczyłeś się ścielić łóżko. I wyszedł. A ja, patrząc na drzwi zamknięte przez Pułkownika, pomyślałem, że nigdy nie trzeba się poddawać, bo zawsze można znaleźć sposób, żeby z kimś wygrać.

HIGIENA CIAŁA

No i wybuchła afera...

Ktoś ukradł z pracowni fotograficznej wywołany film, na którym klatka po klatce, z wyjątkiem ostatniej, były tylko po dwa fiuty wystające z rozporków. Jeden, ten zawsze większy, to był fiut druha drużynowego, druha Tomasza, a inne po kolei to chłopaków z drużyny, gdyż druha Tomasz postanowił zrobić takie zdjęcia dla dokumentacji naszego biwakowego konkursu, który polegał na tym: kto ma najmniejszego fiuta. Mierzył linijką osobiście druha Tomasz, Piasek zapisywał wyniki do zeszytu, a zdjęcia robili na zmianę członkowie kółka fotograficznego. Wygrał Łysica z drugiej klasy, gdyż wpadł na pomysł i nikomu go nie zdradził, żeby tuż przed mierzeniem włożyć fiuta do zimnej wody w wiadrze. Tak mu się skurczył, że przez chwilę wydawało się, iż wynik będzie zerowy, ale w końcu nabiło trzy centymetry, co wystarczyło, aby druha Tomasz ogłosił Łysicę zwycięzcą konkursu. Po zawodach zrobiliśmy sobie na pamiątkę zdjęcie grupowe, to, które było na ostatniej klatce filmu i właśnie z powodu tej fotografii wybuchła cała afera.

Widać nas tam było, z druhami drużynowymi i Łysicą pośrodku, stojących na baczność w przepisowych mundurach harcerskich, każdy miał pasek czapki zapięty pod brodą i każdy miał wystawionego na wierzchu fiuta. Aparat miał samowyzwalacz, tak, że nikogo, kto brał udział w sobotnio-niedzielnym biwaku, nie brakowało na fotografii. Gdy robiliśmy zdjęcie, bardzo mnie to wszystko bawiło, ale kiedy je zobaczyłem, powiększone prawie do formatu A-4, przybite pluskiewkami na jadłospis w jadalni, pod którym ustawiała się kolejka po obiad... no, czegoś durniejszego w życiu nie widziałem. Te nasze rozbawione gęby i flaki na wierzchu, tylko druha Tomasz miał fiuta wyprostowanego, celującego prosto w obiektyw aparatu.

To, że nazwano nas pedalską drużyną harcerską było w tym wszystkim najmniej ważne. Piasek tylko niepotrzebnie wdał się w bójki z kilkoma chłopakami, którzy prosili aby im

pokazał swoje przyrodzenie, a Marciniak też bez potrzeby płakał, lecz on już taki nerwowy, gdy chłopaki z piątej klasy głaskali go po tyłku. Borys, jak zwykle nic się nie przejmował, bo co, mówił z przekonaniem, przecież nie wyrzucą nas z trzeciej klasy, ani tamtych z drugiej, gdyż nauczyciele nie mieliby kogo uczyć w dwóch klasach, ale ja nie byłem taki pewien jak Borys. Owszem, nie muszą wyrzucać wszystkich, którzy znaleźli się na pamiątkowym zdjęciu z biwaku harcerskiego, tylko dla przykładu i ostrzeżenia na przyszłość dajmy na to po dwóch z trzeciej i drugiej klasy, a miałem powody przypuszczać, iż mogę się znaleźć w jednej z tych dwójek. Pułkownik pierwszy by mnie wytypował do wyrzucenia, wiem, że nigdy mi nie wybaczył wiersza, który ułożyłem na niego w pierwszej klasie i który od tamtego czasu śpiewany jest w czasie gimnastyki porannej w internacie. Martwiłem się ze względu na rodziców, bo jeśli mnie wyrzucą ze szkoły i jeszcze dadzą wilczy bilet, że nie będę mógł się uczyć w żadnym technikum w Polsce... Że też, głupek, dałem się namówić na to harcerstwo.

Z początku nikt z internatu nie chciał się zapisać do drużyny harcerskiej, to znaczy chcieli, ale wyłącznie chłopaki z pierwszej klasy, gdyż widzieli w tym możliwość dodatkowego wyjścia w tygodniu. Jednak kierownik internatu, Kasztan, nie pozwolił pierwszoklasistom wstąpić do harcerstwa, mówiąc, że wpieryw muszą się nauczyć szkolnej i internatowej dyscypliny, dopiero później zielone mundurki. Ja właściwie nie miałem nic przeciwko harcerstwu, w podstawówce należałem do drużyny i byłem nawet zastępowym, a druhem drużynowym był chłopak z ogólniaka i on wymyślał różne ciekawe rzeczy, na przykład za przejście wieczorem, w pojedynkę, przez cmentarz, dostawało się sprawność wampira, a za zjedzenie w ciągu minuty pięciu gałek lodów sprawność Eskimosa, ja nad odznaką sprawności Eskimosa miałem sześć naszywek, gdyż sześć razy w ciągu minuty zjadłem pięć gałek lodów, mógłbym mieć i dwadzieścia naszywek, ale po szóstym razie dostałem anginy i kiedy wyzdrowiałem, to już była jesień i lodów w naszym miasteczku nie sprzedawali; więc nie miałem nic przeciwko harcerstwu, tylko nie podobał mi się ten druh Tomasz. Przyszedł pierwszy raz do internatu, na apel, ubrany w mundur harcerski, lecz tak ubrany, że wyglądał jak przebieraniec. Niczego nie brakowało, do paska miał przypiętą finkę, buty na grubej podeszwie, takie, w jakich się chodzi po górach, wełniane, zielone podkolanówki, w takim stroju mógłby występować w harcerskiej rewii mody i rzeczywiście jakoś bardziej mi pasował do rewii mody, niż na druha drużynowego, a gdy jeszcze zobaczyłem, że ma zaprasowane kanty na krótkich spodniach... Poza tym pomyślałem, że to stary przyk, bo miał na pewno skończone dwadzieścia lat, który ani nie zagra z nami w piłkę, ani nie połazi po drzewach, nie mówiąc już o odwiedzaniu nocą cmentarza, tylko będzie ćwiczył maszerowanie i piosenki harcerskie.

Ale znalazł na mnie i na innych sposób. Po tygodniu przychodzimy do świetlicy na apel, a tu pośrodku, na podłodze, stoi rozbity namiot dwuosobowy. Obejrzelśmy go dokładnie i wtedy druh Tomasz zaczął bez żadnych wstępów tłumaczyć, tak, jakbyśmy się już wszyscy zapisali do harcerstwa, że drużyna dostała od Komendy ZHP kilka takich namiotów i w związku z tym będziemy organizować z soboty na niedzielę biwaki w lesie. To mi się spodobało i natychmiast wyobraziłem sobie jak biegam po lesie z łukiem w ręku, jak stoję w nocy na warcie, nad słuchując trzasku łamanych patyków, jak kąpię się w rzece, bo przecież biwaku nie można organizować z dala od wody, ale wystarczyło mi spojrzeć na tego elegancko ubranego druha, w zaprasowanych krótkich spodniach, o włosach gładko zaczesanych do tyłu, błyszczących jakby nasmarowanych tłuszczem, żeby odleciały ode mnie zapachy lasu i rzeki. Stwierdziłem, że on prędzej zaprowadzi nas do teatru niż do lasu, może w ogóle każe rozbić namioty przed teatrem i oglądać sztukę za sztuką.

To, co mnie dopiero naprawdę wzięło, wydarzyło się za chwilę, wraz z wejściem do świetlicy Kasztana. Wówczas pomyślałem, że źle oceniam druha drużynowego, gdyż na początku byłem przekonany, że namiot stoi w świetlicy za przyzwoleniem kierownika internatu, lecz widząc minę Kasztana... Panie, panie, Kasztan podbiegł do namiotu i patrzył z przerażeniem na wbite w parkiet gwoździe, do których przywiązane były linki namiotu, pan wiesz ile ta podłoga kosztowała? Druh Tomasz odrzekł, że na pewno dużo, bo widzi, iż to solidny, dębowy parkiet. No właśnie! – krzyknął kierownik – a pan tu gwoździe wbijasz! Wówczas druh wyjął z pokrowca długie na czterdzieści centymetrów śledzie do namiotu i zapytał ze zdziwieniem, czy kierownik wolałby, żeby wbił w podłogę coś takiego, i myśmy wtedy ryknęli śmiechem. Kierownik pokazał palcem na pierwszych dwóch śmiejących się, na szczęście ja stałem po drugiej stronie i powiedział, że mają przez miesiąc wstrzymane wychodzenie z internatu. Po odejściu Kasztana, do harcerstwa zapisało się, tak wyszło akurat po równo, piętnastu chłopaków z drugiej i piętnastu z trzeciej, mojej klasy. Borys wahał się, ale gdy zobaczył, że ja, Marciniak i Piasek... Borys lubił wszędzie być z nami we czwórkę, tak, jak mieszkaliśmy razem w jednym pokoju.

Na pierwszej zbiórce będziemy zdobywać sprawność nurka, zapowiedział druh Tomasz w czasie zapisywania do drużyny. To było coś dla mnie, odkąd nauczyłem się pływać, lubiłem wszystko co miało związek z wodą. Tylko żałowałem, że nie jest już na tyle ciepło aby sprawność nurka zdobywać w Dunajcu. Byłem pewien, że pójdziemy na basen do klubu sportowego, no bo gdzie indziej można pod koniec kwietnia ćwiczyć nurkowanie? Okazało się, że można w internatowej pralni.

Do dużego, obramowanego ceglami baniaka, gdzie zwykle praczka wygotowywała pościel

i gdzie raz, na wesele córki Kasztana, gotowano flaki, których po weselu zostało tyle, że dostaliśmy je na kolację, przez co poszedłem głodny spać, gdyż flaków, ani nerek ani płucek ani żadnych jęzorów nie: mogłem przełknąć, no i do tego baniaka nalaliśmy wiadrami ciepłą wodę i każdy po kolei miał się cały zanurzyć w baniaku i wytrzymać w wodzie trzydzieści sekund. Tyle sekund trzeba było, aby zdobyć sprawność nurka. Druh Tomasz pierwszy rozebrał się, do naga i pierwszy wszedł do baniaka, żeby nam pokazać jak się nurkuje. Jego przyrodzenie tak śmiesznie dyndało, że gdy tylko schował głowę pod powierzchnię wody, wybuchnęliśmy śmiechem aż nas wyginało. Jeszcze nie skończyłem się śmiać, gdy druh, plując wodą, wynurzył się z baniaka i zapytał Piaska, który trzymał stoper, ile sekund mu wyszło. Piasek odrzekł zakłopotany, że dwadzieścia dwie sekundy, na co drużynowy, że to nie może być, że przecież wszyscy widzieli jak długo siedział pod wodą, mało mu nie rozerwało płuc, w końcu stwierdził, że stoper na pewno zaciął się, a poza tym to on tylko chciał zademonstrować w jaki sposób, od strony technicznej, mamy zdobywać sprawność nurka, którą on sam, jak powiedział, zdobył wiele lat temu i to w morzu przy sztormowej fali. Widocznie mieliśmy niezbyt przekonane miny, gdyż na dowód, że mówi prawdę, kazał nam spojrzeć na rękaw swojej bluzy harcerskiej, na której wśród wielu naszytych sprawności widniała i ta: czarny hełm nurka na tle niebieskiej wody. Po chwili powiedział, żebyśmy się rozebrali i zastępami, jeden po drugim, wchodzili do baniaka. Stanęliśmy w trzech zastępach, ale do rozbierania się nikomu nie było pilno, ja jeszcze miałem przed oczami dyndającego fiuta druha i wcale nie chciałem wyglądać tak samo śmiesznie. No, kto pierwszy na ochotnika? – zapytał druh Tomasz, po czym widząc, że nikt się nie zgłasza, roześmiał się kpiąco i powiedział, że tacy mężczyźni jak my nigdy nie mogliby być tebańskimi lub spartańskimi wojownikami, gdyż ci, najlepsi wówczas wojownicy na świecie, nie tylko nurkowali nago, lecz i walczyli nago i drużynowy pokazał nam rysunki Spartan i Tebańczyków, czy kto wie jakich wojowników, bo nikt z nas nie był obkuty w starożytnej historii, tyle iż rzeczywiście ci wojownicy na rysunkach mogli osłonić swą nagość jedynie tarczą i mieczem. Rogala, obejrzawszy rysunki, powiedział głośno, że z takiego pierdziolonego harcerstwa to się wypisuje i na odchodne trzasnął drzwiami, aż woda w kotle się pomarszczyła. Ja też zastanawiałem się, czy nie zrobić to samo co Rogala. Dawniej byłem harcerzem i mniej więcej wiedziałem jak powinny wyglądać zbiórki, w każdym razie wiedziałem, że sprawności nurka nie zdobywa się w kotle do gotowania pościeli i flaków. Ale nim zdążyłem podjąć decyzję, żeby wyjść za Rogala, nieoczekiwanie Borys zgłosił się, że zanurkuje. Byłem zły na Borysa, choć zdawałem sobie sprawę, że po nim wszystkiego można się spodziewać, a najbardziej tego, czego się nikt nie spodziewa, jak to właśnie miało miejsce.

Byłem zły, gdyż myślałem, że na tej jedynej zbiórce skończy się harcerstwo w internacie, do którego i tak nikt nie za bardzo ciągnął. Borys tylko niepotrzebnie przedłużał. Powiedział, że zanurkuje i nim się połapałem do czego zmierza, on już w ubraniu siedział w baniaku. Druh Tomasz najbardziej był zaskoczony, nie włączył nawet stopera. Po chwili ja też wskoczyłem do baniaka, a za mną kto tylko się pomieścił. I to kotłowanie w ubraniach w wodzie, której po chwili zostało ledwie kilka litrów, tak się nam spodobało, że całkiem zapomnieliśmy o śmiesznej nagości druha i umówiliśmy się z nim za dwa tygodnie na biwak.

Na biwaku nieobecny był tylko jeden harcerz: Wiesiek Rogala. I później, gdy zdjęcia z naszymi fiutami zawisły w stołówce i zrobiła się z tego wielka chryja, Rogala powiedział, że on już na pierwszej zbiórce podejrzewał drużynowego o pedałstwo. Rogala, chociaż uczyliśmy się w tej samej klasie był starszy ode mnie dwa lata i we wsi, skąd pochodził, miał już narzeczoną, która czasami w niedzielę przyjeżdżała do niego. W ogóle Rogala zachowywał się jak dorosły, wiedział, że po technikum chemicznym zostanie rolnikiem na iluś tam, już obiecanych hektarach, i nie myślał, że uczy się w tym technikum za darmo, jeszcze odgrażał się, że jeśli jego starzy dłużej pożyją, to skończy studia na uniwersytecie, wtedy nie będzie we wsi popychadłem do roboty jak jego ojciec, tylko będzie rozmawiał z urzędnikami z powiatu jak magister z magistrzem. I dlatego, że Rogala był starszy ode mnie, a wydawał mi się być jeszcze starszy niż faktycznie, było dla mnie zwyczajne, że po tym, jak zaczęto nazywać nas pedalską drużyną harcerską i mówić, że druh Tomasz to znany w mieście pedzio, poszedłem do Rogala i zapytałem, co to znaczy gdy ktoś jest pedałem, znaczy się homoseksualistą? Z grubsza wiedziałem, że to zboczenie i grzech, cięższe aniżeli bicie konia, ale właściwie co do reszty?... I nawet kiedy mi Rogala wyjaśnił, że pedały robią to samo, co robi mąż z żoną, tylko nie rodzą się z tego dzieci, też mi to na wiele się nie zdało, gdyż w gruncie rzeczy nie bardzo wiedziałem jak to robi mąż z żoną, że później mają dzieci? Lecz o tym drugim już nie rozmawiałem z Wieśkiem, żeby nie wyjść na zupełnego głupka.

Afera rozrastała się. Dyrektor Kęciński zwołał w sprawie drużyny harcerskiej specjalne posiedzenie rady pedagogicznej, na którym nauczyciele doszli do wniosku, że o zaistniałym fakcie należy zawiadomić milicję. Nie wierzyłem, że aż milicja zostanie w to wmieszana, przecież nie było napadu ani morderstwa, ale rzeczywiście przyszedł milicjant do internatu i wtedy ktoś podrzucił na korytarz film wykradzony z pracowni fotograficznej. Milicjant bardzo się ucieszył z tego znaleziska, mówiąc do Pułkownika, że to wystarczający dowód aby druh Tomasz znalazł się kilka lat za kratkami. Wówczas zacząłem się jeszcze bardziej bać, tak, że wyrzucenie ze szkoły, gdyby do niego doszło, jawiło mi się raczej jako nagroda, no bo jeżeli drużynowy zasługiwał na kilka lat więzienia, to my co najmniej na rok pobytu w

zamkniętym zakładzie wychowawczym. W końcu byliśmy posłuszni w tych, jak wyszło, zboczonych wybrykach seksualnych, a nawet, widząc roześmiane twarze na pamiątkowej fotografii z biwaku, ktoś mógłby pomyśleć, że więcej niż posłuszni.

Nieoczekiwanie, wszystko co miało związek ze zdjęciem wywieszonym w jadalni obróciło się przeciwko wychowawcom internatu. Z dnia na dzień zostali zwolnieni trzej wychowawcy i wychowawczynie z trzeciego piętra, gdzie mieszkały dziewczyny, a na ich miejsce przyjęto trzy wychowawczynie i wychowawcę, czyli na odwrót niż było. Pułkownik, rozstając się z nami podczas porannej gimnastyki, kiedy to jednocześnie kierownik internatu przedstawiał nową wychowawczynię, aż się rozplakał z żalości i poprosił, żeby mu jeszcze raz zaśpiewać piosenkę. Po chwili wahania rozległo się w korytarzu.

*Trzeba łysych pokryć papą,
lecz funduszy nie ma na to.
Gdy fundusze odnajdziemy,
łysych papą pokryjemy.*

Pułkownik popłakał się jak sześciolatek. Byłem tym zdumiony, dotąd przez prawie dwa lata biegał ze wściekłą twarzą, słysząc piosenkę o łysych, a dokładnie to o nim, którą ułożyłem w pierwszej klasie, a teraz... Kierownik i nowa wychowawczynie spojrzeli na Pułkownika, po czym na siebie, nieznacznie przytakując głowami, co wyglądało tak, jakby zgadzali się, że w czymś, o czym wcześniej rozmawiali, mają rację. Rogala szepnął, że zamiana płciowa wychowawców widocznie jest zrobiona dla naszego prawidłowego rozwoju seksualnego, żeby znowu nie przydarzyło się to, co z druhem Tomaszem. A drużynowego już więcej nie widziałem, ale też nikt nie słyszał, żeby go wpakowano za kratki.

Nasza wychowawczynie, Karina, na pewno nie miała jeszcze trzydziestu lat, była najładniejszą z trzech wychowawczyń. Gdy w czasie gimnastyki przechodziła korytarzem, od każdego odlatywała senność, a kiedy jeszcze spod niebieskiego, miękkiego szlafroka, wychyliło się białe kolano i człowiekowi przyszło do głowy, że pod szlafrokiem może nie być halki i może nawet majtek...

Wiesiek Rogala, który z racji narzeczonej uchodził na piętrze za znawcę w sprawach męsko-damskich, pierwszy odkrył związek pomiędzy gimnastyką poranną, kolanami wychowawczynie a zawsze zajętymi po gimnastyce trzema kabinami ustępu. Jak gdyby co najmniej połowa chłopaków z piętra nagle dostawała rozwolnienia, jedni już byli w kabinach, drudzy stali w kolejkach do kabin. Najdłużej zajmował kabinę Janusz Sęk, wszyscy się na niego wściekali.

Po niedługim czasie, gdzieś na dwa miesiące przed wakacjami, wprowadzono nowy

przedmiot w szkole: higiena ciała. Okazało się, że było to jeszcze jedno następstwo biwakowego konkursu, zaś nauczycielką higieny ciała została Karina. I od tej chwili przestała być pociągająca.

Na pierwszej lekcji higieny ciała Karina powiedziała, że w związku z pewnymi nieprawidłowościami w rozwoju psychicznym uczniów, dyrekcja technikum poprosiła ją, absolwentkę psychologii, żeby nauczyła młodzież odróżniać to, co zdrowe, od tego, co jest chore. Piaskowi wyrwało się, że jak ma gorączkę, albo termometr wskazuje, że ma gorączkę, to znaczy iż jest chory i należy mu się zwolnienie lekarskie. Tak, oczywiście, zgodziła się Karina, ale ja mam mówić o sprawach natury seksualnej, o związkach uczuciowych i fizycznych pomiędzy mężczyzną a kobietą, i o chorobach, czyli dewiacjach, jakie właśnie w tej dziedzinie się przytrafiają. Karina siedziała swobodnie oparta, nogi miała rozchylone, tak, że kiedy się schyliłem po specjalnie stracony na podłogę ołówek, widziałem jej białe majtki, takie wąskie w kroczu i, wydawało mi się, czymś dużym wypełnione od środka. Pomyślałem, że to pewnie jest to samo, co sobie matka wkłada co pewien czas. Od podłogi Karina wyglądała jak nasza koleżanka. Zośka Stępień czy Ewa Batko, mając ubrane białe majtki, nie byłyby do odróżnienia od Kariny, gdyby tylko patrzeć na nie od podłogi. Zaś spoglądając na Karinę sponad ławki widziało się surową nauczycielkę, ten kontrast zrobił się jeszcze większy, gdy nałożyła okulary. Prawie wszyscy chłopaki z klasy woleli oglądać nauczycielkę jako rówieśnicę, a nawet młodszą dziewczynę, która nie zdaje sobie sprawy co właściwie ma między nogami, bo tak mi się jakoś białe majtki kojarzyły z młodymi dziewczętami. Co chwilę było słychać stukot upadającego na podłogę przedmiotu, głowy chowały i wyłaniały się spod ławek. Pomyślałem, że dopóki nauczycielka od higieny ciała nie zacznie przychodzić do szkoły w spodniach, niczego, oprócz koloru majtek, nie zapamiętamy z jej lekcji, ale jak Karina zaczęła opowiadać, że człowiek, obojętnej płci, obojętnie jakiego zawodu, narodu, obojętnie w jakim wieku, może być zboczony seksualnie i jak zaczęła wyliczać jakie istnieją zboczenia... Jeżeli pod koniec lekcji myślałem jeszcze o majtkach nauczycielki, to tylko dlatego, iż z tego co usłyszałem wyszło mi, że jestem podglądaczem, fetyszystą, erotomanem, a poza tym onanistą, homoseksualistą, naturystą, jako iż lubiłem pływać w rzece na golasa i ponadto cierpię na kompleks Edypa, który siedzi w każdym mężczyźnie i na zespół Otella. Na zespół Otella, gdyż sobie przypomniałem, że kilka lat wcześniej, w Rogach u dziadka, byłem tak zazdrosny o Jadźkę, córkę kowala z Pegieeru, że rzuciłem kamieniem w traktorzystę, który dotknął jej włosów.

Wracając tego dnia do internatu już inaczej patrzyłem na panie i panów z psami na smyczy, a jak jeden gość zapytał mnie, którądy najbliżej do dworca kolejowego, uciekłem

jakby zamierzał mnie obrabować. Ucząc się w pokoju, uważałem, żeby żadnego z kolegów nie dotknąć łokciem i zauważyłem, że Piasek, Marciniak i Borys też łokcie trzymali przy sobie. Wieczorem, nim rozebraliśmy się i weszliśmy do łóżek, zgasilem światło i wtedy Marciniak powiedział, widocznie to go gnębiło od lekcji higieny ciała, że u nich we wsi jest jeden chłop, który te rzeczy robi z krową. Ja wówczas niebacznie zapytałem Marciniaka, ile oni trzymają krów i Marciniak byłby się rzucił na mnie, gdyby Borys w porę nie krzyknął do niego, że zaczyna jak sadysta.

Ciężkie życie nastąpiło dla mnie z chwilą wprowadzenia nowego przedmiotu i zamieszkania na naszym piętrze, w służbowym pokoju, pani Kariny. Odkrywałem w sobie coraz więcej nienormalności, ostatnie to to, że jestem, jak to miałem zapisane w zeszycie, koprolalistrą, czyli mimowolnie wypowiadam sprośne słowa. Cieszyłem się, że nie mam siostry i z tego powodu nie mogę być kazirodcą, że ojciec nigdy nie pozwolił trzymać w domu psa czy świnki morskiej. Ale ogarniał mnie lęk, czy w związku z wydarzeniami na biwaku nie zaszło w moim mózgu nieodwracalne odchylenie w stronę homoseksualizmu. Na wszelki wypadek przestałem myć się pod znajdującymi się bez żadnej osłony prysznicami, zresztą z dawnej drużyny harcerskiej nikt nie chodził pod prysznic.

Nie dawało się żyć. Bo jak tu nie być podglądaczem, choćby nawet mimowolnym, kiedy obok, nad umywalką naprzeciwko lustro, myje się Karina i pod jej odchylonym szlafrokiem widać piersi, małe, jak u dziewczynki, ale zawsze... Albo znowu: zamykać na haczyk drzwi kabiny ustępu i być podejrzanym o onanizm, czy nie zamykać i dać powód do podejrzenia, że chcę, aby wychowawczynie zobaczyła mnie na sedesie? Podobnych problemów rodziło się coraz więcej. Z tego wszystkiego, po trzeciej lekcji higieny ciała stałem się antifeministą i, wyobrażając sobie Karinę z nogami w gipsie, odkryłem w sobie początki sadyzmu.

Nie tylko ze mną działo się źle. Marciniak, wymieniając na higienie ciała rodzaje zbroczeń, powiedział jednym tchem: masochizm, fetyszyzm, ekshibicjonizm, kanibalizm i długo nie potrafił zrozumieć, że ludożerstwo to jest coś z całkiem innej dziedziny. Natomiast Zośka Stępień, która miała uzupełnić odpowiedź Marciniaka, odrzekła: sodomia i zoofilia, i na pytanie jaka jest różnica pomiędzy tymi dwoma zbroczeniami, odpowiedziała, że zoofilia jest wtedy, kiedy ktoś napastuje zwierzęta w zoo, a sodomia kiedy robi się to w lesie albo na gospodarce. Januszowi Sękowi, który do niedawna był największym i najbardziej wydajnym onanistą na piętrze, w ciągu dnia potrafił łączyć półlitrowy garnuszek spermy, co się musiało poprzestawiać w głowie, gdyż uznał, że najgroźniejsze zbroczenie to celibat.

Przy tym wszystkim najbardziej mnie złościło, że osoba, przez którą było coraz gorzej ze mną, bo nawet bałem się jechać do domu, żeby z powodu kompleksu Edypa nie zabić ojca, że

ta osoba, czyli Karina, wydaje się być całkiem wolna od jakichkolwiek nienormalności w dziedzinie higieny ciała. Na lekcjach mówiła o tych różnych świństwach ze swobodą, naturalnością, jak matematyk o sinusach i cosinusach. W internacie podobnie, mogłaby spacerować nago pomiędzy gimnastykującymi się chłopakami i nie widziałbym w tym nic nienormalnego, najwyżej pewnie pomyślałbym, że chce nam pokazać jak jest zbudowana kobieta. Ale gdy zacząłem się zastanawiać i przypominać sobie to, czego sama Karina mnie nauczyła, że w każdym zdrowym człowieku drzemie jakieś zboczenie, któremu czasami, chce czy nie, trzeba się poddać, doszedłem do wniosku, że nauczycielka od higieny ciała jest albo całkiem jałowa w sprawach erotycznych, przez co też odbiegająca od normy, albo hołduje jakiemuś bardzo rzadkiemu zboczeniu, na przykład spermatofagii. Tylko skoro z nikim się nie spotykała?

Odtąd uważnie, w internacie i szkole, obserwowałem Karinę. I nic, nawet żaden mężczyzna ani kobieta, nie przychodzili do jej służbowego pokoju i to właściwie wydało mi się dziwne. Karina była piękną kobietą, wszyscy w szkole wiedzieli, że nauczyciel od wuefu nie daje jej spokoju, ale ona go traktowała z dystansem, jak każdego innego nauczyciela. Gdyby nie uczyła nas tego przekłętą przedmiotu albo przynajmniej nie nazywała tych rzeczy tak po naukowemu, wszyscy uczniowie kochaliby się w Karinie, na czele ze mną. Więc dlaczego jest samotną? Dziwne to wszystko.

Karina zauważyła moje większe nią zainteresowanie i ja zauważyłem, że wie, iż ja zdaję sobie sprawę, że z powodu mojego większego nią zainteresowania ona zwraca na mnie baczniejszą uwagę. Przez miesiąc trwał ten dziwny, niby zawieszony w pustce, a jednak nie, związek pomiędzy nami. W tym czasie, nie licząc moich odpowiedzi na higienie ciała, raz tylko rozmawialiśmy. Stałem wtedy w umywalni przed lustrem i, gładząc swój mizerny zarost na brodzie, zastanawiałem się, czy aby nie rozpocząć już golenia. Karina weszła, uśmiechnęła się do mnie i zapytała, czy nie wolałbym być kobietą, nie musiałbym się wówczas golić. Byłem zdziwiony, że odkryła moje myśli. Odrzekłem ostro, że ja właśnie chcę się golić. Ona natychmiast zaczęła myć twarz, jakby urażona moją ostrą odpowiedzią, zresztą samego mnie zaskoczyło, że się takim niezbyt przyjemnym tonem odezwałem. Ale jej ruch, jak gdyby ze wstydem zakrywała wodą twarz, wymusił we mnie znowu myśl, że coś tu nie gra. I później, nie przestając obserwować Karinę, coraz częściej odnosiłem wrażenie, że patrzę na dwie całkiem różne osoby, jedną niby zawstydzoną, drugą pewną, zadowoloną z siebie.

Jednak to moje dwójwidzenie nauczycielki higieny ciała polegało na całkiem czymś innym. I w końcu to ona sama odsłoniła tajemnicę. Któregoś wieczora, już po dzwonku na ciszę nocną, zawołała mnie do swego pokoju i powiedziała, że jeśli nikomu nie zdradzę, to mi

powie kim jest naprawdę, pragnie to uczynić, ponieważ zacząłem się nią interesować w widoczny dla innych sposób, a ona nie chce narobić sobie kłopotów. Nie bardzo rozumiałem, zwłaszcza tych kłopotów, które, jeśli już, ja jako uczeń interesujący się nauczycielką musiałbym mieć większe. Ale przyrzekłem, że nie zdradzę. Wówczas Karina rozchyliła poły szlafroka i zobaczyłem tam normalnego fiuta, jakiego i ja miałem.

Do wakacji chodziłem jak otumaniony. Życie, już i tak niezbyt jasne dla mnie, jeszcze bardziej się zaciemniło, bo pomyślałem, że skoro piękna kobieta może w rzeczywistości okazać się mężczyzną, to co na tym świecie jest pewnego?

PRAKTYKA

W czerwcu przez cały miesiąc odbywaliśmy praktykę zawodową, jako robotnicy, w miejscowych zakładach chemicznych. Podczas praktyki wszystko miało wyglądać tak, jakbyśmy naprawdę byli robotnikami. Chodziło o to, żeby poznać zakład od wewnątrz, to znaczy przyjrzeć się organizacji pracy i w ogóle dowiedzieć się na czym polega praca robotnika, na czym inżyniera, co robią urzędnicy i różne służby specjalne. Profesor od warsztatów, Matula, który kilka lat wcześniej był majstrem w ślusarni, opowiedział nam z grubsza o zakładach chemicznych, ile ludzi tam pracuje, co się produkuje i tego rodzaju rzeczy, po czym: do roboty.

Pierwszego czerwca, całą klasą, punktualnie o godzinie siódmej stanęliśmy pod bramą zakładów chemicznych, gdzie miał po nas przyjść ktoś z wydziału kadr i szkolenia. Czekaliśmy, przyglądając się z nudów pracy wartowników przy bramie. Po godzinie czekania poznaliśmy się trochę z wartownikiem, bo akurat jednym z nich był stryj Jurka Buczka i zaczęliśmy im pomagać w pracy. Ja obsługiwałem szlaban, podnosząc go i opuszczając na znak wartownika. Piasek wskakiwał na skrzynie ciężarówek i badał, czy nie wywozi się rzeczy ukradzionych w zakładzie, chwalił się przed wartownikami, że on, jako syn komendanta posterunku milicji, ma nosa do takich spraw. I rzeczywiście, na wywrotce z miałem węglowym odkrył kilka arkuszy blachy stalowej, wystawały spod miału, on wypatrzył i zgłosił wartownikowi. Tylko zrobił się problem, gdyż kierowca wywrotki wjeżdżał do zakładu, a nie wyjeżdżał i trudno było podejrzewać go o kradzież. Wartownik, po sprawdzeniu karty drogowej, machnął jednak ręką, żeby podnieść szlaban dla wywrotki, ale wtedy Piasek rozdarł się na całą bramę, że wartownik lekceważy swoje obowiązki i że on, Piasek, syn komendanta posterunku milicji, nie pozwoli odjechać kierowcy, bo za tą blachą kryje się jakiś wielki szwindel, jeszcze nie słyszał aby prywatny człowiek zawoził coś ukradkiem do państwowego zakładu. Wartownik, jakby przestraszony napastliwym tonem

Piaska, zgodził się, że coś tutaj nie gra, gdyż sam też po raz pierwszy spotyka się z przypadkiem próby nielegalnego wwiezienia blachy do zakładu, co innego gdyby było odwrotnie. W takim razie, powiedział, niech to milicja wyjaśni. Kazał kierowcy wywrotki zjechać na parking, a sam poszedł zadzwonić na posterunek. Kierowca odjeżdżając odgrażał się, że temu szczeniakowi, czyli Piaskowi, (nogi z dupy powyrywa, ale Piasek nie słyszał. Podniecony wykryciem blachy, z wielkim zapalem zabrał się do liczenia beczek ze smołą na przyczepie ciągnika. Tymczasem Buczek, Kopeć, Marciniak i paru innych chłopaków zaglądali do teczek wchodzących i wychodzących przez bramę pracowników zakładu chemicznego, a dziewczyny, na czele z Zośką Stępień, sprawdzały przepustki. Zośce bardzo się spodobała praca wartowniczką, kto nie miał przepustki nie mógł z zakładu wyjść ani wejść, nie słuchała żadnych tłumaczeń i nie dawała się wziąć na litość, że w domu dzieci czekają i mogą, będąc same, wypaść przez okno. Buczek i Kopeć znaleźli w teczkach kilka butelek wódki, której nie wolno było wносить do zakładu. Wartownicy ucieszyli się z tych butelek, w nagrodę dali chłopakom swoje służbowe czapki, a sami poszli do szatni. Ci, którzy dostali czapki z daszkiem, poczuli się jeszcze ważniejsi i z jeszcze większą energią zaczęli pełnić służbę przy bramie.

Wszyscy z klasy mieli jakieś zajęcie przy bramie. Piasek z kilkoma chłopakami sprawdzał auta, karty drogowe, czasami, gdy wydało mu się coś bardziej podejrzane, żądał pokazania prawa jazdy. Rogala z Januszem Sękiem pilnowali kierowcę, który pod miałem węglowym ukrył blachy, gdyż ten próbował uciec z parkingu, a milicja wciąż nie przyjeżdżała. Dziewczyny, odkąd wartownicy skryli się w szatni, coraz uważniej oglądały przepustki, sprawdzając czy pieczętki nie są podrobione, czy zgadzają się fotografii. Najwięcej pilnowało porządku w kolejkach po obu stronach bramy, ustawiając niesfornych pracowników zakładu w równe szeregi i uciszając tych, co głośno używali brzydkich słów. Ja, stojąc przy swoim szlabanie, miałem także baczenie na ogrodzenie zakładu, ponieważ niektórzy pracownicy usiłowali przechodzić przez mur. Jednemu udało się w ten sposób wydostać z zakładu. Ośmiu chłopaków z klasy goniło go przez trzysta metrów, jak na takiego trzydziestoletniego pryka całkiem szybko biegał, złapanego podprowadzili pod mur i kazali mu z powrotem wrócić do zakładu tą samą drogą.

W południe, gdy Piasek wykrył szóstego złodzieja, ten szósty chciał wywieźć z zakładu osiem worków cementu, i gdy na wartowni cały stół był zajęty odebranymi od pracowników butelkami wódki, a mnie już ręce bolały od podnoszenia i opuszczania szlabanu, pod bramę podszedł bez czekania w kolejce łysy mężczyzna z żółtą aktówką. Nim Zośka Stępień zdążyła wrzasnąć, jak w takich wypadkach wrzeszczała na innych, żeby zajął miejsce na końcu

ogonka, łysy głośno zapytał, czy są tu uczniowie technikum mający odbywać praktykę w zakładach. Wtedy sobie przypomniał... Chłopaki rzucili czapki z daszkiem przez okienko wartowni, ja zostawiłem szlaban w połowie opuszczony i pomaszerowaliśmy za łysym.

W świetlicy działu kadr i szkolenia, łysy, który przedstawił się jako magister Wiącek, wystawił nam wszystkim przepustki upoważniające do wejścia i wyjścia z zakładu, po czym spojrzął na zegarek i stwierdził, że dzisiaj już za późno i nie ma co zaczynać szkolenia.

Gdy wychodziliśmy z zakładu, brama i szlaban stały otworem, wartownicy spali na wartowni. Można było pociągiem wyjechać. Piasek powiedział, że trzeba zatelefonować po milicję, gdyż nim wartownicy wytrzeźwieją, to ludzie cały zakład wyniosą i, zamiast praktyki, trzeba będzie cały czerwiec siedzieć w szkole. Ale Jurek Buczek, który starał się dobudzić swego stryja wartownika, odrzekł Piaskowi ze złością, żeby Piasek nie najmował się za donosiciela i poza tym nie uważał wszystkich ludzi za złodziei, że przecież pracownicy nie rozkradną do imentu swojego zakładu, bo wówczas nie mieliby gdzie pracować. Piasek nie chciał uchodzić za kapusia ani za takiego, który ma innych za złodziei i nie zadzwonił na milicję. Lecz to, co widział na wartowni i słowa Buczka, zapadły mu w pamięci. Wieczorem chodził rozdrażniony po internacie, nie chciał zagrać ze mną w swoje ulubione szachy i musiałem grać z Borysem, co nie było żadną przyjemnością, gdyż z Borysem każdy przegrywał. Coś Piaska dręczyło. Dopiero po kolacji wyjawiał co. Powiedział, że przekazywanie ważnych informacji milicji, przekazywanie, a nie donoszenie, jak to sobie niektórzy wyobrażają, jest świętym obowiązkiem każdego praworządnego obywatela. Zrozumiałem, że mówi to w związku z pijanymi wartownikami, a że Piasek, jako syn komendanta posterunku milicji, na pewno uważał siebie za praworządnego obywatela, obawiałem się, że zadzwoni na milicję i opowie o wartownikach. Obawiałem się, gdyż Jurek Buczek miał trzech starszych braci, którzy już nieraz siedzieli w więzieniu. Mogliby sprawić Piaskowi porządne bicie, za to, że doniósł na ich stryja wartownika. Ale Piasek jednak nie zatelefonował na posterunek.

Następnego dnia magister Wiącek przeszkolił nas w zakresie bezpieczeństwa i higieny pracy. Trwało to krótko. Zaczął od spraw elektrycznych, podkreślając stanowczo, że nie mamy prawa dotykać niczego, w czym może płynąć prąd, a już Broń Panie Boże wysokiego napięcia, nawet nie wolno wymienić żarówki, od tego są elektrycy. Zakończył na sprawach pożarowych. Pokazał jak się uruchamia gaśnice, takie czerwone, co wiszą na ścianach i jak włącza automatyczne alarmy przeciwpożarowe, które znajdują się na każdym wydziale zakładu.

Automatyczne alarmy spodobały mi się, nawet nie wiedziałem, że takie są, wystarczy

tylko rozbić szybkę i wcisnąć widoczny za nią czerwony guzik i strażacy z zakładowej straży pożarnej od razu będą wiedzieć, z którego miejsca został nadany alarm. To nie to co telefon, człowiek zapomni numeru straży, albo numer jest zajęty, albo, najczęściej, telefon jest w pokoju zamkniętym na klucz. Borysowi też spodobały się automatyczne alarmy przeciwpożarowe. Zapytał magistra Wiącka, czy one działają? Magister obruszył się, odpowiadając, że jak mogą nie działać, przecież na nich oparty jest najnowocześniejszy zakładowy system bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Coś mnie tknęło, gdy Borys pytał o te automaty, on nigdy nie pyta o nic bez powodu, a że czasami robi rzeczy dziwne, których się nikt nie spodziewa, pomyślałem, że może zechce coś podpalić, aby się przyjrzeć pracy strażaków. Wydało mi się to możliwe, już nawet wyobraziłem sobie jego głupawą minę i odpowiedź po fakcie, że w ramach praktyki zawodowej pragnął zobaczyć jak wygląda akcja gaszenia pożaru. Pilnowałem Borysa po skończeniu szkolenia z behape i okazało się, sam mi to zdradził, że wcale nie ma zamiaru podpalać czegokolwiek, tylko jest ciekaw czy te automatyczne alarmy przeciwpożarowe rzeczywiście działają. No i mnie zaraził tą ciekawością. Odeszliśmy od chłopaków z klasy, żeby poszukać automatycznego alarmu. Zobaczyłem go na budynku laboratorium doświadczalnego. Gdy nikogo nie było w pobliżu, Borys owinął łokieć swetrem, jak to pokazywał magister Wiącek i uderzył łokciem w szybę, za którą był czerwony guzik. Ale szyba nie rozbiła się. Uderzył jeszcze raz i jeszcze raz, i nic, więc ja poszukałem kawałka cegły i walnąłem nim w szybę i też bez żadnego skutku, jedynie pokazała się rysa i wtedy zrozumieliśmy, że to nie jest szkło, tylko przezroczysty plastik. Powiedziałem, że ładny automat, tu się już może palić na całego... Borys mi przerwał, mówiąc, nie wiem dlaczego, z uradowaną twarzą, że coś takiego od początku podejrzewał i, na dodatek, że teraz jest przekonany, iż wszystkie automatyczne alarmy przeciwpożarowe w zakładzie to jedna wielka lipa i że w ogóle on nie wierzy w żadną automatykę w Polsce. I we mnie zrodziło się trochę niepewności co do tej automatyki, gdyż przypomniałem sobie, że podczas ostatnich wakacji ojciec kazał założyć do drzwi automatyczny, samozatraskujący się zamek, no i fakt, sam się zatraskiwał, ale otworzyć drzwi już się nie dało, trzeba było wołać ślusarza, bo nie mogliśmy wejść do mieszkania. Ale, mimo wszystko, w lipę z automatycznymi alarmami nie wierzyłem, to za bardzo poważna sprawa, byłem zdania, iż ktoś się po prostu pomylił i zamiast szkła wstawił szybę z tworzywa sztucznego. Borys chciał się ze mną założyć o swoje francuskie przybory kreślarskie, które mu matka przysłała z Paryża, że każdy alarm osłonięty jest nierozbijalną szybą, i w drugi, znajdujący się na wydziale kotłowni wysokoprężnych, od razu z całej siły uderzył kawałkiem cegłówki. Szkło posypało się pod nogi Borysa, aż odskoczył przestraszony, czerwony guzik został wciśnięty

tym samym uderzeniem. Prędko odeszliśmy od wydziału kotłów, za róg budynku zakładowego ośrodka zdrowia, skąd wypatrywaliśmy strażackiego wozu. Czekaliśmy tak długo, że od straży pożarnej można było w tym czasie dojść piechotą, a tu nawet strażacka syrena nie zawyła. Powiedziałem wówczas, że w tej sytuacji jest naprawdę naszym obowiązkiem zgłosić, nawet i milicji, jakie partackie alarmy są założone w zakładzie chemicznym, ale Borys roześmiał się, odpowiadając, że jeśli chciałbym mieć czyste sumienie to musiałbym donieść na całą Polskę, bo wszystko jest w niej tak partackie, jak te automatyczne alarmy i... Borys nagle ruszył do zawieszanej obok drzwi ośrodka zdrowia gaśnicy przeciwpożarowej, twierdząc, że i to jest atrapą. Zdjął gaśnicę z haka, uderzył nią o schody i z gaśnicy jak nie chluśnie piana... Nie wiedzieliśmy w jaki sposób zamknąć strumień piany, gdyż magister Wiącek nie nauczył nas tego. Po chwili zrobiła się góra piany, tak, że wypełniła całe drzwi ośrodka zdrowia i wtedy, słysząc podniesione głosy za drzwiami, krzyknąłem do Borysa, żeby uciekać. Borys zostawił gaśnicę na schodach i pobiegł za mną, ale po kilkunastu metrach zatrzymał nas rozpaczliwy okrzyk: ratunku! ludzie, pali się! Byłem zaskoczony, nie widziałem żadnego ognia. Mężczyzna w lekarskim fartuchu, który przebiegł obok nas, nie wypatrywał ognia, tylko od razu skierował się do automatycznego alarmu przeciwpożarowego, łokciem rozbił szybę i wcisnął czerwony guzik. Za dwie minuty, może nawet szybciej, przyjechali strażacy, dwóch z nich wbiegło przez pianę do zakładowego ośrodka zdrowia. Widzisz, powiedziałem do Borysa, nie wszystko jest złe. On na to, bardziej rozżalonym niż rozzłoszczonym głosem, że gdy nie wiadomo co jest złe, a co dobre, to jest jeszcze gorzej, niż gdyby wszystko było złe.

Trzeciego dnia praktyki dostaliśmy ubranie robocze, spodnie drelichowe i kurtki, trzewiki na grubej, twardej podeszwie i czerwone kaski dla ochrony głowy, wszystkie nowiutkie, aż wyrwało mi się, czy nie szkoda niszczyć tylu ubrań na jeden miesiąc pracy? Bo później co z nimi, wyrzucić? Nie martw się, uspokoił mnie magister Wiącek, tu się nic nie zmarnuje, kto inny donosi po was. Więźniowie, wyjaśnił mi cicho Borys i mnie zdziwiło, już po raz nie wiadomo który, skąd Borys wie o takich sprawach.

Magister porozdzielał klasę na różne wydziały. Piasek poprosił, żeby naszą czwórkę, to jest jego, mnie, Borysa i Marciniaka, którzy mieszkaliśmy w tym samym pokoju internatu, zostawić w jednej grupie. Magister spojrział na trzymaną w ręku listę i odrzekł, że akurat czterech potrzeba do wydziału mechanicznego i kazał nam tam iść i zgłosić się u brygadzysty Porębskiego.

Poszliśmy. Brygadzysta wyglądał raczej na zmartwionego naszym widokiem. Zapytał, czy umiemy spawać? Nie umieliśmy. Pracować na tokarce? Też nie. Trasować? Nie. To co wy

umiecie? Powiedziałem, że potrafimy ręcznie piłować młotki z dokładnością do pięciu mikronów. A po co z taką dokładnością? – zdziwił się brygadzysta, ale na to nic nie odrzekłem, choć wiedziałem.

Przez rok, sześć godzin każdego poniedziałku, na zajęciach warsztatowych piłowaliśmy młotki. Materiał na młotki, sztabki stali, dostawaliśmy w nieograniczonych ilościach, tysiące sztabek, aż sądziłem, że jakaś huta produkuje specjalnie na potrzeby naszego technikum. Sam wypilowałem kilkadziesiąt młotków, ale z nich tylko dwa spełniały wymagania profesora Matuli, reszta poszła na złom. Profesor Matula żądał, aby powierzchnie młotków były idealnie gładkie i pod idealnym kątem prostym w stosunku do siebie, poza tym idealne wymiary, które Matula mierzył mikrometrem. Na moje zdziwienie, że przecież młotek nie musi być wykonany z tak wielką precyzją, jak waga czy mikroskop, Matula odrzekł, że wymaga wielkiej dokładności dla zasady, bo jak nauczymy się porządnie robić młotki, to później wszystko będziemy wykonywać z dużą dokładnością. Uwierzyłem. Piłowałem stal tak zawzięcie, aż bąble pękały mi na dłoniach i gdy na moim kątomierzu i mikrometrze wychodziło, że kąty młotka są proste i wymiary mieszczą się w granicach błędu, czyli pięciu mikronów, pokazywałem młotek Matuli. Matula mierzył swoim mikrometrem, po czym stwierdzał, że szajs i wyrzucał wybrakowany młotek do skrzyni ze złomem, po który co jakiś czas przyjeżdżali ciężarówką z punktu skupu złomu. Gdzieś w połowie roku Kopeć odkrył, że w mieście, w jednym z punktów skupu złomu, sprzedaje się młotki i wtedy wszystko zrozumieliśmy i daliśmy Matuli do zrozumienia, że znane jest nam źródło jego dodatkowych dochodów. Od tej chwili warsztaty zamieniły się dla jednych w czytelnię, dla drugich w karcarnię, a kto chciał to z nudów piłował młotek albo sygnet z nakrętki. Ja w ciągu tych zajęć warsztatowych przeczytałem „Winetou” i wszystkie „Przygody Tomka”, książki, na wypadek gdyby wszedł dyrektor Kęciński, trzymałem w otwartej szufladzie pod imadłem. Matula nic nie mógł nam zrobić. Ale pod koniec roku i tak obróciło się to na dobre dla Matuli, gdyż dostał premię za oszczędzanie materiałów na zajęciach warsztatowych.

Tego trzeciego dnia praktyki zawodowej brygadzysta Porębski przez długi czas zastanawiał się co moglibyśmy robić, skoro nic nie umiemy, aż w końcu zaprowadził nas do stosu rur o przekroju czterech centymetrów i długości trzech metrów, z tysiąc ich leżało na placu przed wydziałem mechanicznym i kazał nam je wyginać pod kątem czterdziestu pięciu stopni na specjalnym urządzeniu do wyginania, które miało kątomierz z blokadą. Wy tłumaczył nam i pokazał, że nim przystąpimy do wyginania trzeba całą rurę wypełnić piachem, żeby nie zniekształcała się w miejscu zagięcia, po czym brygadzysta, zadowolony, że znalazł dla praktykantów zajęcie, poszedł do swojej pracy. Zaraz po odejściu brygadzysty zawyła syrena.

Spojrzałem na Borysa, myśląc, że może on znowu sprawdzał działanie automatów alarmowych, ale to była syrena na przerwę śniadaniową. Robotnicy z wydziału mechanicznego poszli do stołówki jeść zupę regeneracyjną.

My z kanapkami usiedliśmy na rurach, uzgadniając co kto będzie robił, żeby praca poszła szybciej. I tak, ja miałem wypełniać rury piachem, Marciniak i Piasek zaginać, gdyż oni uznali się za silniejszych, Borys wysypywać piach z rur. Dla usprawnienia pracy poszukałem cienkiej blachy i zrobiłem z niej lejek do sypania piachu do rury. Borys znalazł gdzieś starą rynnę i na podpórkach z cegieł tak ją ustawił, że wysypywany przez niego piach wracał prosto pod moje nogi. Zeszło nam trochę na tych przygotowaniach, tak, że do pierwszej, gdyż jako niepełnoletni pracowaliśmy dwie godziny krócej niż robotnicy, wygięliśmy tylko dwie rury. Ale brygadzista pochwalił nas, że dobrze, dobrze i dodał, abyśmy jutro, nie czekając na niego, zajęli się tym samym.

Nazajutrz od samego rana wzięliśmy się ostro do roboty i o pierwszej leżało trzysta wygiętych rur. Kolejnego dnia wygięliśmy dwieście, gdyż nas mięśnie bolały po wczorajszej robocie i Piasek ogłosił długą przerwę śniadaniową. Za wałem wygiętych rur mogliśmy spokojnie siedzieć i cały dzień, nikt by nas nie dojrzał. Przez te dwa dni nie było brygadzisty Porębskiego, pojechał ze swoimi ludźmi zakładać centralne ogrzewanie w zakładowym domu wczasowym. Następnego dnia wygięliśmy niecałe sto rur i już zabrakło miejsca na ich składowanie, byliśmy zewsząd otoczeni wygiętymi rurami, więc postanowiliśmy poczekać na brygadzistę, który tego dnia miał wrócić, niech każe zabrać chociaż trochę rur. Brygadzista pokazał się przed końcem pracy. Nawet nie powiedział dzień dobry, tylko patrzył na wygięte rury takim wzrokiem, jak chyba ja patrzyłem na Pałac Kultury w Warszawie, gdy go po raz pierwszy ujrzałem. Byłem pewien, że mu się spodoba nasza robota, tak odczytałem jego spojrzenie, a on jak nagle nie krzyknie; co wyście narobili? Nie rozumiałem o co mu się rozchodzi i powiedziałem, że zrobiliśmy to, co sam kazał. – Ale nie tyle, na Boga? – brygadzista spoglądał bezzadnie na otaczający nas wał rur wygiętych pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Po chwili dodał zgaszonym głosem, że myślał, iż najwyżej dwadzieścia wygniemy, bo tyle jest potrzebne.

W internacie pokłóciliśmy się. Marciniak i Piasek uznali, że na mnie spoczywa największa wina, bo gdybym tak szybko nie sypał piachu do rur, to oni by nie wygięli prawie sześćset. Odpowiedziałem, że prędko zapełniałem rury piachem, aby nadażyć za ich wyginaniem i przypomniałem, że jeszcze mnie poganiali, zwłaszcza pierwszego dnia. Borys, patrząc na nas zdziwiony, zapytał o co się kłócimy, bo czy będziemy wyginać rury, czy je prostować albo zakopywać do ziemi, co nas czekało, to przecież to wszystko jest pracą, czyli tym, co

człowiekowi nadaje sens życia. Zamyśliłem się chwilę nad tym co powiedział Borys i doszedłem do wniosku, że widocznie są dwie odmiany pracy, jedna rzeczywiście ma związek z sensem życia i samym biologicznym przetrwaniem, a druga łączy się z bezsensem i niechęcią do życia.

Nie mogłem zasnąć. Na myśl, że jutro mam robić to samo co przez ostatnie trzy dni, czyli sypać piach do rur, ale tylko po to, żeby zatrzeć uprzednią pracę, nadać rurom ich poprzedni kształt, aby były proste, a te, na których pozostaną ślady po wyginaniu zakopać do ziemi... To gorzej aniżeli drugi rok chodzić do tej samej klasy. Postanowiłem pójść do szkolnej lekarki i udać chorego, a nawet przemknęło mi po głowie, żeby poprosić o skierowanie na prześwietlenie płuc i stamtąd, gdzie robią prześwietlenia, wykraść zdjęcie rentgenowskie człowieka chorego na gruźlicę i pokazać lekarce jako swoje. Wtedy, nim by wykryto, że to pomyłka, miałbym zapewnione zwolnienie do końca praktyki.

Rano porządnie się umyłem, ubrałem czystą podkoszulkę i majtki i wówczas zorientowałem się, że Piasek i Marciniak też się wyszorowali jak nigdy i też nałożyli nowe podkoszulki. No, nie musieliśmy nic sobie mówić, tylko Piasek zwrócił uwagę Borysowi, aby przynajmniej umył szyję, bo jak lekarka zobaczy brud, to będzie się musiał myć w jej gabinecie. Borys jednak nie wybierał się po zwolnienie lekarskie, jeszcze udawał głupiego, że niby nic nie rozumie i pytał, czy tak źle wygląda, że Piasek sugeruje mu wizytę u lekarza. Ale większą złośliwość Borys trzymał na koniec. W jadalni, przy śniadaniu, powiedział, że ci, co odbywają praktyki, muszą chodzić do lekarza w zakładowym ośrodku zdrowia. Zapytałem chłopaków ze starszych klas, czy to prawda. Prawda, niestety.

Marciniak był zły na Borysa, że wcześniej nie powiedział o tych lekarzach i przez to tylko na darmo mył się do pasa. Gdy przyszliśmy na nasze rurowisko pod wydziałem mechanicznym, Marciniak wskazał Borysowi urządzenie do wyginania rur: dzisiaj ty odginasz. Tak się zemścił. Lecz Borys obojętnie wzruszył ramionami, mrużąc pod nosem, niby tylko do siebie, że żadna praca nie hańbi, że ciężka praca uszlachetnia człowieka, że pracą ludzie się bogacą, że Syzyf dzięki pracy wszedł do historii, że praca tuczy... Przerwałem tę wyliczankę, obsypując Borysa łopatą piachu.

Cztery dni prostowaliśmy rury. Około dwieście z nich miało wyraźne odkształcenia w miejscach zginania i odginania, i te rury brygadzista kazał nam zakopać, ale tak, żeby nikt nas nie zauważył przy zakopywaniu i później nikt nie odkrył zakopanych rur, czyli dół musiał być głęboki.

Ziemia była twarda jak kamień, chyba nie ruszana od stworzenia świata. Z początku, to musieliśmy kilofami rozbijać. Ale brygadzista dbał o nas i każdego dnia wystawiał nam kwit

na skrzynkę wody mineralnej. Właśnie gdy Marciniak i Piasek poszli do wytwórni po wodę, a Borys gdzieś się zawieruszył, ujrzałem nad sobą elegancko ubranego mężczyznę w białym kasku ze złotym paskiem, co oznaczało, że to jakiś ważny urzędnik z dyrekcji. Zapytał, po co tę dziurę kopię. Odrzekłem pierwsze co mi wpadło do głowy, że to dół pod fundamenty. Fundamenty? – zdziwił się urzędnik. Tak, potwierdziłem, będą tutaj budować stołówkę wydziałową, żeby robotnicy nie tracili czasu na chodzenie tam... Urwałem, widząc nadchodzącego, niepewnie uśmiechającego się brygadzystę. Towarzyszu Porębski, zwrócił się do niego urzędnik z dyrekcji, pokażcie plany tej stołówki. Jakiej stołówki? – brygadzista spojrzał na mnie pytająco. Pięknie, pięknie, rozzłościł się urzędnik, to my tutaj budujemy dla waszego wydziału stołówkę, żebyście mogli jeść zupę na miejscu, a wy nic nie wiecie. Urzędnik odszedł i wówczas wyjaśniłem brygadziście, skąd się wzięła ta stołówka. Bardzo dobrze, roześmiał się brygadzista, on i tak zaraz o tym zapomni.

Trzy dni później nie zostało nawet śladu po wykrzywianiu rur, żadnego, gdyż przez zapomnienie wyprostowaliśmy i te dwadzieścia rur, które były potrzebne. Ziemię, pod którą leżały rury, mocno ubiliśmy nogami, a Borys naniósł śmieci, żeby to miejsce nie odróżniało się od innych. Brygadzista był zadowolony z naszej pracy i w nagrodę pozwolił nam dwa dni nie przychodzić na praktykę, on w razie czego powie, że pojechaliśmy z materiałami na budowę domu wczasowego.

Takiego prezentu nie spodziewałem się. Było ciepło, słońce świeciło nieprzerwanie od kilku dni, mogłem wreszcie rozpocząć swój sezon kąpania się w Dunajcu. Zaproponowałem Borysowi, żeby poszedł ze mną. Ale Borys, odkąd raz, skacząc do wody z mostu kolejowego, mało się nie zabił i utopił jednocześnie, nigdy się nie dał namówić na wyprawę nad Dunajec. Wolał z Piaskiem pójść na ranny seans do kina. A Marciniak zdecydował się pojechać do domu, mieszkał niedaleko, w Marcinkowicach, niecałą godzinę jazdy pociągiem, tak, że na południe mógł być z powrotem w internacie.

Gdy po dwóch dniach przerwy w odbywaniu praktyki zawodowej przyszliśmy do zakładu, zobaczyłem, że w miejscu, gdzie wyginaliśmy i zakopaliśmy rury, stoi koparka na gaśienicach i wybiera ziemię i ładuje ją na wywrotki. Przeraziłem się, że oto odkrywają dowody naszego przestępstwa gospodarczego, dopiero co w gazetach pisało, że za tego rodzaju przestępstwo ktoś dostał dziesięć lat więzienia. Po chwili czerpak koparki zachrobotał na naszych rurach, ale operator jakby nie widział, rury, po jednej, po dwie, łądowały wraz z ziemią na wywrotkach. Zauważyłem jak Piasek głęboko odetchnął. Po chwili brygadzista Porębski podszedł do mnie i zapytał, skąd wiedziałem, że tu mają budować stołówkę?

Nie wiedziałem, tylko byłem wtedy głodny i tak mi jakoś przyszła na myśl stołówka.

DZIURA

Podczas wakacji podłogi w całej szkole pomalowane zostały chemolakiem, który błyszczał jak dopiero co umyta szyba i był tak gładki, że po korytarzach dało się jeździć na pantoflach jak na ślizgawce, no i Jurek Buczek już pierwszego dnia po wakacjach wjechał Dąbrowskiej pod spódnicę. Dąbrowska uczyła nas rosyjskiego, choć nie było w stu procentach takie pewne, czy rosyjskiego, gdyż Pacan, naprawdę nazywał się Pac, ale tak na niego wołaliśmy, którego ojciec przed wojną i jeszcze dziesięć lat po wojnie mieszkał niedaleko Lwowa, twierdził, że Dąbrowska uczy nas języka rosyjskiego po ukraińsku, bo ona sama też pochodziła gdzieś z tamtych stron co ojciec Pacana i tam się mówiło po ukraińsku. Mnie nie robiło różnicy, najwyżej, myślałem, poznam dwa języki za jednym machem. Ale Borys, który przykładął dużą wagę do języków, sam od siebie uczył się francuskiego i angielskiego, powiedział, że ucząc się naraz ruskiego i ukraińskiego nie poznamy dobrze ani jednego z tych języków. I poszedł do dyrektora poskarżyć się na profesorkę od rosyjskiego. Dąbrowska po tej wizycie Borysa u dyrektora dalej tak samo uczyła, a Borys przez kilka miesięcy miał same dwóje z rosyjskiego.

Dąbrowska zawsze nosiła długie, fałdziaste spódnice, najczęściej zapinane z boku na duże guziki i Buczek wywróciwszy się podczas ślizgania na pantoflach wjechał Dąbrowskiej pod spódnicę jak pod duży klosz. Natychmiast, jeszcze nim to zauważyła profesorka od ruskiego, zerwał się na nogi i chciał uciec spod spódnicy, ale coś mu się poplątało, chyba ze strachu i zamiast wyjść dołem on usiłował wydostać się górą, wyglądało to tak, jakby zamierzał przecisnąć się pomiędzy paskiem spódnicy a brzuchem Dąbrowskiej. Patrzyliśmy zdziwieni co Jurek wyprawia pod spódnicą, a jeszcze bardziej zdziwieni zachowaniem profesorki, która na pierwszy dotyk Buczka stanęła niby spralizowana, z rękami rozłożonymi na boki i z takim wyrazem twarzy, jak gdyby została obłapiona przez ośmiornicę, I tak stała bez ruchu jeszcze długą chwilę po tym, gdy guziki posypały się na podłogę i Buczek ze spódnicą na głowie

pomknął w głąb korytarza. Pomyślałem, że jeśli i na widok profesorki stojącej w majtkach ktoś wybuchnie śmiechem, to ona jeszcze bardziej się zastoi i nigdy nie odejdzie o własnych siłach, trzeba będzie ją nieść. Lecz nikt się nie roześmiał. Dąbrowska w szarych, wełnianych majtkach, długich prawie do kolan i z postrzępioną dziurą na pośladku, nagle przemieniła się w starą, brudną babę, żebraczkę niemal, z której nikt się nie śmieje i na którą nikt nie chce patrzeć. Po chwili profesorka oprzytomniała, opuściła ręce i, zasłaniając jedną ręką dziurę w majtkach, szybko poszła do pokoju nauczycielskiego.

Patrząc za odchodzącą Dąbrowską byłem pewien, że tej dziury w majtkach, wystawionej przed oczy całej naszej klasy, nigdy nie podaruje Buczkowi. Inni myśleli o tym samym, gdyż Wiesiek Rogala powiedział, że już lepiej chodzić bez majtek niż z dziurą w majtkach. Milczeliśmy, a ta postrzępiona dziura rosła i rosła w mojej, nie tylko mojej wyobraźni.

Zośka Stępień pozbiarała guziki, podniosła z podłogi porzuconą przez Buczka spódnicę i zaniósła je do pokoju nauczycielskiego, gdzie akurat trafiła jak Dąbrowska, ubrana w biały fartuch laboratoryjny mówiła podniesionym głosem do nauczycieli, że za Stalina, to takiego sobakę od razu by skierowano do obozu pracy, bo za Stalina to był porządek... Gdy to opowiedziała Zośka, nabrałem już zupełnie przekonania, że właściwie nie ma sensu, aby Jurek dalej chodził do tego technikum, tylko strata czasu, bo i tak matury nie zrobi. Mąż profesorki od rosyjskiego był kuratorem, czasami wizytował naszą szkołę i nie było wielką tajemnicą, że Dąbrowska wiele może, nawet może zmienić dyrektora, dlatego mogła spokojnie uczyć nas rosyjskiego po ukraińsku.

Buczek, który nagle gdzieś zniknął, też musiał zdawać sobie sprawę ze swojego położenia, choć nie było wiadomo czy widział to najgorsze, czyli dziurę w majtkach, uciekł przecież ze spódnicą na głowie, no ale mógł ją widzieć wcześniej, pod spódnicą, mógł ją nawet sam zrobić... Kiedy o tym pomyślałem, coś mi zaświtało.

Ty, powiedziałem do Borysa, a jeśli Jurek zrobiłby sam dziurę w majtkach? Borys roześmiał się i w tym śmiechu był podziw dla mnie, po czym odrzekł, że wtedy istniałaby jeszcze jakaś szansa dla Buczka, pod warunkiem, dodał to, o czym i ja wiedziałem, że natychmiast, w obecności nauczycieli, przyznałby się do tego podarcia majtek.

Ale nie mogliśmy znaleźć Buczka. Przeszukaliśmy dokładnie warsztaty i laboratoria, gdzie było dużo dobrych miejsc do ukrycia się i nadaremnie. A czas płynął i nauczyciele, także Dąbrowska, mogli pójść do domu. Wreszcie odkryliśmy go schowanego za materacami w sali gimnastycznej, lecz za nic nie chciał dać się namówić, aby pójść do pokoju nauczycielskiego i przyznać się, że to on zrobił dziurę w majtkach. W ogóle nie potrafił zrozumieć, dlaczego namawiamy go do tego, sądził, że usiłujemy go zrobić w jeszcze większą aferę, bo nie dość,

iż spódnicę podarł... W końcu doszło do niego o co się tutaj rozchodzi. Zgodził się, lecz poprosił, żebym ja i Zośka Stępień poszli z nim do pokoju nauczycielskiego.

Po drodze, domyślając się zachowania Dąbrowskiej, poinstruowaliśmy Jurka, żeby za wszelką cenę przeczekał wymyślenia i te ruskie czy ukraińskie przekleństwa, którymi profesorka od rosyjskiego lubiła obrzucać uczniów i wykorzystał moment ciszy i powiedział wyraźnie, że przeprasza za to, iż nieumyślnie zrobił dziurę w majtkach.

Początek był taki, jak przewidziałem. Buczek nie mógł dojść do słowa, co chwilę zaczynał: prze... prze... Lecz natychmiast leciała na niego nawała niezrozumiałych słów, aż wreszcie udało mu się wcisnąć w ułamek ciszy i wyrzekł: przepraszam panią profesor, że w czasie tego wypadku niechcąc podarłem majtki pani profesor. Dąbrowska, zaskoczona, umilkła, a ja czytałem w jej myślach, iż przypomina sobie, że tę dziurę miała wczoraj, przedwczoraj i może jeszcze tydzień temu. Więc to ty zrobiłeś mi dziurę, powiedziała z namysłem, jakby nie całkiem przekonana, że oto znalazło się rozwiązanie, które wymazywało z oczu uczniów i przede wszystkim nauczycieli tę przekłętą dziurę w majtkach. Tak, pani profesor, potwierdził Jurek, ale przysięgam, że niechcąc. Widzicie sobakę, Dąbrowska spojrzała na nauczycieli, jak gdyby karcąc ich, że wcześniej podejrzewali, iż ona chodzi w dziurawych majtkach i zaraz pochwaliła Jurka, że zrobił co zrobił, ale wykazał obywatelską postawę i przyznał się.

Było już jasne, że Buczek pozostanie w szkole i nawet nie dostanie na okres dwóh z rosyjskiego. Skończone, wraz z Jurkiem i Zośką odwracaliśmy się, aby wyjść z pokoju nauczycielskiego, ale Dąbrowska widocznie chciała nauczycielom wbić mocno do głów, że całkowicie myliła się w swoich osądach, kiedy ją zobaczyli z dziurą na tyłku, gdyż zapytała Buczka: a czym ml tę dziurę zrobiłeś? Buczek zamierzał w pierwszym odruchu odpowiedzieć, co i ja bym zrobił, że rękami, lecz uzmysłowiłem sobie, i on zapewne też, że jego ręce nie miały prawa znaleźć się na pośladku profesorki od rosyjskiego. Gorączkowo zastanawiałem się, żeby jakoś dać znak Jurkowi, czym można zrobić dziurę w majtkach nie uwłaczając czi Dąbrowskiej, ale nic rozsądnego nie znajdowałem. Dałoby się to zrobić sprzączką od paska spodni, lecz przez bliskość tych rzeczy mogłoby się źle skojarzyć, blaszka odstająca od podeszwy buta też nie wchodziła w rachubę, tym bardziej, chociaż daleko od tych rzeczy, scyzoryk też odpadał. I gdy już znowu widziałem Buczka bez matury, ten wypalił: zębami, pani profesor. No, stwierdziłem bezradnie, nie tylko bez matury, ale i tej czwartej klasy nie dokończy. Zaś Jurek natychmiast dodał, że on ma takie wypadające, źle zrobione przez dentystę zęby i na dowód wyjął z ust protezę z czterema przednimi zębami, zaślinioną i upapraną resztkami jedzenia.

I to było tak niewiarygodne, a jeszcze bardziej odrażające, że wszyscy profesorowie

uwierzyli. A Dąbrowska, takie wówczas odniosłem wrażenie, sama już nie wiedziała, czy z dziurą w majtkach chodzi od kilku dni, czy dopiero Buczek ją zrobił.

OCHOTNIK

Nagle, podczas lekcji fizyki, przerabialiśmy wtedy prąd indukcyjny, wszedł woźny i powiedział: wszyscy do auli. To musiało być coś ważnego, dotąd co najmniej kilka dni wcześniej nauczyciele zapowiadali jakąś akademię czy spotkanie w auli. Mieliśmy wówczas sporo czasu, żeby porządnie przyszyć tarcze szkolne do rękawów marynarek, bo w drzwiach auli zawsze stał nauczyciel i ciągnął za tarcze, upewniając się w ten sposób, że nie są przypięte agrafkami. Tylko pierwszoklasiści, mim nie podpatrzyli u innych, przyszywali tarcze. My, ze starszych klas, używaliśmy agrafek, dzięki czemu tarczę w sekundzie zdejmowało się i w kilka sekund przyczepiało. Po mieście nikt nie chodził z tarczą na rękawie. Poza tym, gdy wcześniej zapowiadana była jakaś uroczystość w auli, ja, Borys i paru jeszcze chłopaków z klasy, braliśmy z sobą książki do czytania, żeby nie zdechnąć z nudów podczas kilka godzin przemówień i, jak to się nazywało, części artystycznej, czyli występów szkolnych zespołów ludowych i recytacji, choć czasami te ostatnie były zabawne, zwłaszcza gdy wyczekiwaliśmy kiedy któryś z tancerzy potknie się albo, jeszcze lepiej, lunie jak długi na scenę, wtedy najgłośniej i z dużą ochotą biliśmy brawa, bo za „Ode do młodości” czy „Bagnet na broń” klaskaliśmy słabo, jak za przemówienia, aż nauczyciele musieli pomagać, żeby było głośniej. Dwa razy w roku na część artystyczną zapraszany był taki okularnik z liceum, który umiał na pamięć całego „Pana Tadeusza”, ale na szczęście nigdy nie mówił więcej niż dwie księgi naraz. Dla tych, co nie czytali „Pana Tadeusza”, to było nawet dobre, mniej więcej wiedzieli o czym tam jest i nie musieli już czytać. Podziwiałem tego okularnika, ja żadnego wiersza powyżej dwóch zwrotek nie potrafiłem spamiętać, a i te dwie zwrotki zaraz zapominałem. W związku z tym nie mogę zrozumieć jakim sposobem przez tyle lat siedzi mi w głowie tabliczka mnożenia, bo na przykład z abecadłem to już mam kłopoty od u. Okularnik recytował „Pana Tadeusza” bez zająknięcia i, zdawało się, myśląc przy tym o czym innym.

Tego dnia, gdy woźny wezwał nas do auli, na scenę wyszła czwórka wietnamskich dzieci, których przyprowadził dyrektor Kęciński. Dwie Wietnamki, dwóch Wietnamczyków. Stali niepewnie, jakby przepraszając, że są. Dyrektor z początku też zachowywał się tak, jak gdyby nie wiedział po co przyprowadził tych Wietnamczyków, stał z nimi na scenie i z wyczekiwaniem spoglądał na drzwi. Wreszcie Kęciński zaczął, że oto przyjechała do nas młodzież prosto z ogarniętego wojną Wietnamu, aby nam osobiście opowiedzieć o walce narodu wietnamskiego z amerykańskim agresorem, tylko, dyrektor bezradnie rozłożył ręce i znowu spojrzął na drzwi, zapodział się gdzieś tłumacz, a oni nie znają ani słowa po polsku. No i poprosił, żebyśmy byli cierpliwi przez kilka minut i poszedł chyba szukać tego tłumacza. Wietnamczycy zostali na scenie, patrząc na nas i my na nich patrzyliśmy w milczeniu. Wydali mi się bardzo samotni, zrezygnowani, jak misie w cyrku, które muszą robić sztuczki. Jakoś mnie samego poderwało, zaniósłem na scenę krzesło i pokazałem najbliższej stojącej Wietnamce, żeby usiadła. Ona usiadła i zaraz pojawiły się krzesła dla trojga pozostałych Wietnamczyków. Usiedli i jeszcze bardziej wydawali się opuszczeni, już nie jak misie w cyrku, tylko młode ptaki wyrzucone z gniazda. Pomyślałem, że dobrze byłoby zająć ich czymś, aby nie musieli tak siedzieć i gapić się na nas i dałem im swoją bułkę z pasztetówką. Wówczas na scenę wybiegło, no, nie wiem, z kilkadziesiąt uczniów i każdy wtykał Wietnamczykom swoje drugie śniadanie. Po chwili Wietnamczycy mieli na rękach i na udach pełno kanapek, jakby ktoś rzucał w nich kanapkami, a oni trzymali je ze strachem, żeby przypadkiem nie spadły na podłogę. O tym, żeby w tej sytuacji mogli w ogóle jeść, nie było mowy. Ale zaraz ktoś domyślny przydźwigał stolik, na którym złożyłem wszystkie kanapki. Przypadkowo się trafiło, że moja bułka z pasztetówką znalazła się na wierzchu kanapek. Poczulem zapach mojej pasztetówki i nagle zrobiłem się tak głodny... Stwierdziłem, że Wietnamczycy i tak wszystkiego nie zjedzą, więc dlaczego ja akurat mam być stratny, wystarczy, że dałem sygnał do zbiórki kanapek. I zabrałem swoją bułkę. Po mnie, w pół minuty, inni też wzięli ze stolika swoje drugie śniadania, nic nie zostało. Wietnamczycy nie okazywali żadnego żalu, nawet zdziwienia, a mnie zrobiło się trochę głupio i postanowiłem z powrotem położyć bułkę z pasztetówką na stoliku, ale w chwili mojego postanowienia wrócił na scenę dyrektor Kęciński. Szybko poszedłem na swoje krzesło w auli.

Tłumacz zapodział się na amen i dyrektor zaczął sam opowiadać o bohaterskiej walce Wietnamczyków z imperialistycznym najeźdźcą, ale opowiadać z takim przejęciem i tak obrazowo, jakby osobiście walczył w dżungli wietnamskiej. Słuchając Kęcińskiego widziałem w wyobraźni samoloty zrzucające bomby na wietnamskie wioski, widziałem pola ryżowe spalone na popiół napalmem, widziałem zabitych i rannych Wietnamczyków,

wreszcie widziałem jak młode dziewczęta i chłopcy, tacy sami jak ci, którzy siedzieli na scenie, przedzierają się z ważnymi rozkazami przez amerykańskie pozycje lub, w zastępstwie zabitych ojców, strzelają z karabinów maszynowych do nadlatujących helikopterów i wówczas postanowiłem zgłosić się na ochotnika do Wietnamu.

Jak się cała ta impreza skończyła, powiedziałem Borysowi, że chcę jako ochotnik walczyć w Wietnamie. Borys zapytał, po której stronie zamierzam walczyć, bo jeśli po amerykańskiej, to mnie nie wypuszczą z Polski, a jeśli po wietnamskiej, to też mnie nie puszczą, w obawie, że przy pierwszej nadarzającej się okazji poddam się Amerykanom i będę usiłował wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Spojrzałem na Borysa zdumiony, skąd mu w ogóle przyszło do głowy, że ja mógłbym chcieć wyjechać do Ameryki i, z tego by wynikało, razem z Amerykanami strzelać do biednych Wietnamczyków, czy ja jestem kolonizator albo imperialista? I doszedłem do wniosku, że taką myśl mógł wziąć tylko ze słuchania zakazanego radia, tego buczenia z Ameryki i Wolnej Europy.

Od początku roku szkolnego, odkąd Borysowi matka przysłała z Francji radio na baterie, ze słuchawkami, on całymi dniami i często jeszcze w nocy słuchał radia. Z początku myślałem, że słucha Bitelsów i w ogóle big bitu, aż raz, gdy Borys poszedł do ustępu, nałożyłem słuchawki na uszy... mówili o czwartym rozbiorze Polski dokonany przez Niemcy i Związek Radziecki. Myślałem, że mi uszy odpadną ze strachu, iż coś takiego słyszę, natychmiast zdjąłem słuchawki, a Borys po chwili wrócił i dalej słuchał radia, ale z tak obojętną miną, jakby to kierownik internatu mówił przez radiowęzeł. Nie przyznałem się, że wiem, czego Borys słucha, bo nawet bałem się wiedzieć, choć właściwie sam nie rozumiałem dlaczego.

Wtedy, kiedy Borys pytał po czyjej stronie zamierzam walczyć w Wietnamie, uzmysłowiłem sobie, że w ostatnim czasie Borys coraz częściej stawia takie pytania, że nie wiadomo jak odpowiedzieć. To, z Wietnamem, było proste, nie miałem żadnych rozterek. Ale ileś dni wcześniej prosił, abym mu powiedział, czy podoba mi się ustrój socjalistyczny? Dla pozorów, że niby zastanawiam się nad odpowiedzią, że niby w tym jego pytaniu znajduję jakiś głębszy sens, pomilczałem chwilę, po czym odrzekłem, że tak, podoba mi się. Wówczas Borys z kolei zapytał, czy podoba mi się ustrój kapitalistyczny? Tym razem już nie dla pozorów, ale naprawdę zacząłem się głowić nad odpowiedzią, gdyż poczułem się jak gdybym wpadł do klatki. Po tym, co widziałem na filmach amerykańskich czy francuskich, wiadomo, wspaniałe auta, wytwornie ubrane kobiety albo wytwornie rozebrane, piękne mieszkania, domy nad oceanem, no, klasa wszystko, włącznie z piciem wódki, kiedy to z grzechotem obijają się kostki lodu, no po tym wszystkim trudno by mi było stwierdzić, że mi się

kapitalizm nie podoba, ale na zdrowy rozum biorąc, nie może mi się podobać socjalizm i kapitalizm jednocześnie. Borys, jakby domyślając się zamętu w moich myślach, zaczął się śmiać i zapytał, czy kocham swoją matkę? O co mu teraz chodziło już zupełnie nie potrafiłem zrozumieć. On jednak tym razem nie czekał na moją odpowiedź, tylko zaraz wyjaśnił, że my, urodzeni po wojnie, jesteśmy dziećmi socjalizmu i kochamy ten ustrój na zasadzie bezwarunkowego odruchu, podobnie jak kocha się matkę, nie zastanawiając się czy jest dobra, czy zła, ale niech się tak okaże, ciągnął Borys dalej z coraz poważniejszą miną, że matka nie jest naszą naturalną matką, tylko przybraną, co wcześniej przed nami ukrywała, to zaczniemy szukać prawdziwej matki po trupie macochy.

Pomyślałem, że z Borysem dzieje się nie najlepiej, myślami odbiega gdzieś zanadto w bok i to musiało mieć związek z radiem, które mu przysłała matka. Bo od tego czasu Borysowi nie podobało się coraz więcej rzeczy w Polsce. I ja też poczułem się zagrożony przez Borysa. Właśnie po mojej z nim rozmowie o Wietnamie uzmysłowiłem sobie, że to jego niepodobanie i mnie się zaczęło udzielać. Na przykład Pałac Kultury w Warszawie... Należał do moich ulubionych budowli, taka ogromna rakietą nad miastem, potężny, ale samotny budynek, żadnego bliźniaka w całej Warszawie, gdy inne domy stały rodzinami. Miałem kilkadziesiąt widokówek z Pałacem Kultury. Będąc z ojcem w Warszawie, dwa razy obszedłem Pałac dookoła, nie mogąc się nadziwić jaki jest ogromny, ile ma okien, ile bram, pojechałem też windą na jedno z ostatnich pięter Pałacu i wówczas, spoglądając z góry na szarą, niziutką Warszawę, wyobraziłem sobie więcej takich Pałaców Kultury stojących w różnych dzielnicach miasta i od razu nasza stolica wydała mi się najwspanialszą na świecie. Ale gdy Borys, oglądając moje widokówki, powiedział, że Pałac Kultury powinno się rozebrać do parteru albo przynajmniej przewrócić go na bok, gdyż taki, jaki jest, żadnym sposobem nie pasuje do Warszawy ani do innego polskiego miasta, bo Polacy nigdy nie budowali w górę tylko wszerz i gdy to powiedział i ja stwierdziłem, że ten Pałac to jednak monstrum, jakby coś z obcej planety.

Borys próbował posiać też we mnie wątpliwości co do Wietnamu, zastanawiając się głośno, co byłoby lepsze dla tej części Azji: socjalizm czy kapitalizm. Lecz w tym wypadku ani Borys, ani dziesięć zagranicznych rozgłośni nie przekonają mnie, że racja znajduje się po stronie tych, którzy napadają jakiś kraj.

Nie miałem zamiaru odstąpić od decyzji wyjazdu na ochotnika do Wietnamu. Ale nie dowiadywałem się jeszcze, w jaki sposób, konkretnie, można zaciągnąć się do Wietnamu, zdając sobie sprawę, że wpierw muszę się nauczyć żołnierskiego fachu, strzelać z karabinu, rzucać granatem, poznać zasady walki partyzanckiej, no i przede wszystkim przysposobić się

do życia w dżungli, inaczej nie przydam się Wietnamczykom. Dopiero gdy tego wszystkiego nauczę się, napiszę do ambasady wietnamskiej, żeby mnie przyjęli do swojej armii. Poza tym może do tego czasu namówię więcej chłopaków na wyjazd do Wietnamu i utworzymy polską brygadę młodzieżową, najbardziej to by mi zależało na Borysie. Nawet zgodziłbym się, aby on był moim dowódcą.

Na początek postanowiłem korzystać jak najwięcej z zajęć z przysposobienia wojskowego, ale po kilku tygodniach widziałem, że to, czego uczy instruktor Fijek, nijak nie przyda mi się w Wietnamie, bo co mi ze znajomości teorii strzelania z karabinu i wiedzy o balistyce zewnętrznej i wewnętrznej, tego dajmy na to, że część wznosząca się toru krzywej balistycznej jest dłuższa od opadającej, gdy prawdziwego karabinu nie mogłem dotknąć, ponieważ ćwiczenia ze strzelania były przewidziane dopiero w ostatniej klasie technikum, za rok, a ja w tym czasie już chciałem być nad Morzem Południowochińskim. W ramach dodatkowych pytań próbowałem dowiedzieć się od instruktora o, chociażby z grubsza, warunki panujące w dżungli. Dowiedziałem się jedynie, że bambus rośnie z prędkością jednego metra na dobę. Postanowiłem to zapamiętać, nigdy nie wiadomo co człowiekowi może się przydać w warunkach bojowych.

Ale to wszystko było nic i pozostało mi na własną rękę dowiadywać się, ćwiczyć, sposobić do walk w Wietnamie. Znalazłem kamień o wadze i wielkości granatu ręcznego i codziennie rzucałem nim na internatowym boisku, celując do wykopanego dołka. W nocy, gdy wszyscy spali, czołgałem się po korytarzach i schodach internatu. Nauczyłem się kilku chwytów dzudo, które wypróbowałem napadając zniemacka na Marciniaka. A żeby przyzwycząić się do gorącego klimatu, jaki jest w Wietnamie, ubierałem kilka koszul i swetrów, i zimowy płaszcz i tak okutany odrabiałem lekcję. Z tego powodu wściekali się Piasek i Marciniak, gdyż nie mogli spokojnie pisać zadań, bo co chwilę ktoś przychodził do naszego pokoju aby mnie oglądać. Chciałem też wstąpić do drużyny strzeleckiej przy klubie sportowym „Dunajec”, ale Kasztan nie podpisał mi zgody na wychodzenie z internatu na treningi.

Chłopaki śmiali się ze mnie i czasami, dla zabawy, urządzali zasadzkę na „Wietnamca”, jak mnie niektórzy zaczęli nazywać. To mi nawet odpowiadało, gdyż w ten sposób doskonaliłem się w sztuce wymykania z pułapek. Raz, kiedy mnie w korytarzu otoczyli z dwóch stron i zażądali bezwarunkowego poddania się, tak, że wydawało się, iż nie mam żadnego wyjścia, oprócz oczywiście rozszarpania się granatem, wyskoczyłem z pierwszego piętra oknem na boisko i stamtąd umknąłem do kotłowni. Przesiedziałem godzinę za węglem i z kolei ja zasadziłem się na tamtych, podeszłem ich tak niespodziewanie, że wystarczyło nacisnąć spust pistoletu maszynowego... tylko że oni już zapomnieli o mnie i grali w ping

ponga. Ale mój skok z okna zrobił na chłopakach wrażenie i zdaje się, że dopiero od tego skoku uwierzyli iż naprawdę chcę zgłosić się na ochotnika do Wietnamu, a nie, że wygłupiam się. Buczek dał mi w prezencie kompas, Piasek nawet starą kaburę na pistolet, którą wykradł ojcu milicjantowi, a Wiesiek Rogala przestrzegał mnie, żebym się nie podwalał do Wietnamek, bo złapię azjatyckiego syfa, a ten, zdaniem Rogala, jest nieuleczalny dla człowieka z Europy. Janusz Sęk zazdrościł mi samej podróży do Wietnamu, przychodził do mnie z atlasem świata i pokazywał przez jakie państwa będę przelatywał albo, i on mi to doradzał, przejeżdżał pociągiem. Pociągiem to było kilkanaście krajów, między innymi Turcja, Iran, Pakistan, Indie. Powiedziałem, że pociągiem to nazbyt ryzykowna podróż, że mógłbym nie dotrzeć do celu, zasztyletowany, albo zjedzony po drodze, bo akurat w Pakistanie panował wielki głód. Sęk zdziwił się, że co mi za różnica, skoro i tak wybieram się do Wietnamu. Zośka Stępień, która, jak to baba, niezbyt wiele wiedziała o świecie i jeszcze mniej rozumiała się na polityce, prosiła, żebym ją zaprosił, gdy po wojnie urządzę się już w Wietnamie. Później dopiero okazało się, że Zośce Wietnam pomylił się z Wenezuelą, chociaż to i tak...

Tylko Borys trzymał się na uboczu, o nic nie dopytywał się, nic mi nie doradzał w związku z Wietnamem, choć wszystkiemu przysłuchiwał się bardzo uważnie i wyczuwałem, że pomimo to moje plany wyjazdu do Wietnamu interesowały go bardziej niż innych, aż myślałem, czy aby nie pragnie dołączyć się do mnie. Gdy odrabiając lekcje siedziałem w kilku swetrach i koszulach, cały zapocony, tak, że pot spływał mi z dłoni na zeszyt, Borys zdejmował z uszu słuchawki radia i patrzył na mnie jak w telewizor, nie mówiąc ani słowa. Niekiedy wychodził za mną na korytarz i przyglądał się mojemu czołganiu, w nocy zaglądał też pod łóżko, gdzie spałem, przygotowując się do niewygód życia partyzanckiego, poza tym wydawało oni się, że podczas mojego całonocnego czuwania przy oknie, co traktowałem jako trening do służby wartowniczej, on także nie spał całą noc. Co prawda Marciniak i Piasek też wówczas nie mogli spać, przeklinając mnie, że stoję nad ich głowami, jak gdybym zamierzał zabić przez sen. Z ich wrzasku nic sobie nie robiłem, to znaczy denerwowałem się, ale to z kolei były dla mnie odpornościowe ćwiczenia psychiczne.

Borys nie wytrzymał dopiero wtedy, kiedy z pracowni geograficznej ukradkiem pożyczyłem dużą mapę Wietnamu, żeby ją przerysować przez kalkę techniczną i nauczyć się na pamięć wszystkich dróg, gór i rzek w Wietnamie. Wówczas zapytał, czy wyznaczam sobie miejsce na pochówek, jeżeli w ogóle znajdzie się jeszcze coś ze mnie do pochowania? Udałem, że nie słyszę.

Zimą, przed feriami, stwierdziłem, że właściwie nauczyłem się już wszystkiego, czego

mogłem nauczyć się sam i że teraz powinienem odbyć prawdziwe przeszkolenie żołnierskie na miejscu, w Wietnamie. I, znajdując adres w książce telefonicznej, napisałem list do ambasady wietnamskiej, oświadczając, że pragnę jako ochotnik znaleźć się w armii wietnamskiej, aby bronić tego narodu przed amerykańskim agresorem. Na końcu listu dodałem, że może mój przykład spowoduje, że młodzi ludzie, wyznający socjalistyczne ideały, nie tylko z Polski, lecz i z innych krajów, zaczną masowo przybywać do Wietnamu. List pisałem w obecności Borysa, mając nadzieję, że w końcu złoży swój podpis obok mojego. Gdy zaklejałem kopertę odniosłem wrażenie, jakby Borys chciał mi ją wyrwać.

Po miesiącu od wysłania listu do ambasady wietnamskiej zostałem wezwany do dyrektora Kęcińskiego. W jego gabinecie siedział nieznany mi mężczyzna z krótko przystrzyżonym wąsem. Jak tylko wszedłem, obserwował mnie w taki sposób, że nie miałem wątpliwości, iż to dla tego mężczyzny zostałem wezwany do gabinetu dyrektora. Po chwili milczenia nieznajomy ni zapytał, ni stwierdził: to wy chcieliście jechać do Wietnamu” – potwierdziłem ruchem głowy, że tak, ja. To bardzo szlachetne, powiedział spokojnie mężczyzna, po czym nagle zmienił ton i ostro zapytał, że dlaczego w takim razie kopię listu do ambasady wietnamskiej wysłałem do Radia Wolnej Europy? Odrzekłem zaskoczony, że nic nie wysyłałem do żadnej Europy, nawet nie wiem jaki tam adres. A to co? – mężczyzna wyjął z kieszeni list, podał mi go, pisało w nim słowo w słowo to samo co ja napisałem do ambasady, ale nie było to moje pismo, tylko Borysa, rozpoznałem od razu. Z zaskoczenia miałem już wymówić nazwisko Borysa, ale w ostatniej chwili uświadomiłem sobie, że to by znaczyło moje rozstanie z Borysem, a tego sobie jakoś nie wyobrażałem. W ogóle, co do Borysa, to myślałem, że już resztę życia spędzimy razem. Choć w żaden sposób nie mogłem zrozumieć jaki miał cel, wysyłając list w moim imieniu do Wolnej Europy, tej samej, której słuchał kilka godzin dziennie. Czy wy sobie zdajecie, tym razem nieznajomy zwrócił się do mnie jakby z ojcowskim napomnieniem, że gdyby wasz list dotarł na Zachód, cały świat posądziłby nas o wysyłanie ochotników do Wietnamu, co zupełnie mijałoby się z prawdą.

Gdy po raz drugi, trzeci i dziesiąty zaprzeczyłem, jakobym to ja był autorem listu do Wolnej Europy, dyrektor kazał mi przynieść z klasy zeszyty, żeby porównać moje pismo z tym, co w liście. Po kilkunastu minutach wpatrywania się w moje pismo i w list, zgodnie stwierdzili, że to chyba nie ja pisałem do Wolnej Europy, i zapytali, czy wiem, kto mógłby to zrobić. Skłamałem, że nikogo nie było przy mnie, kiedy pisałem list do ambasady wietnamskiej. Wówczas mężczyźni z wąsikami wyrwało się, że to widocznie ci z ambasady postanowili nagłośnić sprawę. I kazali mi wrócić do klasy, zabraniając komukolwiek opowiadać o tej rozmowie.

Pierwsze co zrobiłem po przyjeździe do internatu, to wyrzuciłem przez okno radio Borysa. Słyszałem jak iż chrzęstem rozleciało się na kawałki, piasek i Marciniak z wyczekiwaniem spojrzeli na Borysa, przekonani, że dojdzie pomiędzy mną a Borysem do potężnej bójki, ale Borys, nawet nie wyglądając przez okno, powiedział do mnie: teraz na pewno nie pojedziesz do Wietnamu, nigdy!

Marciniak i Piasek wyszli z pokoju. Wyglądało na to, że oni wcześniej niż ja i Borys zrozumieli, że to, do czego doszło między nami, to była przyjaźń.

WIOSNA

Już poprzedniego roku widywaliśmy mrówki w suterynie internatu, obok magazynu kuchni. Łaziły po kronikach chleba, które w wiklinowym koszu, w tajemnicy przed kierownikiem internatu, wystawiały nam kucharki na noc, jeżeli oczywiście zostało coś chleba po kolacji. Borys brzydził się jeść chleb, po którym chodziły mrówki, te same przecież, mówił, które łaziły po brudnej posadzce suteryny, a poza tym same od siebie wydzielają żrący, trujący kwas. Mnie to nie przeszkadzało, niejednemu raz zjadłem chleb, który mi upadł na podłogę i jakoś nigdy z tego powodu nie zachorowałem, a kwas mrówkowy? Mrówkojady obżerają się mrówkami i wcale im to na złe nie wychodzi, też nie słyszałem aby człowiek zatrzał się tym, co wydzielają mrówki. Chińczycy robią potrawy z mrówek i pewnie smakują im one tak samo, jak mrówkojadom.

Borys lubi być inny, ale to mi się w nim podoba. Chodzi, jak to się mówi, własnymi ścieżkami i myśli po swojemu, czyli inaczej niż inni, co akurat często niezbyt przypada do gustu nauczycielom. W ogóle uchodzi wśród nas za takiego, który by najchętniej zamieszkał na bezludnej wyspie, żeby mu nikt w niczym nie przeszkadzał. Ale ja wiedziałem, że gdyby Borys znalazł się na bezludnej wyspie, to byłoby to dla niego coś najbardziej nieznośnego, nie do wytrzymania, gdyż wówczas nie mógłby być inny, bo nie miałby wobec kogo być inny. Tylko ta inność Borysa była dla mnie trochę zagadką. Nie potrafiłem rozgryźć, czy jest inny z wyrachowania, czy taki jest już z natury. Skłaniałem się raczej ku temu drugiemu, gdyż rozsądek podpowiadał mi, że z wyrachowania to człowiek stara się zbytnio nie rzucać w oczy, tylko jak w przyrodzie wśród zwierząt, przybierać barwy ochronne, dostosowując się do otoczenia, czyli do większości ludzi. A tego Borys nie robił.

Co do mrówek... Pod koniec ubiegłego roku szkolnego, z suteryny obok kuchni przeniosły się do kotłowni i łaźni, gdzie maszerowały po rurach niby po ulicach, szły jedna za drugą jak – po niewidzialnym sznurku. Gdy w łaźni puszczałyśmy z pryszniców wrzątek, bo na

początku kąpieli wypełnialiśmy łaźnię tak gęstą parą, iż jeden drugiego nie widział, mrówki uciekały po rurach w ściany, znajdując tam dla siebie prześwity.

Ale tej wiosny mrówkom chyba przestały odpowiadać te nagłe zmiany klimatu, z zimnego na gorący i wilgotny, i odwrotnie, i już pewnie miały dość napychania się chlebem, a do magazynu kuchni nie dały rady się precyzyjnie, gdyż magazyn był jednocześnie lodówką z hermetycznymi drzwiami na gumowe dociski. I stało się, że mrówki w ciągu jednego tygodnia przeniosły się z suteryny na wszystkie piętra internatu. Nagle ujrzeliśmy je w pokojach, jak wychodziły dziurami obok rur centralnego ogrzewania, z gniazd przewodów elektrycznych, spod listew podłóg, no, zewsząd. A najgorsze nastąpiło, gdy pojawiły się falangi mrówek ze skrzydłami, sfruwały na głowy, zeszyty, łóżka, w nocy trzeba je było strzepywać z poduszek, a dziewczynom, gdy spały, wchodziły w najbardziej intymne miejsca i przez to Krysia Skorupka, o której wszyscy wiedzieliśmy, że po maturze zamierza wstąpić do klasztoru, chciała nawet przenieść się z internatu na stację, ponieważ poczyniła już prywatny ślub z Panem Bogiem, że „tego” miejsca nie pozwoli nikomu dotknąć, zresztą, jak mi opowiedziała Zośka Stępień, sama „tam” też nigdy nie dotykała się. Ale spowiednik wytłumaczył Krysi, o czym ona rozpowiedziała koleżankom, że mrówki to niewinne stworzenia boże, które nie wiedzą co czynią i jeżeli wchodzi w jakieś miejsca, to kierują się jedynie zapachem, instynktownie poszukując jedzenia. Ksiądz poradził Skorupce, aby myjąc się używała mocno pachnącego mydła, gdyż akurat mrówki nie znoszą zapachu mydła, no i żeby tego mydła nie żałowała na żadną część ciała.

Minęły dwa tygodnie i cały internat zamienił się w ogromne mrowisko. W jednych pokojach było więcej mrówek, w innych mniej. W moim pokoju, w którym jak każdego roku mieszkalem z Piaskiem, Borysem i Marciniakiem, tych mrówek, wydawało mi się, było najwięcej i co dziwne, najczęściej podążały do szafki Marciniaka i pod jego łóżko. Z początku myślałem, że mrówki, jako stworzenia leśne i polne, i poniekąd wiejskie, wyczuwają, że Marciniak jest ich dalekim pobratymcem, mieszkańcem wsi. Ale gdy zorientowałem się, że z sąsiednich pokoi ubywa mrówek, a w naszym przybywa, i to tak, że rano podłoga wyglądała jak wyłożona ruchomym dywanem, doszedłem do wniosku iż mrówki musi przyciągać coś, co znajduje się w walizkach i szafie Marciniaka. Postanowiłem to zbadać. Kiedy nikogo nie było w pokoju wysunąłem walizki spod łóżka i otworzyłem. Mrówek w nich było tyle, ile mogło się pomieścić. Natychmiast, żeby się nie rozpełzły po pokoju, zalałem je wodą, a gdy po chwili wodę z walizek, wraz z mrówkami, wylałem do ustępu, zobaczyłem przylepiony do dna walizki poćiec słoniny. Natomiast w szafie Marciniak trzymał starą, już zapleśniałą kiełbasę, na której także kłębiła się masa mrówek. Kiełbasę też

wyrzuciłem do ustępu. Później przez długi czas Marciniak miał do mnie pretensje, że pozbawiłem go jedzenia.

Wszyscy mieszkańcy internatu, z wyjątkiem Borysa, zawzięcie walczyli z mrówkami, ale każdy na swój sposób i każdy pokój osobno, gdyż Kasztan, na nasze skargi, że przez mrówki uczyć się nie możemy ani wyspać porządnie, odpowiadał ze śmiechem, że mrówki to nie szczury i na pewno nikogo nie zjedzą. Więc jedni w otwory w ścianach wlewali wodę zmieszaną z proszkiem do prania, drudzy plasteliną zalepiali dziury, którymi wylaziły mrówki, inni kładli boraks na ścieżkach mrówek, lecz nie dawało to żadnych efektów. Mrówki, takie odnosiłem wrażenie, były rozbawione naszymi poczynaniami.

Borysowi mrówki w ogóle nie przeszkadzały, nawet jak mu łąziły po książce, którą czytał. Uważał, że nasza walka z mrówkami jest pozbawioną sensu, gdyż w ścianach internatu, w różnych jego zakamarkach, latające samice złożyły już tyle jaj, że właściwie pozostał już tylko jeden sposób na pozbycie się mrówek: spalić internat i zbudować go od nowa. Ale Borys, choć nie brał udziału w zabijaniu mrówek, to jednak, okazało się, ich obecność nurtowała myśli Borysa. Któregoś dnia, kiedy w naszym pokoju zebrało się więcej chłopaków, powiedział tym swoim namaszczonej tonem, trochę jak ksiądz z ambony, że gdy mrówki opuszczają ziemię, czyli swoje naturalne środowisko i przenoszą się do żelbetonowego budynku, musi to oznaczać, iż dojdzie do czegoś niedobrego i to już niedługo, najpewniej tej wiosny. Mnie przyszedł na myśl potop, ten, przed którym Noe uratował się w arce i dlatego mrówki uciekają jak najwyżej. Dla nich nasz trzypiętrowy budynek to chyba coś wyższego aniżeli dla nas Tatry.

Borys, gdy mu powiedziałem o potopie, stwierdził, że może być i potop. A po namyśle dodał, że czy potop, czy bomba atomowa, czy jakieś anomalie w przyrodzie, na przykład, że z lata zrobi się zima i ludzkość z głodu wymrze, czy nowa, nieznana dotąd choroba, jak dżuma, która w średniowieczu uśmierciła Jedną trzecią ludzi na świecie, czy najazd kosmitów, którzy postanowili opanować Ziemię na miejsce swojego zamieszkania, czy cokolwiek innego, ale coś w środku mówi mu, że ta wiosna całkiem odmieni jego życie, a może nawet skróci? Uznałem, że przesadza i wyśmiałem te jego przepowiednie kataklizmów, zwłaszcza, że za najważniejszy znak w tej swojej apokaliptycznej wizji uznał przeprowadzkę mrówek do budynku zbudowanego z żelaza i betonu, a nie na wysokie drzewa lub górę Marcina, najwyższą górę w pobliżu miasta, zakładając, że tym kataklizmem miałyby być potop. Na moje pytanie, czy taka głupia mrówka może odróżnić żelazobeton od drzewa, Borys opowiedział o doświadczeniu, które przeprowadzili farmerzy holenderscy. Wybudowali oni trzy chlewnie dla świń, nie różniące się kształtem ani wyposażeniem, z tym, że jedna chlewnia zbudowana

była z drewna, druga z cegieł, trzecia z betonu. Ogrodzili je i wpuścili za ogrodzenie stado dwudziestu świń. Świnie wpięrowo obeszyły, niby turystki, wszystkie trzy chlewnie, po czym zamieszkały w tej, która została zbudowana z drewna. Po tygodniu farmerzy rozebrali drewnianą chlewnię i świnie przeniosły się do obory z cegieł. Żyły tam tydzień, dopóki farmerzy i tej chlewni nie rozebrali. Wówczas świnie zamieszkały na polu, nawet nie wchodząc do chlewni z betonu. Więc dlaczego mrówki wybrały to najgorsze dla siebie miejsce? – zapytał Borys.

W gruncie rzeczy nie bardzo rozumiałem o co Borysowi chodziło, opowiadając mi o doświadczeniu farmerów holenderskich. Jeżeli mrówki instynktownie przeczuwały nadejście jakiegoś kataklizmu, to uciekły gdzie miały najbliżej. Przecież nie mogły sobie wybrać jakiegoś obcego kraju i tam pojechać, jak to czynili niektórzy sportowcy, nie wracając do Polski z zawodów sportowych w Paryżu czy Rzymie. Tylko że z tym kataklizmem... No, Borys jak już zacznie o czymś myśleć, to nie przestanie, dopóki jego myśl nie zajmie się czymś innym.

Lecz na szczęście dla nas wszystkich mieszkających w internacie, mrówki wreszcie dotarły do mieszkającego w przybudówce internatu Kasztana i on zwołał komisję Sanepidu i zaprosił specjalistów z zakładu zoologii w Krakowie, żeby znaleźli sposób na pozbycie się mrówek z internatu. Naukowcy stwierdzili, że najlepiej wytruć mrówki środkiem toksycznym, ale jest on bardzo szkodliwy dla zdrowia ludzkiego i w związku z tym trzeba na tydzień wykwaterować uczniów z internatu. Na to jednak nie zgodził się dyrektor Kęciński. W tej sytuacji naukowcy zaproponowali, żeby w miejscach, skąd wychodzą mrówki, stawiać talerzyki z gotowanym mięsem wołowym i z wstrzykniętym w mięso trującym preparatem, ale, postawili przy tym warunek, że gdy talerzyki będą się znajdować w pokojach, okna muszą być cały czas otwarte na oścież. Był marzec, termometr wskazywał dziesięć stopni ciepła, jeżeli te dziesięć stopni można było nazwać ciepłem. Rano, wychodząc do szkoły, zostawialiśmy okna otwarte, ale popołudniu, odrabiając lekcje, mię dało się wytrzymać przy otwartym oknie. A w nocy w każdym pokoju okna były zamknięte.

Po trzech dniach mrówki zjadły wszystko co znajdowało się w talerzykach i, zdaniem naukowców, po tym czasie miały wyginać co do jednej. Ale one dalej chodziły jak gdyby nigdy nic, nie poruszały się wprawdzie już z taką żwawością jak uprzednio, ale to pewnie dlatego, że odwłoki miały tak nabrzmięte, iż brzuchami szorowały po podłodze. Poza tym wcale nie zauważyłem aby zmniejszyła się ilość mrówek. Wielu z nas cieszyło, że mrówki okazały się uodpornione na truciznę sporządzoną przez naukowców z Krakowa, gdyż teraz niechybnie cały internat musi być poddany dezynsekcji, a nas czekał tydzień wolny od zajęć

szkolnych.

Naukowcy jeszcze raz przyjechali do szkoły i gdy na własne oczy przekonali się, że mrówek jest tyle ile było, a nawet stwierdzili, że wykluły się młode pokolenia, orzekli zdecydowanie, iż jedynym skutecznym ratunkiem dla internatu jest dezynsekcja mocnym środkiem toksycznym. I tym razem dyrektor musiał się zgodzić na nasz wyjazd z internatu. Dano nam dwa dni czasu na spakowanie się i po tym czasie nikogo miało nie być w internacie, nawet kierownika internatu, Kasztana, który przez tydzień miał mieszkać w hotelu robotniczym zakładu chemicznego.

I jak wcześniej zapamiętaliśmy tłukliśmy mrówki i zalepialiśmy wszystkie szczeliny w ścianach i podłogach plasteliną, teraz uważaliśmy, aby niepotrzebnie ich nie zdeptywać i z powrotem odklejaliśmy plastelinę, licząc na to, że jeśli zostanie więcej mrówek, to może w ciągu tygodnia nie da się ich wszystkich wytruć nawet tym silnym środkiem toksycznym. i dłużej pobędziemy w domach.

Marciniak chciał już jechać w nocy, nie czekając następnego dnia, ale portier nie wypuścił go z internatu. W sumie to dobrze stało się dla niego, że portier nie pozwolił mu wcześniej wyjechać, gdyż nad ranem połowa chłopaków z naszego piętra dostała torsji, a druga połowa sraczki. Nie wszyscy zdążyli obudzić się na czas i dobiec do ustępu lub umywalni, a ci, którzy się wcześniej obudzili i tak nie mogli pomieścić się w ustępach i nad umywalkami. Wyobraziłem sobie, co byłoby, gdyby Marciniak w pociągu, albo już we wsi, w drodze do domu, dostał biegunki...

Pomyślałem, że może właśnie to jest ten kataklizm, który Borys zapowiadał w związku z inwazją mrówek na internat. W ciągu jednej godziny podłogi na całym piętrze pokryte były rzygowinami i biegunkowymi odchodami, każdy chodził na golasa i, nie zwracając na nikogo uwagi i sam, jakby też nie zauważany przez nikogo, kuczał w którymkolwiek bądź miejscu, gdy go przycisnęła potrzeba. Dziwiłem się, że tego całego ruchu na korytarzu i przekleństw i przerażonych okrzyków, że zostaliśmy otruci, nie słyszy nasz nowy wychowawca, Winiar. I przyszło mi na myśl, że może z nim stało się coś najgorszego i natychmiast bez pukania wszedłem do jego służbowego pokoju. Winiar w pidżamie opuszczonej do kolan kuczał nad gazetą i uśmiechał się do mnie przepraszająco, zawstydzony. Wówczas mu powiedziałem, że tak się dzieje ze wszystkimi chłopakami na piętrze.

Po chwili Winiar wyszedł z pokoju w szlafroku i zbiegł do portierni, żeby zatelefonować po pogotowie ratunkowe. O tym, co się dzieje, powiadomił także kierownika internatu. Gdy wrócił, powiedział, że w całym internacie jest tak samo jak na naszym piętrze, a z Kasztanem rozmawiał, kiedy ten siedział na sedesie.

Wpierw przyjechała jedna karetka i gdy lekarz, poślizgując się na rzygowinach i ekstrementach, zobaczył kucających pod ścianami korytarzy uczniów, w jednej chwili zatelefonował do lekarza wojewódzkiego, najważniejszego lekarza w mieście, mówiąc, że w internacie technikum chemicznego epidemia biegunki i wymiotów, i że trzeba natychmiast wysłać tutaj sanitarki i przygotować kilka oddziałów w szpitalach.

Na sygnałach, które słyhać było z daleka, przyjechało kilka karetok pogotowia, wraz z najważniejszym lekarzem w mieście, który po obejściu wszystkich pięter, doszedł do wniosku, że nie ma sensu aby nas wszystkich rozwozić po szpitalach, tylko internat zamienić na szpital. Pierwsze, co zrobił, to kazał uczniom połknąć po dziesięć pastylek węgla. Następnie zostawił w internacie, na dyżurze, dwóch lekarzy i zatelefonował po kilka pielęgniarek, żeby wraz z lekarzami czuwały nad nami. Czekałem, kiedy zadzwoni do stolarni, aby zamówić trumny, lecz tego nie zrobił i to mi trochę przydało wiary, że może z nami nie jest jeszcze najgorzej.

Ten lekarz wojewódzki to był łebski, konkretny facet, nie jak nasza szkolna lekarka, dla której najważniejszym przyrządem lekarskim był termometr. Zawsze odnosiłem wrażenie, że określała chorobę w zależności od tego, jak wysoko podniosła się rtęć w termometrze. Lekarz wojewódzki jakby nie zauważał, że chodzi po gównach, interesowało go przede wszystkim to, co poprzedniego dnia jedliśmy na obiad i kolację i bez ceregieli włamał się do kuchni i kazał załadować do sanitarki baniaki z pomyjami, które zostały z wczoraj. A gdy mu wychowawca Winiar powiedział, że przez trzy ostatnie dni w pokojach internatu wyłożona była trucizna na mrówki, natychmiast pogonił wszystkich do zabierania talerzyków po truciźnie i je także zabrał do sanitarki. Odchodząc, zabronił kierownikowi i portierowi wpuszczać i wypuszczać kogokolwiek z internatu, a także z kimkolwiek rozmawiać o tym, co przydarzyło się w internacie.

Następnego dnia w internacie zjawili się kilkadziesiąt osób, dyrektor Kęciński, lekarze, urzędnicy z kuratorium, ci sami co kilka dni wcześniej profesorowie z Krakowa i nawet oficer milicji, a wraz z nimi armia sprzątaczek ze specjalnymi odkurzaczami, takimi, które i błoto mogą zbierać z podłogi. Wszyscy ci przybyli mieli na nogach gumki, a usta i nosy osłania li gazowymi tamponami, tak, że wyglądali jak chirurdzy przygotowujący się do operacji. Naszą obecnością w ogóle się nie przejmowali. Głośno zastanawiali się, czy już ogłosić stan epidemii nieznaney jeszcze choroby i jednocześnie przystąpić do badania uczniów w szkole, gdyż wiadomo, iż stykali się z nami na co dzień, czy jednak zaczekać na wyniki badań laboratoryjnych próbek jedzenia i trutki na mrówki i dopiero, w zależności od wyników badań, podjąć ostateczną decyzję.

Wysoka komisja, której przewodził lekarz wojewódzki, postanowiła poczekać na wyniki badań, a my w tym czasie mieliśmy bezwarunkowo przebywać w internacie i nikt z kolegów nie mógł nas odwiedzać.

Przez kilka dni w korytarzach i pokojach internatu unosił się taki smród, że trudno było wytrzymać. Do fetoru naszych biegunkowych wydzielin dołączył się jeszcze lizol, którymi sprzątały myły podłogi, a do tego zapachy wody kolońskiej, gdyż niektórzy wodą kolońską i perfumami próbowali odgrodzić się od smrodu. I robiła się z tego taka mieszanka, że można się było udusić.

Gdy lekarze na codziennie zwoływanych konsyliach zastanawiali się nad dalszymi skutkami tej nieznaney im choroby i nie wiadomo przez co wywołanej, gdyż badania laboratoryjne nie potwierdziły aby w żywności znajdowało się cokolwiek szkodliwego dla zdrowia, ani, żeby trutka na mrówki mogła nam zaszkodzić, zresztą, wyszło na jaw, zawartość trucizny w wołowinie była tak mała, że mrówki mogły ją spożywać do własnej, naturalnej śmierci, nieoczekiwanie, po czterech dniach, biegunki i wymioty ustąpiły i od razu poczuliśmy się zdrowi i niesamowicie głodni. Najważniejszy lekarz w mieście bardzo ucieszył się, że w internacie przeszła już ta dziwna choroba, a jeszcze bardziej, zdawało mi się, był zadowolony z tego naszego apetytu, ponieważ natychmiast rozporządził, żeby, w ramach kuracji, podawano nam jak najlepsze jedzenie.

W ciągu całego roku szkolnego nie zjadłem tyle kotletów schabowych i szynki, ile przez dziesięć dni, jak oni to nazwali, kwarantanny. W ogóle, muszę przyznać, podczas tej kwarantanny dbali o nas tak, jak chyba o dzieci ministrów. Przywieźli nam telewizory, po jednym na każde piętro i kierownik pozwolił nawet oglądać filmy dla dorosłych, po dzienniku telewizyjnym. W świetlicy mieliśmy bilard z grybkiem, piłkarzy na sprężynki, warcaby i pełno innych gier, w których rzucało się kostką, graliśmy też w karty i wychowawcy udawali, że tego nie widzą, a wcześniej za granie w karty dostawało się dwa tygodnie zakazu wychodzenia z internatu. Lecz do końca nie powiedziano nam, na co właściwie chorowaliśmy.

Przez te dziesięć dni kwarantanny całkiem zapomnieliśmy o mrówkach. Dopiero Borys o nich wspomniał, uświadamiając nam, że odkąd zaczęliśmy walić w gacie i rzygać, mrówki zniknęły z internatu. Rzeczywiście. Musiał ich smród wygnać z powrotem do mrowisk w ziemi i pomyślałem, że gdyby ci profesorowie z Krakowa byli mądrzy, to powinni się tym faktem zainteresować. Na świecie, jak czytałem, szuka się skutecznego środka przeciw różnym insektom, prusakom, pchłom, pluskwom, rybikom, a taki środek być może znajduje się w nas samych.

Po chorobie i dziesięciu dniach kwarantanny wróciliśmy do szkoły, w której wszystko było jak dawniej. Z początku nauczyciele nie pytali nas na stopnie, dając czas na nadrobienie zaległości w nauce. Borys, sądziłem, że już zapomniał o swej przepowiedni, według której wyjście mrówek z ziemi zapowiadało złą wiosnę, albo stwierdził, że ta przepowiednia już się ziściła właśnie w tej naszej dziwnej chorobie, kiedy to jedni górą, a drudzy dołem wydalali jedzenie. Myliłem się. Dla Borysa, jak mi powiedział, ta dziwna choroba była po mrówkach drugim poważniejszym znakiem, która zapowiadała serię jeszcze mniej zrozumiałych wypadków, wierzył i czekał, że niedługo znowu coś nastąpi, tylko sam nie wiedział co, może, powiedział szeptem, koniec systemu socjalistycznego w Polsce? Gdy usłyszałem o końcu systemu socjalistycznego w Polsce, nabrałem przekonania, że Borys znowu musiał dostać od matki radio i ukrywał je, żeby mu znowu nie wyrzucił przez okno, no bo wyłącznie z radia, z zagranicznych rozgłośni, mógł dosłyszeć się takich bzdur. Tak, na pewno miał radio i słuchał je wtedy, kiedy ja, Piasek i Marciniak, zaraz po odrobieniu lekcji graliśmy w ping ponga, albo oglądaliśmy telewizję czy rozmawialiśmy z dziewczętami w świetlicy. Tylko ja już dobrze znałem Borysa, a przynajmniej tak mi się wydawało i nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego on tak wierzy we wszystko, co mówią w tych zagranicznych rozgłoszeniach, jakby nie było polskiego radia, telewizji, gazet i w nich nie pracowali ludzie, którzy choćby z racji tego, że mieszkali w Polsce, musieli mieć lepsze rozeznanie o tym, co dzieje się w naszym kraju. Ale, z drugiej strony, coś mi podpowiadało, że Borys, choć nie miał najlepszych stopni, a mimo to był uważany za najmądrzejszego ucznia w klasie, w tym słuchaniu zagranicznych rozgłośni, Wolnej Europy i Głosu Ameryki, musiał znajdować jakieś wyższe racje.

Borys miał w sobie coś z wróżki, wyłapującej zdarzenia, które dopiero nadbiegają z daleka. Już parokrotnie przekonałem się, że wiele z tego, co mówił i co na pierwsze słuchanie wyglądało na majaczenie wariata, później często sprawdzało się. Lecz jednocześnie, w związku z tym samym, nie mogłem zapomnieć, że ojciec Borysa leczył się przez kilka lat w zakładzie psychiatrycznym za pisanie książki niezgodnej z prawdą historyczną, książki o Katyniu, w której zdaniem ojca Borysa to nie Niemcy ale Rosjanie zamordowali polskich jeńców wojennych i pamiętając o tym, przychodziło mi na myśl, że te dziwne przepowiednie Borysa mogły być zalążkiem choroby, tej samej, na jaką zapadł jego ojciec. W dodatku z każdym następnym rokiem te cichcem wymawiane rewelacje Borysa były tego rodzaju, że gdybym o nich powiedział wychowawcy albo dyrektorowi szkoły... No, chociażby te, ostatnie.

Gdzieś pod koniec lutego powiedział mi, że władze w Warszawie zakazały wystawiać sztukę „Pana Tadeusza”. Byłem zaskoczony, kto jak kto ale Borys nie mógł nie wiedzieć, że

„Pan Tadeusz” nie był dramatem, chociaż, pomyślałem, jakiś reżyser mógł przerobić „Pana Tadeusza” na sztukę dla teatru. Tylko czy jest możliwe, aby zakazać grania „Pana Tadeusza”, który był najważniejszą lekturą w szkole i chyba najważniejszą książką w Polsce? Nie, tym razem Borys przesolił i już nie na żarty i na żadne gdybania przestraszyłem się, że u Borysa objawiły się zaczątki choroby jego ojca. I tam i tu były jakieś połączenia z książką.

Następnego dnia Borys powiedział, że się pomylił i że nie chodziło o zakaz wystawiania „Pana Tadeusza”, tylko „Dziadów”, też Mickiewicza. To, że Borys pomylił te tytuły, było dla mnie wyraźnym potwierdzeniem, iż naprawdę jest z nim coś nie w porządku. Udałem, że jakieś tam zakazy wystawienia sztuk w Warszawie zupełnie mnie nie interesują, czego on nie mógł zrozumieć. Gwałtownie potrząsał mnie za ramię i powtarzał, jak to możliwe, żeby w Polsce nie można było wystawiać „Dziadów” Mickiewicza, Mickiewicza, rozumiesz? Najwyraźniej bredził, bo i mnie nie mieściło się w głowie, żeby mogło dojść do czegoś takiego.

„Dziady” przerabialiśmy z Klechtą ponad trzy tygodnie, i nawet tyle czasu, twierdziła, było za mało aby zrozumieć Mickiewicza i jego wizję Polski, Chrystusa narodów, która przez boskie namaszczenie i nie zasłużone cierpienia nie tylko zostanie wyzwolona spod jarzma carskiego, ale zostanie także wzniesiona ponad inne narody, aby i im przynieść wolność, W gruncie rzeczy niewiele z tego rozumiałem, a jeszcze mniej, gdy Klechta na ostatniej lekcji o „Dziadach” powiedziała, że musimy pamiętać iż utwór Mickiewicza pisany był głównie przeciwko zaborcy carskiemu, który dławił nie tylko wolność Polaków, ale i innych narodów, i że w czasie, kiedy Mickiewicz pisał „Dziady”, najwyższą wyrocznią był Bóg, a nie, jak to jest obecnie, wola poszczególnych narodów, które mają prawo do samostanowienia i zawierania przyjaźni z sąsiednimi państwami. Na to Borys niespodziewanie powiedział, że jemu się wydaje, iż od czasów Mickiewicza nie nastąpiły żadne zmiany, że dalej, choć już nazywamy się Polską Ludową... Klechta gwałtownie przerwała Borysowi, mówiąc, że wcale go nie prosiła o wyrażenie swojej opinii.

Wszystko wskazywało na to, że z Borysem stanie się to samo co z jego ojcem: wyląduje w szpitalu psychiatrycznym. A bardzo tego nie chciałem, był moim najbliższym kolegą w klasie i internacie. Poza tym, z czego późno bo późno, ale w końcu zdałem sobie sprawę, uratowałem mnie od śmierci w Wietnamie, fabrykując w moim imieniu list do Wolnej Europy. Wówczas, pragnąc wyjechać na ochotnika do Wietnamu, nie zdawałem sobie sprawy, że najpewniej byłbym pierwszym Polakiem poległym w obronie tamtego kraju.

W ciągu kilku nocy zastanawiałem się, czy nie powinienem pójść do szkolnego psychologa i opowiedzieć mu o Borysie, o tej jego inności, oburzeniu z powodu zakazu

wystawiania „Dziadów” w Warszawie i bezgranicznej wierze w to, co mówią w Wolnej Europie, jak choćby o tym końcu systemu socjalistycznego w Polsce. Niech pomoże Borysowi w przezwyciężeniu nadchodzącej choroby. Od tego w końcu jest.

Wreszcie zdecydowałem się. Już stałem pod drzwiami gabinetu psychologa, gdy nagle podbiegł do mnie Borys z gazetą w ręku i kazał mi przeczytać zdania, które podkreślił ołówkiem. Tam pisało, że aktyw społeczno-polityczny Warszawy zebrał się w Komitecie Centralnym celem omówienia sprawy zakazu dalszych przedstawień „Dziadów” Mickiewicza. Nie dowierzając, przeczytałem to jeszcze raz i jeszcze raz. Więc to, co uznawałem za niemożliwe, było prawdą. A widzisz, rozpromienił się Borys, mrówki to pierwsze wyczuły. Wtedy pomyślałem, że to właściwie ja, w swojej sprawie, powinienem zgłosić się do psychologa, skoro, jak Borys, nie potrafię odczytać znaków przepowiadających przyszłość. No bo jeżeli on to potrafi – znaczy, że jakaś wada tkwi we mnie, a nie w Borysie. I nagle, pozostawiając zdziwionego Borysa na korytarzu, wszedłem do gabinetu psychologa.

Co jest? – zapytał psycholog. Nie wiem, odrzekłem. To po co przyszedłeś? Bo w teatrach zabronili grać Dziadów Mickiewicza. A chodzisz do teatru? Nie. To co cię obchodzi, czy tam grają Dziady, czy nie grają? Idź lepiej do kina na Winnetou, poradził psycholog, ale po chwili zastanowienia zapytał z namysłem: a właściwie dlaczego nie pozwalają wystawiać tych Dziadów? Może tytuł się nie podoba, odrzekłem. Może, roześmiał się psycholog, ale zaraz spoważniał i powiedział, że bym przestał zajmować się „Dziadami”, a bardziej przyłożył się do nauki.

Postanowiłem skorzystać z rady psychologa, no bo w gruncie rzeczy dlaczego miałyby mnie obchodzić tego rodzaju sprawy dziejące się w Warszawie. Gdybym był aktorem albo reżyserem to co innego, na pewno wściekałbym się, że jacyś tam urzędnicy wtrącają się w moje zawodowe sprawy i nie pozwalają mi robić tego, co chcę, a tak? Zdecydowałem, że gadaniem Borysa też nie będę się zajmował. Te jego rewelacje, które wyczytywał z gazet, ale wyczytywał, jak on to mówił, pomiędzy wierszami, bo jego zdaniem tylko w ten sposób można się było dowiedzieć prawdy z gazet, wprowadzały coraz większy zamęt w mojej głowie. Nie chciałem tego, lubiłem jasne sprawy, tak, że już częściej wolałem słuchać Piaska, dla którego to, co pisało w gazecie albo mówił nauczyciel historii, było niezbitą prawdą. No i doszło do tego, że podczas kłótni pomiędzy Piaskiem a Borysem, gdy Piasek po przeczytaniu w gazecie przemówienia Chruszczowa, w którym było, iż Rosjanie obsieją kukurydzą kilka tysięcy hektarów Księżyca, Borys przezwał Piaska głupim, niedouczonej capem, ja stanąłem po stronie Piaska.

Borys przez kilka dni nie odzywał się do mnie. Ale wydarzeniami w Warszawie dalej tak

się przejmował, jakby działał się w naszej szkole i musiał o nich z kimś rozmawiać, no i prędko zapomniał, że był obrażony na mnie. I tak po kolei dowiadywałem się od niego, że pisarze atakują władzę ludową, że studenci z Uniwersytetu Warszawskiego demolują ulice i trzeba było wysłać przeciwko nim robotników z warszawskich fabryk, żeby później zagranica nie mówiła, że to milicja ludowa bije studentów, aż wreszcie któregoś dnia powiedział mi, że wszystko się już wyjaśniło, gdyż wyszło na jaw, że wszystkie te burdy sprowokowane były przez Żydów, którzy chcieli obalić Gomułkę i objąć rządy w Polsce i teraz tych Żydów, mącicieli i wrogów socjalizmu, wyrzuca się z Polski. No i dobrze, stwierdziłem, jak Żydzi chcą rządzić, to niech sobie rządzą w swoim państwie. Borys był tego samego zdania.

Dąbrowska od rosyjskiego, która, podobnie jak Borys, też była mocno zainteresowana tym, co działo się w Warszawie i na każdej lekcji o tym mówiła, najczęściej nadawała na Dejmka, reżysera „Dziadów”, który według niej tak ustawił przedstawienie, że słowa, które Mickiewicz kierował przeciwko carowi, aktorzy wymawiali w taki sposób iż nie było wątpliwości, że są zwrócone przeciwko władzy radzieckiej, naszemu najwierniejszemu sojusznikowi. Po tym stwierdzeniu zawsze dodawała, że za Stalina nigdy by nie doszło do czegoś podobnego, gdyż jeszcze przed przedstawieniem zrobiłby porządek z reżyserem i aktorami. Wówczas Borys wstał i spokojnie zapytał, czy pani profesor zdaje sobie sprawę, że porządek robiony przez Stalina polegał na zabijaniu ludzi i wysyłaniu ich do łagrów, takich obozów koncentracyjnych, jakie w czasie wojny hitlerowcy zbudowali w Polsce. Zrobiło się cicho w klasie, jakby nagle wszyscy przestali oddychać, a ja, z wrażenia, chyba przez pół minuty nie mogłem wypuścić powietrza z płuc. Dąbrowska znieruchomiała z półotwartymi ustami, aż myślałem, że dostała ataku serca. Wszyscy w szkole wiedzieli, że dla Dąbrowskiej Stalin był jak Matka Boska dla innych, zbierała książki o Stalinie, ze starych gazet wycinała jego zdjęcia, w jej mieszkaniu wisiało kilka portretów Stalina. Poza tym uważała, że lata, kiedy żył Stalin, były najlepsze dla Polski, bo, to najczęściej powtarzała, kiełbasa była tania i nigdy jej w sklepach nie brakowało, no i żaden tam Dejmek nie odważyłby się...

Po chwili Dąbrowska zamknęła usta, ze skamieniałą twarzą podeszła do Borysa i powiedziała: ty Żydie, masz czelność zniesławić imię Stalina? Spojrzeliśmy ze zdumieniem na Borysa, a on sam wydawał się być jeszcze bardziej zdumiony aniżeli my. Ja... Żyd? – wybąkał zaskoczony, po czym zdecydowanie oświadczył, że idzie do dyrektora Kęcińskiego. Dąbrowska roześmiała się, mówiąc: Kęciński też Żyd i już nie jest dyrektorem szkoły.

W dniu, w którym Gagarin zginął w katastrofie lotniczej, o czym pisały wszystkie gazety, odprowadzałem Borysa do pociągu. Jechał do Warszawy, a stamtąd samolotem do Francji, do matki, która już wcześniej, przez znajomych w Polsce, postarała się o paszport dla Borysa i

bilet na samolot. Siedzieliśmy godzinę na peronie i wtedy Borys mi powiedział, że dopiero z ostatniego listu od matki dowiedział się, że jest Żydem, bo u nich, u Żydów, jest tak, że gdzie by się człowiek nie urodził i jakim językiem by nie mówił, to jeśli matka była Żydówką, syn albo córka do końca życia pozostają Żydami. I może zdarzyć się tak, że człowiek umiera i nie wie, że umiera jako Żyd.

Gdy na stopniu wagonu pociągu podaliśmy sobie po raz ostatni ręce, Borys powiedział, że on uważa, iż Żydem jest się od tego momentu, w którym ktoś dowiaduje się, że jest Żydem, a nie wyłącznie z urodzenia przez matkę Żydówkę i jeszcze cicho dodał, że nie zamierza być Żydem dłużej niż dwie godziny od tej sekundy, bo został oszukany przez Boga i nie tylko przez Boga.

Korekta: Małgorzata Szymańska